

OGÓLNOPOLSKI KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY NR 3 (28) 2010
www.promocja.mielec.pl

Nadwiślocze

KOLPORTAŻ MIELEC - ZIEMIA MIELECKA - PODKARPACIE I OKOLICZNE - PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA

Nr indeksu 381802 cena 5 zł (w tym 7% podatku VAT)

**Sprawiedliwi
i nie tylko
z ziemi
nad Wisłą
str. 50-51**



str. 35-39

KRESOWE PODRÓŻE - ZADWÓRZE

ISSN 1731-5697



SERWIS KLIMATYZACJI SAMOCHODOWEJ

Regeneracja sprężarek klimatyzacji
Napelnianie układów - Płukanie układów
Dorabianie węży - Sprawdzanie szczelności



39-300 Mielec, ul. Wojsławska 62
tel./fax 17 585 33 26, kom. 503 507 206
e-mail: firma@klim-faf.pl www.klim-faf.pl

KAMIENIARSTWO NAGROBKI GROBOWCE PARAPETY



Rak Tadeusz

39-460 Nowa Dęba, ul. Kolejowa 21
tel. 15 846 41 77, fax 15 846 28 18
tel. kom. 509 387 123 www.rak.nowadeba.pl

FIRMA ELEKTRYCZNA DZIAŁOWSCY Sp. j.



39-331 Chorzelów, Chrzastów 10B www.bte.home.pl
Tel./fax 017 17 584 01 80, 603 130 846, 602 101 018

PROJEKTOWANIE I WYKONAWSTWO

Instalacji elektrycznych przemysłowych
i w domach indywidualnych, urządzeń rozdzielczych
dla potrzeb energetyki, przemysłu i budownictwa.

Instalacji odgromowych.

Linii energetycznych niskich i średnich napięć
napowietrznych i kablowych z zastosowaniem
słupów ZN i wirowanych.

**Stacji transformatorowych napowietrznych
i wewnętrznych o różnych konfiguracjach.**

Pomiary elektryczne instalacji i linii

**Domofony, videodomofony, automatyka do bram
wjazdowych i garażowych.**

Instalacje telewizyjne, telewizja przemysłowa.

BIBMOT

STACJA KONTROLI POJAZDÓW

ul. Drzewieckiego 1 ul. Przemysłowa 61
tel. 17 774 58 43 tel. 17 774 58 18



Manhattan NIGHTCLUB

tel. 17.780.07.74-Rezerwacje
Mielec, ul. Powstańców Warszawy 2
Klub mieści się w nowo otwartym basenie na Osiedlu Smoczka

WYŻSZA SZKOŁA GOSPODARKI I ZARZĄDZANIA W KRAKOWIE WYDZIAŁ ZAMIEJSCOWY W MIELCU



giz.mielec.pl 0001 583 71 tel. 80, 03 773 64, 03 773 71 tel./fax
ul. Sękowskiego 1, 39-300 Mielec

Oferujemy:

studia licencjackie stacjonarne i niestacjonarne
na kierunku EKONOMIA w następujących specjalnościach:

- + RACHUNKOWOŚĆ I UBEZPIECZENIA
- + EKONOMIKA I ZARZĄDZANIE FIRMĄ
- + EKONOMIKA TURYSTYKI MIĘDZYKRAJOWEJ
- + GOSPODARKA EUROPEJSKA
- + GOSPODARKA NIERUCHOMOŚCIAMI
- + EKONOMIKA I ZARZĄDZANIE PRODUKCJĄ
- + GOSPODARKA I ADMINISTRACJA PUBLICZNA

Studia podyplomowe:

- + ORGANIZACJA I ZARZĄDZANIE OŚWIATĄ

Spis treści:

Na okładce:

Na okładce: Zdjęcie opuszczonego kościoła w Zadwórzcu - Ukraina (fot. Włodzimierz Gąsiewski). Zdjęcie z czasów okupacji niemieckiej. Od lewej Katarzyna Krystian, w środku Maria - Miriam oraz Danka Hübner. Dziecko żydowskie uratowane przez obydwie Polki widoczne na zdjęciu (foto. arch. „Nadwisłocza”)

Akademickie Nadwisłocze

str. 4-5 - XII Gaudeamus Igitur w Wyższej Szkole Gospodarki i Zarządzania w Mielcu.

Samorządowe Nadwisłocze

str. 6 - Włodzimierz Gąsiewski, 20 lat samorządu terytorialnego. Spotkanie wojewody, prezydentów, burmistrzów i wójtów w Mielcu.

str. 7-10 - Józef Lewczak, Skąd wyszliśmy? Sytuacja społeczno-gospodarcza Mielca a narodziny samorządu i inicjatywy zmierzające do wyjścia z kryzysu.

Solidarnościowe Nadwisłocze

str. 10-12 - Anna Jabłońska, 30 lat „Solidarności”.

str. 13 - Teresa Paryna, Od bólu... do nadziei. Solidarność jest w nas.

str. 13 - Mieczysław Kuriański, Katyńska lekcja.

Nadwisłocze Jubileuszowe

str. 14-15 - Włodzimierz Gąsiewski, Małgorzata Głodzik, 105 lat Konarskiego. I Liceum Ogólnokształcące im. St. Konarskiego w Mielcu jako c.k. Gimnazjum powstało w 1905 r.

Mieiejana i regionalia

str. 16-17 - Włodzimierz Gąsiewski, Mielecka gimnazjalna lista katechetyczna. Inwentarz Archiwum Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego w Mielcu 1905-2010. Sprawozdanie I LO w Mielcu - notki wydawnicze.

Astronomiczne Nadwisłocze

str. 18-19 - Włodzimierz Gąsiewski, Od zegara słonecznego do obserwatorium astronomicznego. Rozmowa z Januszem Świętoniem - dyrektorem I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu.

str. 19 - Włodzimierz Gąsiewski, Astronom z Mielca. Antoni Kania (1900-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, por. art. rezerwy WP, zamordowany przez NKWD w Charkowie.

Wspomnieniowe Nadwisłocze

str. 20-22 - Teofil Lenartowicz, Przecławskie wspomnienia, cz. VIII. Na poczcie (2).

str. 23 - Teofil Lenartowicz, Jeszcze raz w przecławskiej sprawie.

Lotnicze Nadwisłocze

str. 24-27 - Stanisław Fryc, Mistrz Świata i Europy. Jan Gruszecki.

Grunwaldzkie Nadwisłocze

str. 28-29 - ks. Janusz Królikowski, Rocznica grunwaldzkiej Wiktorii.

str. 30-31 - Włodzimierz Gąsiewski, Grunwald w Padwi i Gawłuszowicach.

str. 31 - Krzysztof Fryc, Grunwald 2010 - fotoreportaż.

str. 32-34 - ks. Jarosław Wiśniewski, Grunwaldzkie kazanie w Taszkencie.

Kresowe Nadwisłocze

str. 35 - Włodzimierz Gąsiewski, Kresowe podróże – Zadwórcze.

str. 36-37 - Włodzimierz Gąsiewski, Mielczanie Orłętom w Zadwórczu.

str. 37-39 - Witold Kwiatkowski, Walczył pod Zadwórczem.

str. 40-43 - Mieczysław Kuriański, Ze wspomnień repatrianta – Memories of repatriate. II. W okresie burzy i naporu. Lata młodości – the Period of Storm and Stress. Early Life (1960-1971).

str. 44 - Marta Gdula-Żukowicz, Miejsca zapomniane...

Historia i ludzie

str. 44-45 - Włodzimierz Gąsiewski - Święto historii w Tuszowie Narodowym.

str. 46-48 - Andrzej Krempa, Poligon Wermachtu „Południe” 1940-1944. Recenzja publikacji IPN w Rzeszowie autorstwa Tomasz Sudola.

str. 48 - Włodzimierz Gąsiewski, Mapa Lager Mielec.

str. 49 - Teofil Lenartowicz, W obronie „Rusala”. Dlaczego mieleckie społeczeństwo nie potrafi bronić honoru własnych zasłużonych ludzi?

str. 49 - Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Rusal” - ogłoszenie.

str. 50-51 - Włodzimierz Gąsiewski, Sprawiedliwi i nie tylko z ziemi nad Wisłą. Sprawiedliwa w Borowej spoczywa.

Historia i wiara

str. 52 - ks. Janusz Królikowski, „Z ludu i dla ludu - Ks. Feliks Podgórnianin (1901-1985). Proboszcz z Rzędzianowic – Jego parafia i parafianie. Wstęp do publikacji W. Gąsiewskiego pod tym samym tytułem oraz notka wydawnicza.

str. 53 - Anna Jabłońska, Matka Boska Sybiracka.

str. 54-57 - Józef Witek, Bazylika mniejsza św. Mateusza w Mielcu.

str. 58 - Bartosz Walicki, Książka o Sokołowskiej Madonnie.

str. 59-61 - Józef Mandziuk, Postacie z dziejów Kościoła katolickiego na Śląsku w czasach nowożytnych. Cz. IX. Król Karol XII Szwedzki i Konwencja Altrazdzadzka z 1707 roku; Długi pontyfikat biskupa Franciszka Ludwika Neuburga (1683-1732); Filip Ludwik Sinzendorf - drugi kardynał wrocławski; Posługa biskupia Jana Brunettego, sufragana wrocławskiego.

Literackie Nadwisłocze

str. 62-64 - Turniej poetycki rozstrzygnięty. Nagrody rozdane. VII Ogólnopolski i Polonijny Turniej Poetycki o „Srebrne Pióro Prezydenta Miasta Mielca” oraz Laury Kwartalnika „Nadwisłocze”, „Wieści Regionalnych” i „Poetycki Exlibris” Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie Filia w Mielcu. Pod patronatem w kategorii POLONIA Senatora Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Ortyla. Regulamin.

str. 65 - Mirosław Osowski, Krajobrazy Mieczysława Łypa.

str. 66 - Mirosław Osowski, „Strumienie poezji” Ryszarda Mściśza.

str. 67 - Robert Czop, O poezji Zdzisława Pękalskiego słów kilka.

str. 67 - Alicja Górczyńska, Pamięci Mieczysława.

str. 67 - Maria Szczepankowska, Pamięci ukochanego Taty z okazji jubileuszu 80-lecia.

str. 68-69 - Monique Surdyka, Wiersze.

str. 69 - Włodzimierz Gąsiewski, On the first day of the autumn (Na pierwszy dzień jesieni).

str. 70-71 - Dorota Kwoka, Spojrzenia zza progę.

str. 72-73 - Robert Czop, Takie sobie pogaduchy z innym literatem o współczesnej doli i niedoli miłośnika pióra i wszelkich innych sztuk.

„Nadwisłocze” Ogólnopolski Kwartalnik Społeczno-Kulturalny.

Wydawca: Agencja Wydawnicza „Promocja”.

Honorowa współpraca wydawnicza: Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej w Mielcu oraz Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Lokalnego w Zarówce.

Redaktor naczelny: Włodzimierz Gąsiewski.

Sekretarz Redakcji: Krystyna Gargas-Gąsiewska,

Współpraca redakcyjna: Adam Chrabąszcz, Robert Czop, Jacek Krzysztof Danel, Bronisław Dryja, Olga Gąsiewska, Krzysztof Graboń, Jerzy Kazana, Józef Kawalek, Paweł Komoński, Szczepan Komoński, Ks. Janusz Królikowski, Józefa Krzak, Jacek Krzysztofik, Józefa Kwiatkowska, Dorota Kwoka, Olga Lalić-Krowicka, Tadeusz Łakomy, Zbigniew Michalski, Leszek Midura, Ryszard Mściśz, Mirosław Ossowski, Teresa Paryna, Krystyna Philipp, Andrzej Przybyszewski, Ewelina Radion, Antoni Rejman, Adam Rząsa, Leszek Szof, Edward Winiarski.

SKład komputerowy i łamanie własne. Druk: Autograf - Mielec. Kolportaż: RUCH SA Warszawa O/Rzeszów. Prenumerata krajowa i zagraniczna - można zamawiać poprzez punkty sprzedaży prasy RUCH.

Biuro redakcji i reklam: 39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7, tel./fax 017 5831498,

www.promocja.mielec.pl,

e-mail: promocja@nb.com.pl lub kontakt@promocja.mielec.pl

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń i reklam oraz zastrzega sobie prawo do ew. redagowania nadsyłanych tekstów, które publikowane są nieodpłatnie (bez honorariów). Zapraszamy do współpracy.



Goście inauguracji akademickiej



Studenci mieleckiego Wydziału Ekonomii WSGiZ



Kadra naukowa uczelni oraz wyróżnieni dyplomami studenci

8 października br. odbyła się uroczysta inauguracja XII-go roku akademickiego 2010/2011 Wyższej Szkoły Gospodarki i Zarządzania w Krakowie w Wydziale Ekonomii w Mielcu. Złożyły się na nią: msza św. w kaplicy Św. Stanisława Kostki przy ul. Warszawskiej w Mielcu, w intencji pracowników uczelni i studentów uczelni, po niej zaś w auli WSGiZ w Mielcu, przy ul. Sękowskiego 1, uroczystości inauguracyjne, które rozpoczęło odśpiewanie hymnu Gaude Mater Polonia oraz przemówienie inauguracyjne J. M. Rektora doc. dr Wacława Neleca. Następnie dokonano immatrykulacji studentów I-go roku z tradycyjnym Gaudeamus Igitur. Wręczono dyplomy i wyróżnienia najlepszym absolwentom WSGiZ w roku akademickim 2009/2010, a w imieniu studentów wystąpił Przewodniczący Samorządu Studenckiego. Uświetnieniem inauguracji był koncert w wykonaniu Chóru Młodzieżowego I LO w Mielcu pod dyr. P. Lisa. W części oficjalnej zaś miały miejsce wystąpienia zaproszonych gości oraz wykład inauguracyjny Prof. zw. dr hab. Andrzeja Pruska na temat: „Programowanie rozwoju Unii Europejskiej w Strategii EUROPA 2020”.

Gości inauguracji przywitał dr Wacław Nelec, m.in.: prof. dr hab. Kazimierza Zielińskiego – wieloletniego dziekana Uczelni, a obecnie dziekana Wydziału Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, senatora Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Ortyla, prezydenta miasta Mielca Janusza Chodorowskiego, przewodniczącego Rady Powiatu Marka Paprockiego i wiceprzewodniczącego Adama Chrabąszcza, dyrektora Wydziału Edukacji, Kultury i Sportu Starostwa Powiatowego w Mielcu Stanisława Tomzę, dyrektora Oddziału ARP zarządzającą SSE EURO-PARK MIELEC, Mariusza

Błędownskiego, dyrektorów mieleckich szkół średnich, przedstawicieli służb mundurowych, instytucji i stowarzyszeń społecznych a także młodzież akademicką.

W wystąpieniu inauguracyjnym dr Wacław Nelec powiedział m.in.: *Rok akademicki 2009/2010 uznać należy za dobry dla naszej uczelni. Zwyczajowo podczas przemówienia inauguracyjnego rektora padają liczby charakteryzujące uczelnię w roku sprawozdawczym. Z satysfakcją informuję, że tegoroczna akcja promocyjna zaowocowała bardzo dobrą rekrutacją na obecny rok akademicki. Pomimo postępującego niżu demograficznego przyjęliśmy około 135 studentów, w tym około 35-ciu na studia stacjonarne i ponad 100 na studia niestacjonarne. Nowy rok akademicki w naszej uczelni rozpoczyna 420 studentów, w tym studenci studiów stacjonarnych 152 i niestacjonarnych 266.*

Obecnie kształcimy w czterech specjalnościach: „*Ekonomia i Zarządzania Firmą*” 65 osób „*Rachunkowość i Ubezpieczenia*” – 39, „*Ekonomia i Zarządzanie Produkcją*” – 13 osób oraz „*Gospodarka Nieruchomościami i Turystyką*” – 22. Dwie ostatnie specjalności zostały powołane w ostatnim roku akademickim, w związku z wieloma sygnałami ze strony zainteresowanych studentów, a także w związku z koniecznością zaspokojenia potrzeb regionalnego rynku pracy. Uruchamiamy także kolejną edycję studiów podyplomowych z zakresu „*Organizacji i Zarządzania Oświatą*” oraz po raz pierwszy *Kontrola i Audyt Wewnętrzny w Przedsiębiorstwach i Administracji Publicznej*. Uczelnia zatrudnia na pełnych etatach 25-ciu wykładowców - profesorów, doktorów i magistrów. Ponadto stale w ramach umów cywilno-prawnych współpracuje z ponad 30 wykładowcami i lektorami z renomowanych ośrodków akademickich w kraju. Wśród wykładowców są wybitni praktycy, co umożliwia studentom bliższy kontakt z problemami lokalnego biznesu i aktualnymi problemami gospodarczymi regionu Podkarpacia i kraju.

W ubiegłym roku akademickim Uczelnia wypuściła w świat kolejną ósmą grupę absolwentów posiadających wyższe wykształcenie ekonomiczne, z tytułem zawodowym licencjata. W ubiegłym roku tytuł licencjata uzyskało w naszej uczelni ogółem 110 studentów, w tym z wynikiem bardzo dobrym 74 osoby. W trakcie jedenastoletniej działalności WSGiZ w Mielcu wykształciła łącznie 1195 absolwentów. Myślę, że jest to poważny i wymierny dorobek mieleckiej uczelni i jej wkład jakością w obecny i przyszły rozwój subregionu mieleckiego. (inf. i fot. D. Gąsiewski)

Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania posiada co prawda krótką historię, ale jest przykładem uczelni, która od ponad dziesięciu lat stanowi ważny rozpoznawalny element dla miasta Mielca i całego regionu. Powstała w 1999 roku, a jej założycielem jest Mieleckie Centrum Edukacji i Przedsiębiorczości Sp. z o.o. Tego samego roku na mocy decyzji Ministra Edukacji Narodowej nr DNS 1-0145-100/RO/99 z dnia 05.03.1999 roku otrzymała uprawnienia do prowadzenia studiów licencjackich pierwszego stopnia na kierunku ekonomia. Funkcję Rektora WSGiZ objął Prof. zw. dr hab. Andrzej Prusek. Już od momentu rozpoczęcia pierwszych zajęć dydaktycznych na studiach dziennych i zaocznych, tj. od dnia 01.10.1999 roku, Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród absolwentów lokalnych szkół średnich. Tym bardziej, że powstanie i rozwój Specjalnej Strefy Ekonomicznej w Mielcu spowodował znaczne zapotrzebowanie na rynku pracy specjalistów z zakresu nauk ekonomicznych i zarządzania.

Misją dla Wyższej Szkoły Gospodarki i Zarządzania w Mielcu staje się profesjonalne kształcenie przyszłych kadr dla przedsiębiorstw funkcjonujących w obrębie Specjalnej Strefy Ekonomicznej o zasięgu nie tylko regionalnym, lecz krajowym i międzynarodowym, jak również dla innych regionalnych podmiotów gospodarczych i różnych instytucji. Dzięki wysoko wykwalifikowanej kadrze naukowo-dydaktycznej, której przewodzą głównie pracownicy Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania zapewnia wysokiej jakości usługę edukacyjną i możliwe najwyższe standardy kształcenia oraz kompleksowe przygotowanie studentów do wejścia na rynek pracy i profesjonalne wykonywanie zawodu ekonomisty.

Od początku istnienia WSGiZ współpracuje z wieloma podmiotami gospodarczymi, organizacjami i instytucjami subregionu mieleckiego. Sieć współpracy stale rozszerza się, o czym świadczy nawiązanie w ostatnim czasie bardzo dobrych relacji z firmą Sikorsky Aircraft Corporation, która od grudnia 2006 roku stała się właścicielem Polskich Zakładów Lotniczych w Mielcu. Rezultatem tej owocnej współpracy jest uruchomienie w WSGiZ dla potrzeb przedsiębiorstwa nowej specjalności: *Ekonomika i Zarządzanie Produkcją*, której absolwenci mogą w praktyce zastosować wiedzę nabytą w czasie studiów.

Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania współpracuje także z innymi

uczelniami o podobnym profilu nauczania w regionie jak również współpracuje z partnerami zagranicznymi.

WSGiZ jest niewątpliwie poważnym źródłem życia intelektualnego dla miasta Mielca i regionu. Od początku swojej działalności odbywa się wiele znaczących wydarzeń naukowych: cykle wykładów, sesje i konferencje naukowe m.in. w listopadzie 2001 roku na temat „Strategiczne kierunki współpracy polsko-ukraińskiej. Wyzwania i szanse dla małych i średnich przedsiębiorstw”, w czerwcu 2002 roku sesja naukowa pt. „Życie i działalność Ignacego Łukasiewicza 1822-1882”, w czerwcu 2005 roku na temat: „Szanse polskich samorządów w warunkach integracji europejskiej”, w październiku 2008 roku na temat: „Polityka spójności w polskich regionach”, a w kwietniu 2009 roku na temat „Funkcje i znaczenie systemu samorządu powiatowego w Polsce”.

Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania stwarza studentom możliwość uczestniczenia w życiu uczelni. Od 2000 roku, kiedy to odbyły się pierwsze wybory do Rady Uczelnianej Samorządu Studenckiego, Samorząd studencki WSGiZ zapoczątkował swoją działalność i aktywnie działa oraz współpracuje z władzami uczelni do dziś.

Decyzją Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w 2008 roku, siedzibą Wyższej Szkoły Gospodarki i Zarządzania jest miasto Kraków, a nowym Rektorem WSGiZ jest doc. dr Wacław Nelec.

Uczelnia wciąż rozwija się i analizuje na bieżąco zapotrzebowanie na rynku pracy, czego rezultatem jest uruchomienie nowych specjalności. Aktualnie Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania w Wydziale Zamiejscowym w Mielcu przy ul. Sękowskiego 1, prowadzi studia licencjackie stacjonarne i niestacjonarne na kierunku ekonomia na następujących specjalnościach:

- Rachunkowość i Ubezpieczenia,
- Ekonomika i Zarządzanie Firmą,
- Ekonomika i Zarządzanie Produkcją.
- Turystyka Międzynarodowa,
- Gospodarka Nieruchomościami,
- Ekonomika Gospodarki Samorządowej.

Dzięki porozumieniu WSGiZ z Uniwersytetem Ekonomicznym w Krakowie istnieje możliwość kontynuowania studiów drugiego stopnia (magisterskich) na krakowskiej uczelni.

Wyższa Szkoła Gospodarki i Zarządzania w Wydziale Zamiejscowym w Mielcu prowadzi ponadto Studia Podyplomowe w zakresie: „Organizacji i Zarządzania Oświatą” oraz „Rachunkowości i Finansów”. (inf. WSGiZ)

20 LAT SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO

SPOTKANIE WOJEWODY, PREZYDENTÓW, BURMISTRZÓW I WÓJTÓW W MIELCU



Podczas Mszy Świętej w bazylice mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu



Przy „Ścianie Katyńskiej”, Mieczysław Janowski, Janusz Chodorowski i Władysław Bieniek.



Były prezydent Mielca, mec. Władysław Bieniek wita przybyłych uczestników



Pamiątkowe zdjęcie uczestników spotkania przed Pałacym Oborskich - zdjęcia W. Gąsiewski

W dniu 29 maja br. z okazji 20 lat istnienia samorządu terytorialnego w Rzeczypospolitej Polskiej, z inicjatywy pierwszego w III RP prezydenta miasta Mielca, mec. Władysława Bienka, odbyło się w Mielcu uroczyste spotkanie byłych i obecnych prezydentów miast, burmistrzów i wójtów, z udziałem innych działaczy samorządowych. Do Mielca przyjechali czołowi samorządowcy z pierwszej kadencji, w tym m.in. Roman Buchta – prezydent Krosna, Wojciech Malinowski - wiceprezydent Krosna, Mieczysław Janowski - prezydent Rzeszowa, Andrzej Dec - radny Rady Miasta Rzeszowa i przewodniczący Sejmiku Wojewódzkiego, Leszek Krzywoń i Juliusz Dorosz - wiceprezydenci Przemyśla, Jacek Koralewski - prezydent Stalowej Woli, Adam Ehrenfeld - przewodniczący Rady Miasta Stalowa Wola, Wojciech Cubera i Michał Kutkowski - wiceprezydenci Stalowej Woli, Andrzej Osnowski - przewodniczący Rady Miasta Mielca, Jan Wróblewski - wiceprzewodniczący Rady Miasta Mielca, Jerzy Łaz – wójt Gminy Czermin, Marian Błach – przewodniczący Rady Gminy Mielec. Władysław Ochalik - były i obecny wójt Gminy Mielec oraz były wojewoda rzeszowski Kazimierz Ferenc. W spotkaniu uczestniczyli też: Zdzisław Nowakowski - obecny przewodniczący rady Miasta Mielca, Janusz Chodorowski - obecny prezydent Mielca, Józef Witek - kierownik Biura Promocji i Informacji Urzędu Miasta Mielca oraz Urszula Malińska przewodnicząca Delegatury NSZZ „Solidarność” w Mielcu.

Spotkanie rozpoczęła Msza Święta w bazylice mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu, której przewodniczył i kazanie wygłosił proboszcz ks. Janusz Kłęczek. Po mszy historię kościoła przybliżył Józef Witek. Jego wystąpienie zamieszczamy w bieżącym wydaniu „Nadwisłocza”. Następnie zaś złożono wieńce na przykościelnej „Ścianie Katyńskiej”. Dalszy ciąg spotkania miał miejsce w Pałacyku Oborskich w Mielcu, po przywitaniu gości przez mec. Bienka głos zabierali m.in. Józef Lewczak, Janusz Chodorowski, Józef Witek, Mieczysław Janowski i inni. Wystąpienia odnosiły się m.in. do historii samorządu w Mielcu i Rzeszowie, a także do współczesnych zagadnień, w tym osiągnięć samorządu Mielca.

Inf. i fot.

Włodzimierz Gąsiewski

SKĄD WYSZLIŚMY?

SYTUACJĄ SPOŁECZNO GOSPODARCZĄ MIELCA A NARODZINY SAMORZĄDU I INICJATYWY ZMIERZAJĄCE DO WYJŚCIA Z KRYZYSU



Józef Lewczak



Mieczysław Janowski

Kazimierz
Ferenc

Janusz Chodorowski

Trześcią tak sformułowanego tematu będzie socjologiczne ukazanie zmiany społecznej jako immanentnego elementu rzeczywistości społecznej, ujętej w określonym kontekście społeczno – gospodarczym, na przykładzie systemowych przekształceń ustrojowych w pierwszych 4-ch latach funkcjonowania samorządu gminnego (lokalnego).

Zdaniem profesora J. Szczepańskiego prawo zmienności ma charakter metafizyczny, gdyż Stwórca swoje dzieło stworzenia pozostawił człowiekowi do jego dalszego przekształcania – „czynienia go sobie poddanym”. Stworzony świat należy zmieniać, pamiętając jednak, że dzieło zmieniania nie jest równoważne z dziełem stworzenia.

W socjologii zmiana społeczna rozumiana jest jako różnica między systemem społecznym w jednym momencie czasu i stanem tego samego systemu w późniejszym momencie. O zmianie możemy mówić wtedy, gdy stan wcześniejszy i późniejszy różnią się pod rozmaitymi względami. Ten proces – ciąg zazębiających się ze sobą zmian, w zależności od intensywności, tempa oraz zakresu przestrzennego, przybiera charakter zmian ewolucyjnych bądź gwałtownych – rewolucyjnych. Kontynuując myśl prof. Szczepańskiego - człowiek jako byt przygodny i niedoskonały w dążeniu do własnego rozwoju, poprzez ulepszanie społecznej rzeczywistości, skazany jest na wady i niedoskonałości swojego dzieła. Stąd kłopoty społeczne – ujemne strony przeobrażeń.

Każda inicjowana świadomie, tj. przygotowana i zaplanowana zmiana społeczna rodzi oprócz skutków zamierzonych – pozytywnych (najczęściej odległych), zjawiska niepożądane, które trudno wcześniej precyzyjnie przewidzieć, eliminować czy kontrolować.

Dotyczy to zarówno zmian zachodzących w społeczeństwach najwyżej rozwiniętych, określanych mianem – post-informatycznych, jak i w społeczeństwach rozwijających się, takich jak Polska, chociaż skala jakościowa w każdym przypadku jest zgoła różna. Ujemne konsekwencje przemian w społeczeństwach post- informatycznych opisuje E. Fromm w sposób następujący:

Wspaniałe osiągnięcia (skutki przemian), w postaci:

- nieograniczonej produkcji,
 - absolutnej wolności,
 - nieskrępowanych sposobów osiągnięcia szczęścia,
- źródło nowej religii i nadziei, przyniosły w efekcie traumę, jako konsekwencję niespełnionych obietnic, gdyż:
- zaspokajanie wszelkich pragnień nie sprzyja szczęśliwości,
 - wolność, w zbiurokratyzowanej maszynie społecznej jest fikcją,
 - zagrożenia ekologiczne z różnych stron oraz groźba wojny jądrowej, czy choćby katastrofy elektrowni jądrowej, czynią te społeczeństwa - społeczeństwami ryzyka.

Rok 1989 rozpoczął „rewolucję bez rewolucji” - początek transformacji systemowej w Polsce, zmian powszechnie pożądanym, ale z racji bezprecedensowej sytuacji – braku wzorców w tym zakresie – niemożliwym do zaplanowania. Stąd szybko marzenie o zmianie przerodziło się w cierpienie wywołane zmianą.

„O roku ów kto ciebie widział w naszym kraju?” chciałoby się przywołać słowa A. Mickiewicza o roku 1812.

Rok 1989 już na początku przemian podzielił społeczności na trzy grupy:

- zadowolonych z upadku systemu „szczęśliwości”- socjalizmu (podobno z ludzką twarzą?),
- niezadowolonych, z powodu utraty osiągniętych pozycji, należnych im z racji socjalistycznej sprawiedliwości dziejowej,
- refleksyjnych, mających świadomość wielkiego wydarzenia, ale też początku poważnych trudności, stawiających pytanie: co dalej?

Wszystkie te grupy ludzi charakteryzowało jedno: nieznaną procesów transformacji i brak wiedzy o funkcjonowaniu kapitalizmu.

Według Jefreya Sachsa - „Skok w wolny rynek” - spowodował społeczną kontuzję, która wymaga długiego leczenia, na skutek :

- liberalizacji gospodarki (ceny, wymiennalność pieniądza, zniesienie ceł),
- polityki ekonomicznej (usamodzielnienie przedsiębiorstw),
- prywatyzacji
- ujawnienia bezrobocia ukrytego, które

NADWISŁOCZE SAMORZĄDOWE

to zjawiska uruchomiły rynek, eliminując z niego miliony ludzi, przenosząc je do sfery socjalnej.

Zmiany przeciągające się w czasie, nie przynoszące ludziom poprawy jakości życia, utrzymujące ich w niepewności i poczuciu zagrożenia, wywołują dwa rodzaje skrajnych postaw. Na jednym biegunie postawy obronne i egoistyczne, wyrażające się nadmierną chęcią zabezpieczenia się, wykorzystujące charakterystyczne w tym okresie obniżenie standardów prawnych i moralnych. O tej grupie ludzi, powie w 1995 r. prof. A. Tymowski – przewodniczący Rady Polityki Społecznej przy prezydencie RP, podsumowując koszty społeczne przemian. Parafrazując znane powiedzenie Winstona Churchilla stwierdził „nigdy jeszcze tak niewielu nie zyskało tak dużo kosztem ogółu”.

Na drugim biegunie zaś postawy ludzi, którzy w obliczu braku perspektyw i nadziei na przyszłość popadają w stan apatii – rezygnują z wszelkich działań na rzecz poprawy swojej sytuacji w przekonaniu, że nie zmienią one ich losu, tworząc zbiorowości o tzw. wyuczony bezradności – ludzi wykluczonych. Ich rozmiar w aktualnej dobie szacuje się wielkością 10%.

Dokładny scenariusz w/w zjawisk miał miejsce w Mielcu, mieście 64 tysięcznym charakteryzującym się monokulturą przemysłową, tzn. „Małe miasto – duży zakład”. Mówiono wówczas, że w regionie „rządzi WSK”, ponieważ jego rozwój wyprzedzał rozwój miasta, a znaczna część infrastruktury miasta i regionu finansowana była z budżetu państwa, pośrednio przez WSK. Konsekwencje transformacji z całą siłą ujawniły się już w pierwszych latach I kadencji samorządu gminnego.

Trudności ekonomiczne dużego zakładu, w którym z każdej rodziny przynajmniej 1 osoba pracowała w nim, spowodowane recesją i utratą rynku wschodniego oraz problemami przestawiania gospodarki na wolny rynek, sprawiły, że stanął on na krawędzi bankructwa.

W konsekwencji, w okresie od 1989 do 1994 r. zatrudnienie w WSK zredukowano z 20 do 9 tysięcy. Stopa bezrobocia – zjawiska dotąd nieznanego, w poszczególnych latach wyrażała się następująco:

1990 – 6,7 %
1991 – 13,2 %
1992 – 16,3%
1993 – 20,4 %
1994 – 20,8 %

W połowie I kadencji samorządu wszystkie zakłady sektora publicznego w mieście zatrudniały 13 tysięcy ludzi, zaś prywatnego (3 znaczniejsze) – ok. 700 osób. Łącznie, o połowę mniej, niż w przeszłości 1 duży zakład.

Wzrastająca ilość rejestrowanych podmiotów gospodarczych nie świadczyła jeszcze o ożywieniu gospodarczym, ponieważ dotyczyła drobnego handlu, który upadał wskutek niskiej opłacalności. Dochód na 1 mieszkańca Mielca – 1,9 mln zł plasował go w grupie miast ubogich, w stosunku do bogatych, z dochodem co najmniej 15 mln. Skutki takiej sytuacji szybko dały znać o sobie. Rosła w zatrważającym tempie liczba rodzin, których dochód po uiszczeniu kosztów stałych nie wystarczał na zabezpieczenie podstawowych potrzeb. Stąd gwałtowny wzrost liczby rodzin niepłacących czynszu mieszkalnego, a następnie za energię i gaz. Nie płać już, również ZOZ za przychodnie lekarskie. Już w połowie pierwszej kadencji samorządu 30% rodzin społeczeństwa mieleckiego korzystało z Pomocy Społecznej. Zasiłki z tytułu ciąży i macierzyństwa płacono z dwumiesięcznym opóźnieniem bez rewalforyzacji. Charakterystycznym symptomem biedy mieleckiej była dodatkowo bezradność w sprawach opiekuńczo – wychowawczych i prowadzenia gospodarstwa domowego rodzin niepełnych i wielodzietnych, wynikająca nie tylko z braku pieniędzy. Rejonowy Urząd Pracy nie był w stanie

zaferować zatrudnienia z braku ofert, ograniczając się do wypłaty zasiłku, a punkt ciężkości z bezrobocia przesunął się na pomoc społeczną.

Najbardziej dramatycznym ze względu na nasilenie się negatywnych skutków rozpoczętej restrukturyzacji przedsiębiorstwa był rok 1992 r.

Jeszcze nie było pełnej koncepcji programu restrukturyzacji przedsiębiorstwa, a skutki bezrobocia już istniejącego i docelowy jego rozmiar wywoływały reakcje społeczne, które znany socjolog Edmund Wnuk-Lipiński porównał do szoku męża, który zastał ukochaną żonę in flagranti.

Krótki przegląd doniesień prasy lokalnej pozwala wykrystalizować problemy, którymi żyła społeczność mielecka – głównie jej obawy, bo nadzieje okazały się czymś znacznie odległym.

Henri Stendhal – prozaik francuski, jest autorem aforyzmu, mówiącego, że literatura jest zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu. Ta prawda, odniesiona w stosunku paralelnym do prasy lokalnej, jako słowa pisanego – ukazuje obraz społeczności mieleckiej, odbijający się w tym „lustrze”.

W owym „zwierciadle” lokalnej prasy widzimy głównie ludzi pracy ze swoimi problemami, tj. zagrożeniem, ponieważ „nowe” ujawniło wyłącznie koszty i konieczność olbrzymich wyrzeczeń, ponadto nierówno rozłożonych.

Wyprzedzał majątku, krociowe zarobki członków zarządu i Rad Nadzorczych, nowo kreowanych spółek, (na siłę tworzonej warstwy średniej), generujących długi przy jednoczesnym braku na wynagrodzenia pracowników i pustym budżecie państwa w odniesieniu do oświaty i służby zdrowia, kształtowały nastroje nie tylko załogi przedsiębiorstwa, ale szerokiego otoczenia.

Prześledźmy tytuły z gazety lokalnej – Głosu Mieleckiego, z newralgicznego dla samorządu miejskiego roku 1992: „Droga do nikąd” Nr 12; „Restrukturyzacja przedsiębiorstwa” Nr 38; „Zwolnienia – 2500 pracowników” (24.04.1992); „Protest RM przeciw likwidacji szpitalnych oddziałów specjalistycznych”; „Kryzys w MSM Nr 9, jakie są granice ludzkiej wytrzymałości - „Płacę, ale płacę”; „Burza wśród radnych” (likwidacja niektórych zbędnych żłobków i przedszkoli); „Połowiczny sukces „Irydy”; „Budżet miasta – bieda budżet” Realizacja zadań urzędu przy dwukrotnie mniejszym budżecie niż w roku 1990; „Proces restrukturyzacji WSK zbyt powolny”; „Bokiem do przemian. Kadra inżynierijno – techniczna milczy”; „Załogom żyje się coraz gorzej”; „Mielec, ludzie, bezrobocie”; „Utworzenie miejskich zakładów budżetowych”; „Strajki w WSK”; „Apele do władz miasta”; „Dramatyczne listy RM do Sejmu i Senatu RP”; „80 dzień strajku”; 13 listopada – piątek „uliczny marsz rozpaczy”.

Podstawowa zasada społeczna gospodarki rynkowej „Tak mało państwa, jak tylko możliwe, tak dużo państwa jak tylko potrzeba”, realizowana była tylko w jej I części. Częściowo świadomie, a bardziej z niemożliwości, nie realizowano II części zasady. W przypadku Mielca, gdy w WSK zabrakło na wynagrodzenia, gwarantowanego wcześniej przez państwo, szala gorczy się przelała. Zdesperowani pracownicy swoją agresję obrócili przeciwko wszystkim: Zarządcy Komisarzycznemu przedsiębiorstwa, Związkom Zawodowym, władzom miasta, parlamentowi, wszystkim, od których, wg manifestujących, zależał ich los. Tak więc gaszenie społecznych pożarów stało się również domeną miasta, na które spadło odium niepowodzeń WSK.

Wiec zdesperowanych pracowników, z terenu zakładu, przeniósł się pod budynek Urzędu Miasta, gdzie wykrzykiwano istotne socjalne hasła: „chcemy pracy”, „chcemy chleba”, „chcemy godnie żyć”.

Po rozmowie telefonicznej Prezydenta Miasta z Ministrem Przemysłu i Handlu, który podał termin przyjazdu do WSK, pracownicy powrócili do przedsiębiorstwa, gdzie czekali na

jadącego do Mielca Wojewodę Rzeszowskiego i rzeszowskich parlamentarzystów.

Wyłoniona w wyborach w maju 1990 r. Rada Miasta, spośród niej przewodniczący pan Andrzej Osnowski, a następnie zarząd miasta w składzie:

Prezydent – Władysław Bieniek,
V-ce Prezydent – Marian Strycharz,
Członkowie:
Jerzy Kumaniecki,
Ryszard Perłowski,
Krzysztof Podolski (od 1991 r. Józef Leśniak),
Jan Wróblewski,

stanęli wobec podwójnie trudnego zadania. Realizacja zadań własnych samorządu gminnego powołanego z niebytu, wymagała transformacji nie tylko poglądów na nową rodzącą się rzeczywistość, ale zmianę dotychczasowej hierarchii rozwiązywania problemów.

Dotąd troska o wydajność budownictwa mieszkaniowego wymusiła jako priorytet inwestycję w infrastrukturę towarzyszącą budowanym osiedlom bądź przyłączonym do miasta. Drugi powód to sygnalizowana już atmosfera przekształceń - oczekiwania i presja załóg przedsiębiorstwa i związków zawodowych na rozwiązywanie przez samorząd problemów pracy, na równi z zarządzaniem gminą, mimo, że nie były zadaniami własnymi gminy.

Presja ta była tak duża, że rzutowała na:

- politykę kadrową urzędu miejskiego (tj. wielkość zatrudnienia i wysokość wynagradzania urzędników),
- tematykę obrad RM (brak tematu bezrobocia w jakiegokolwiek formie odbierany był jako przejaw nieodpowiedzialności i arogancji wybranej przez „lud” władzy),
- konieczność angażowania się zarządu miasta we wszelkie doraźne przedsięwzięcia zwiększające dopływ środków do „bieda budżetu” i łagodzące problemy bezrobocia oraz starania w zakresie systemowego rozwiązania „kryzysu mieleckiego”.

Te ostatnie wymagały apeli, wizyt i spotkań z członkami rządu i prezydentem Lechem Wałęsą - honorowym obywatelem Mielca, łącznie. To na spotkaniu w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej minister Jacek Kuroń powiedział do przedstawiciela mieleckiego samorządu: „proszę pana, problemy mieleckie da się zinventaryzować na palcach jednej ręki i my je rozwiążemy”.

Ilustracją zaangażowania zarządu miasta w rozwiązywanie problemów regionu może być przegląd wydarzeń jednego tygodnia z omawianego roku 1992 – w marcu, kiedy toczyły się twarde negocjacje administracji WSK ze związkami zawodowymi w sprawie kolejnych zwolnień grupowych:

- 4 III 1992 r. spotkanie władz miasta i ZOZ z wojewodą rzeszowskim i lekarzem wojewódzkim nt. sytuacji mieleckiej służby zdrowia i dalszych losów budowy szpitala zaawansowanej a przerwanej.
- 5 III 1992 r. w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej gościła delegacja Mielca z prezydentem miasta, który złożył wniosek o ustanowienie regionu mieleckiego strefą bezrobocia strukturalnego. Wtedy to prezydent usłyszał z ust v-ce ministra A. Słowika słowa: „co nam pan mówi o 15 tysiącach bezrobotnych, gdy ja mam w Łodzi 100 tysięcy.”
- 7 III 1992 r. w Urzędzie Miasta odbyło się pierwsze spotkanie specjalnego Zarządu Antykryzysowego, powołanego przez Zarząd Miasta, w celu wypracowania sposobów powstrzymania procesów recesji.

W spotkaniu uczestniczyli: wojewoda rzeszowski Kazimierz Ferenc i Przewodniczący Sejmiku Samorządowego województwa rzeszowskiego Andrzej Dec.

W takiej to atmosferze (okolicznościach) Rada Miasta poprzez Zarząd i Komisje realizowała założenia programowe przyjęte na okres kadencji.

Rozpoczęto je z zastanym na 1990 r. budżetem z kredytem i zobowiązaniami płatniczymi, na które nie było pokrycia. Dzięki aktywizacji dochodów oraz oszczędności na nakładach inwestycyjnych i redukcji zatrudnienia udało się wyjść z deficytu. Nie mogąc w pełni przeciwdziałać bezrobociu, rozwinięto system działań zaradczych, łagodzących jego skutki. Już we wrześniu 1990 r. Rada Miasta podjęła uchwałę zwalniającą z podatku od nieruchomości nowopowstałe podmioty gospodarcze w zależności od ilości zatrudnionych bezrobotnych przez odpowiedni okres czasu.

Imperium Pomocowe – tak określono Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej – ze względu na zakres świadczonej pomocy (łącznie objął pomocą 6 tysięcy rodzin) oraz inicjatywy w zakresie łagodzenia skutków bezrobocia - był wówczas przykładem społecznej wrażliwości na jawiące się problemy ludzi, tracących źródło utrzymania. Na osłony socjalne tylko w r. 1993 wydano 14 % budżetu miasta.

Dla osób w ciężkich sytuacjach losowych, ludzi starych, samotnych, chorych utworzono:

- Zakład Opiekuńczo – Leczniczy,
- Dom Dziennego Pobytu,
- Usługi opiekuńcze w domu chorego,
- Schronisko dla bezdomnych,
- Jadłodajnię (wspólne przedsięwzięcie MOPS i Caritas).

Dla dzieci z upośledzeniem umysłowym powstał Ośrodek Rehabilitacyjny.

Łącznie w szeroko rozumianej sferze opieki społecznej, znalazło zatrudnienie 120 osób (25 osób w 1990 r.).

Działaniami łagodzącymi skutki bezrobocia była organizacja robót publicznych –kilkaset stanowisk rocznie oraz prac interwencyjnych, dających ludziom szansę czasowej pracy i nabycia prawa do zasiłku, często stałego zatrudnienia. Przyjęto zasadę preferowania w ramach robót publicznych takich inwestycji, które dają nowe miejsca pracy i jednocześnie służą rozwojowi społeczno – gospodarczemu miasta. Aby wesprzeć upoważnione zakłady pracy do realizacji inwestycji w ramach robót publicznych w 1992 r., przeznaczono z budżetu 500 mln na wydatki, związane z tymi robotami.

Zakończone sukcesem w sierpniu 1992 r. starania o umieszczenie Mielca na liście gmin zagrożonych tzw. strukturalnym bezrobociem skutkowało:

- obniżeniem podatków dochodowych przedsiębiorstw poprzez szybszą amortyzację środków trwałych,
- zwiększeniem środków na tzw. aktywne zwalczanie bezrobocia czyli na tworzenie nowych miejsc pracy i wyposażenie stanowisk pracy,
- wydłużeniem okresu pobierania zasiłku przez bezrobotnych.

Działania Zarządu nie ograniczały się jedynie do organizacji czasowych miejsc pracy.

Już w 1991 r. podjęto inicjatywę budowy w Mielcu Hali Targowej ze środków poza budżetowych. Wybudowana w krótkim czasie, wraz z targowiskiem dała zatrudnienie ok. 200 osobom, głównie – kobietom.

W 1992 r. Zarząd Miasta był współinicjatorem dużego przedsięwzięcia: budowy domu towarowego „Pasaż”. Przy jego budowie pracę znalazło kilkadziesiąt osób, a po wybudowaniu, co najmniej 200. Bardzo odważną w tamtym okresie (jeżeli nie pierwszą, to jedną z pierwszych w kraju) była decyzja sprzedaży części długu WSK wobec Urzędu Miasta Mielca (w wysokości 2 mld zł.) firmie „Gąsior – Rączka”, w zamian za opracowanie i wdrożenie systemu obsługi komputerowej Miejskiej Komunikacji Samochodowej.

Podniesienie jakości usług MKS promowało image firmy mieleckiej, dającej zatrudnienie wielu ludziom i ofertę jej produkcji. Tego typu praktyki szeroko stosowane w późniejszych latach znane były pod nazwą „handel długami”.

Potrzeba rozwiązania kompleksowego problemu gospodarki regionu mieleckiego sprawiła, że wiosną 1992 r. z inicjatywy i na zlecenie Zarządu Miasta i Mieleckiej Agencji Rozwoju Regionalnego doszło do opracowania „Programu Restrukturyzacji Regionu Mieleckiego”. W programie tym uwzględniona została koncepcja „Specjalnej Strefy Ekonomicznej”.

Mimo dużego obciążenia budżetu kosztami socjalnymi realizowano inwestycje konieczne, by miasto mogło żyć:

- na uzbrojenie terenów pod budownictwo mieszkaniowe wydano 20 mld.,
- dokonano dalszej rozbudowy obiektu uzdatniania wody i zakończono budowę filtrów węglowych.

Najważniejsze wykonane inwestycje (lub będące w toku realizacji) to:

- wodociąg do Rzochowa i Wojsławia,
- kanalizacja osiedli: Borek Niski, Smoczka,
- kanalizacja i nawierzchnia ul. Nowej.

Pomimo trudnej sytuacji w jakiej przyszło działać samorządowi I kadencji, gdzie „wszystko było pierwsze, po grudzie i do naprawy”, wniósł on znaczący wkład w rozwój miasta i regionu, stwarzając podwaliny samorządności dla następnych kadencji.

Bibliografia:

1. Bieniek W., *Raport z kadencji (1990-1994) Rady Miasta w Mielcu* /materiały niepublikowane/
2. Długosz P., *Trauma wielkiej zmiany na Podkarpaciu*. Zakład Wydawniczy „NOMOS”, Kraków 2008.
3. Strycharz M., *Sytuacja regionu mieleckiego*. Mielec, 1997 /materiały niepublikowane/
4. Szczepański J., *Reformy, rewolucje, transformacje*. IFiS PAN, Warszawa 1999.
5. Tymowski A., *Miało być lepiej*. Zeszyty „ZG” nr 15, 9/04/95.
6. Roczniki „Głosu Mieleckiego” z lat 1990 – 1994.

Józef Lewczak

- dr filozofii chrześcijańskiej (KUL 1981);
dyrektor Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Mielcu,
Sekretarz Miasta w latach 1990-1994

30 lat „Solidarności”

nr 2 10.11.1980r



GŁOS SOLIDARNOŚCI

Pismo KZ NSZZ „Solidarność” WSK „PZL - Mielec”

UCHWAŁA № 3

Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego

SOLIDARNOŚĆ

WSK „PZL - Mielec” w Mielcu z dnia 5 .11. 1980 r
podjęta przez załogę na powołanym posiedzeniu plenarnym

1. Żądamy przestrzegania przez Władze Państwowe PRL pełnej i rzetelnej realizacji punktu 3 Porozumienia z Gdańska zawartego w dniu 31.08.1980 r i postanowień Konwencji Nr 87 i 98 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych, ratyfikowanych przez PRL odpowiednio w 1956 roku i 1977 .

Komunikaty

Komitetu Załogowego NSZZ „Solidarność”
WSK „PZL - Mielec” z dnia 10 . 11 . 1980 r

Krajowa Komisja Porozumowawcza NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku ogłasza dzień 12.11.1980 r dnem gotowości strajkowej dla wszystkich załóg zakładów pracy reprezentowanych przez NSZZ „Solidarność”. Stan gotowości strajkowej jest ogłoszony jako protest przeciw bezprawnym działaniom dokonywanym w Stalucie NSZZ „Solidarność” przez Sąd Wojewódzki w Warszawie, nieuzupełnieniu informacji o działalności naszego związku oraz nie wypełnianiu Porozumienia Gdańskiego. Komitet Załogowy NSZZ „Solidarność” w celu osiągnięcia gotowości strajkowej w naszym przedsiębiorstwie od godziny 15.00 dnia 10.11.80 r postanawia:

Winieta drugiego numeru „Głosu Solidarności” WSK „PZL-Mielec” z 10 X 1980 r., zb. wł.

30 i 31 sierpnia mielczanie świętowali 30 rocznicę powstania „Solidarności”. W czasie dwudniowych obchodów odbyła się uroczysta msza święta, konferencja rocznicowa oraz otwarto wystawę „Pamiętki Mieleckiej Solidarności”.

- Talony były i na samochody, i na pralki, i na lodówki – mówi o komunistycznych czasach ówczesny członek komitetu strajkowego OBR SK, Henryk Sowa - Był to czas nierównego rozdzielania dóbr, bo kto inny wypracował dobra, a kto inny z nich skorzystał. Bo była jedna akurat słuszna partia i ona zawsze podobno miała rację i wiedziała czego obywatel potrzebuje. – dodaje ironicznie. – Stąd te postulaty w czasie strajków, najpierw typowo ekonomiczne: obiecane podwyżki, lepsze zaopatrzenie. Dziś mogą się wydawać bzdurnymi, ale jeśli kobiety stały po kilka godzin, żeby dostać 70 dag kiełbasy, czy tam 0,5 kg mięsa z kością, no to człowiek zamiast czas poświęcić dla rodziny, czy na rozrywkę, spędzał go w długich kolejkach.

Od walki o zaopatrzenie, do obalenia systemu. Najpierw na wieść o podwyżkach cen - seria strajków w różnych rejonach Polski. W Gdańsku pojawiają się po raz pierwszy żądania polityczne. 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, dotyczące utworzenia wolnych związków zawodowych, przestrzegania konstytucyjnych praw i wolności, poprawy warunków bytowych społeczeństwa...

Potem strajk w Szczecinie i innych miastach Wybrzeża. Ustaje praca kopalń na Górnym Śląsku. Strajki rozlewają się na cały kraj. Podpisane zostają Porozumienia Sierpniowe. Powstała na bazie licznych komitetów strajkowych Solidarność, zostaje zarejestrowana 10 listopada 1980 roku przez Sąd Okręgowy w Warszawie. Obecnie, 30 lat później, już w wolnej Polsce, możemy bez przeszkód świętować powstanie „Solidarności”

Główne obchody rocznicowe miały miejsce w Gdyni, Szczecinie i Jastrzębiu. Ale i inne miasta pamiętały. Wszędzie coś się działo. Kraków – na Placu Szczepańskim oddtworzenie filmów dotyczących „Solidarności”, koncerty, konkursy. Wrocław – koncert, prezentacja monografii dolnośląskiej oraz pokaz multimedialny przy wrocławskiej Hali Stulecia. Poznań – przygotowana przez IPN, plenerowa wystawa „Solidarność i opozycja w Wielkopolsce 1980 – 1990”. Katowice – wielki piknik. Olsztyn – wystawa i mnóstwo konkursów. W każdym mieście świętowano. A jak rocznicę porozumień sierpniowych obchodził Mielec?

Nasze miasto uczciło „Solidarność” 30 i 31 sierpnia. Uroczystości zorganizował Klub Inteligencji Katolickiej w Mielcu oraz Delegatura NSZZ „Solidarność” w Mielcu.

Pierwszego dnia, o godzinie 18.00, w Kościele Matki Bożej Nieustającej Pomocy odbyła się msza święta, w czasie



Na zdjęciu od lewej, księża koncelebrujący mszę świętą, po prawej, wierni zgromadzeni w kościele Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Mielcu (fot. W. Gąsiewski)

której kazanie wygłosił ks. prof. dr hab. Janusz Królikowski. Ludzi było sporo, przeważnie starszych – członków „Solidarności”, lub osoby pamiętające wspomniane czasy. Podczas kazania poruszono wiele ważnych kwestii - nie tylko historycznych, lecz również jak najbardziej aktualnych. Ks. Królikowski rozpoczął od opowieści o włoskim działaczu, który pefen podziwu oglądał programy z Polski, z lat 80., z czasów „Solidarności”. Zaznaczał on jednak, że według niego niewłaściwą rzeczą jest obecność krzyża – a to podczas pochodów, a to w czasie rozmów, to znów w sali, gdzie wisi obok godła. „Niech krzyż będzie w kościele” – mówił Włoch i dziwił się, na co robotnikom krzyż w czasie pracy i w obliczu codzienności. A przecież, jak powiedział ks. Królikowski, Solidarność rodziła się pod znakiem krzyża i Matki Boskiej Częstochowskiej. Przypomnił czym wtedy był krzyż – znakiem odwagi i cierpienia za innych, które nadają życiu sens. Kazanie dotyczyło dziejów wolności, robotników żyjących w strachu i w fałszu, a solidarnościowej walki o prawdę. Ks. Królikowski przypomniał procesję Bożego Ciała, w Chorzelowie w roku 1980, gdy na każdym z 4 ołtarzy umieszczono cytaty biblijne i każdy zawierał to ważne słowo – Prawda - pisane dużą literą. Powiedział też jakże oczywiste, a jednocześnie jak ciężkie do zaakceptowania zdanie – że Chrystus umarł na krzyżu za wszystkich, nawet za działaczy partyjnych.

- Kazanie było wysokiej klasy – komentują małżonkowie, Józef i Maria Karaś, którzy w tamtych trudnych czasach należeli do Solidarności – Głębszego związku z nią nie mamy. Czujemy jedynie sympatię i sentyment. Nie byliśmy internowani, ale KIK w stanie wojennym został zawieszony.

W latach 80. Maria Karaś pracowała w PKO, jej mąż w Spółdzielni Spożywców. Teraz są już na emeryturze i żałują, że tak mało osób przyszło uczcić „Solidarność” i Porozumienia Sierpniowe. Nie było tłumów. Nie było młodzieży.

- To było 30 lat temu – wzdycha Maria – Może trochę członków już się wykruszyło?...

Po mszy świętej, pod tablicą „Solidarności” ulokowaną przy kościele MBNP, złożono kwiaty. Był i biało – czerwony sztandar. Tłum wiernych ustawił się by uczcić Solidarność. Kwiaty za minione czasy. Za wszystkich walczących o wolną Polskę.

- Miałam wtedy małe dziecko – blondynka, która pragnie pozostać anonimowa, wspomina mieleckie strajki – Z tego powodu szłam do domu, gdy w czasie strajku okupacyjnego na WSK część pracowników zostawała w zakładzie. Spali na piankach, na styropianie. W budynku administracyjnym, na takiej dużej Sali Konferencyjnej, na halach. Byli zwalniani, internowani. To były okropne czasy. Mój syn jest alergikiem. Pamiętam, jak musiałam jechać aż do Pionek, żeby kupić dla niego płatki mydlane. I musiałam wyrobić specjalną przepustkę na podróż!

Jak to się wszystko zaczęło?

O przebiegu strajków, o Mielcu okresu komunizmu, o wolności i Solidarności – mówiono 31 sierpnia, podczas konferencji „Pamiętne Rocznice”. W czasie spotkania w Samorządowym Centrum Kultury w Mielcu, otwarto także wystawę „Pamiętki Mieleckiej Solidarności”, którą można oglądać w sali numer 1. Otworzył ją Marian Strycharz, jeden z jej twórców. Składają się na nią pamiątkowe zdjęcia i dokumenty.

Konferencję rozpoczęto o 17.00. Jako pierwszy wystąpił ks. prof. dr hab. Janusz Królikowski ze swoim wykładem „Rocznica Grunwaldzkiej Wiktorii”. W czasie mówienia, wyszedł daleko poza temat – mówił o Odsieczy Wiedeńskiej, o Powstaniu Styczniowym i Warszawskim oraz o Solidarności. „Czemu świętujemy wojny? – pytał, omawiając bitwę pod Grunwaldem – Otóż, wolności należy bronić nawet za cenę wojny i ofiar. Staje się bowiem po stronie wolności, duchowości człowieka i jego zbawienia. Z tej postawy i wartości zrezygnować nie wolno” – apelował wykładowca, dodając że „skłaniamy głowy przed walczącymi, bo idea wolności, jest ideą kruchą”.

Następnie Bogusław Kleszczyński z rzeszowskiego oddziału IPN omówił „30 lat Solidarności w regionie rzeszowskim”. Opowiedział o jej pochodzeniu – że wynikała ze zniewolenia, z poczucia krzywdy i niesprawiedliwości, z pogarszającej się sytuacji zaopatrzeniowej kraju i z nadziei na zmianę, jaką wzbudziły wybór i wsparcie nowego papieża Jana Pawła II. Przytoczono wiele istotnych faktów. Miejsca-



Maria Karaś i Józef Karaś (fot. A. Jabłońska)

NADWISŁOCZE SOLIDARNOŚCIOWE

mi miała nawet miejsce współpraca z publicznością, która uważnie śledziła omawiany temat i komentowała poszczególne opisy, dodając do nich swoje wspomnienia. Dyskutowano między innymi o wybuchu mieleckich strajków. Czy byliśmy pierwszymi, którzy zbuntowali się przeciwko władzy komunistycznej? „Strajk na PZL – WSK Mielec wybuchł już 1 lipca 1980.” – zgodzili się wszyscy. „Ale Zakłady Mechaniczne w Świdniku strajkowały już chyba 28 czerwca” – odezwał się ktoś na sali. Jednak pracownik IPN przypomniał, że władze PRL uważały strajk w Mielcu za pierwszy z tych największych, które miały miejsce tamtego lata. „Między innymi Stanisław Kania i Mieczysław Rakowski dali temu wyraz w swych przemówieniach i wystąpieniach.” – zauważył. Sprawą tą powinni się zająć historycy. Ale nawet jeśli Mielec nie był pierwszym, był jednym z pierwszych miast, gdzie strajkowano. Powinniśmy być z tego dumni.

- Dobrze, że są organizowane tego typu konferencje. Trzeba pamiętać, że gdy jest się świadkiem, uczestnikiem wydarzeń, nie wie się o wszystkim. O pewnych kontekstach, które się dzieją z boku. – zauważa senator Władysław Ortyl – W związku z tym takie wystąpienia mają tę szczególną wartość, że dają pewną analizę porównawczą sytuacji.

Wspomnienia sprzed 30 lat

- O strajkach w Mielcu dowiedziałem się będąc na obozie HP w Leżajsku – wspomina Zbigniew Zieliński – Miałem wtedy 16 lat. Poinformował nas o tym instruktor. Wracam do Mielca, a tu cisza! Potem huknęła wieść o strajkach Wybrzeża.

- Ja chodziłem wtedy do Zasadniczej Szkoły Przemysłowej w Mielcu. – opisuje Józef Serafin - Od razu wciągnęła mnie atmosfera strajków. Ta spontaniczność, przychylność sobie nawzajem. Zaangażowałem się dość mocno w kolportaż. W stanie wojennym chodziłem ze znaczkiem Solidarności. Raz Bezpieka zgarnęła mnie w biały dzień z ulicy. Tydzień później do pracy przyjechała po mnie już inna ekipa. Pisano o mnie meldunki. Mam to teraz w posiadaniu.

- Ja z kolei byłem przewodniczącym Wydziału Lotniczego 50. Prowadziłem strajki na wydziale 53, na wyciągnikach i na 86.- swoją historię przedstawia Tadeusz Szyfner - Żeby nie narażać ludzi kazałem im stać przy planach, mapach. Strajki były 15 - minutowe. Zaczynały się równo w południe. Walczyliśmy o to, żeby była dobra praca i dobra płaca. Za strajki zdjęto mnie ze stanowiska brygadzysty. Nie zwolniono, bo byłem dobrym pracownikiem. Poprawiałem wszystkie usterki.



Urszula Malińska i mec. Władysław Bieniek otwierają sesję naukową (fot. A. Jabłońska)



Ks. Janusz Królikowski podczas wykładu (fot. A. Jabłońska)

- Potem 13 grudnia 1981 nadszedł stan wojenny. Po 23.00 godzina policyjna. Przepustki dla pracowników wracających z drugiej zmiany. Nie działające linie telefoniczne, widok kolumny czołgów jadącej drogą do Rzeszowa, kartki żywnościowe – mówi z przejęciem anonimowa blondynka.

- Pracowałem wtedy w Zespole Szkół Technicznych. – opowiada z kolei senator Ortyl - Stacjonowały tam jednostki wojska, były zakratowane okna. Później było tam też słynne przywracanie na stanowiska pracowników OBR-u. Przychodzili ukorzeni, chcąc mimo wszystko wrócić do pracy. A to wszystko działało się na oczach uczniów!

- Po stanie wojennym, po 81. roku byliśmy bardzo stłamszeni. Przygniecenie beznadzieją. Widziałem wszędzie to znużenie sytuacją. Odwiedzałem później Czechosłowację, Węgry. U nich była radość. U nas ta euforia była jedynie po 4 czerwca, po wyborach. – podsumowuje radny Rady Miejskiej w Mielcu, Henryk Sowa i stwierdza – Teraz uważam, że nie potrafimy się jako Polska promować. Byliśmy jednym z pierwszych i największych zakładów, który zastrajkował. Nie potrafiliśmy się wypromować, że byliśmy pierwsi. I tak samo Polska nie potrafi się wypromować, że była pierwsza w tych ruchach w krajach demokracji ludowej. Niemcy umieli pokazać, że u nich runął mur. A my nie potrafimy pokazać, że bez nas nie udałoby się odzyskać wolności ani Czechom, ani Węgom, ani Rumunom, a tym bardziej NRD. To musimy zmienić. Nad tym należy popracować.

Anna Jabłońska



Od lewej dr Andrzej Skowron, mgr Tadeusz Matuszkiewicz i inni uczestnicy sesji naukowej (fot. A. Jabłońska)

Teresa Paryna

OD BÓLU...

...DO NADZIEI

ZADUMANE ROCZNICE

Idą pod wzruszone pióro
niepokorni, uparci,
zrośnięci z tą ziemią
na życie,
na honor,
na śmierć!
Stawiają Ojczyźnie pomniki -
do serca serce,
kość do kości,
życie do życia ...
Idą smutnym korowodem liter,
kładą się pokosem
biało-czerwonym,
śmiertelni lecz niepokonani!
Wchodzą do wiersza,
w którym każde słowo
przed nimi na kolanach ...

VIII/04

DZWONY HISTORII

Kruszy się złoto
polskiego sierpnia -
niebo jak przedłużenie
jasnych spojrzeń matki.
Dzwonią dzwony historii.
Rocznice
sypią się jak kłosa ...
Znów zmartwychwstają imiona
tych, co z karabinem,
z granatem,
z życiorysem
rozerwanym na strzępy
raz po raz
meldowali w niebie:
- Jeszcze Polska nie zginęła!

XI/06

Teresa Paryna urodziła się w Sońnicy Jarosławskiej, mieszka w Przemyślu. Autorka zbiorów wierszy „Ziarnkiem prochu” (1992); „Dotknąć nieba” (1997); „W porze jaśminowej” (1997); „Obok milczenia” (1998); „Tylko osty” (2000); „W kwadraturze dni” (2002); „Z niebieskiej mgły” (2003); „Z białej ciszy” (2008); „Szlakiem Piątej Ewangelii” (2009) oraz wyboru wierszy „Cienie bliskie i cienie dalekie” (2004). Swoje wiersze publikowała w ponad 40 almanachach, antologiach oraz w prasie ogólnopolskiej i polonijnej. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Jej wiersze są tłumaczone na języki: angielski, arabski, białoruski, czeski, rosyjski, rumuński i ukraiński. Píše również opowiadania, prozę poetycką i felietony. Jest członkiem Związku Literatów Polskich. Posiada tytuł „Człowiek Podkarpacia’99” i odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”.

Teresa Paryna, *Od bólu do nadziei...*
Jarosław 2010. Format A-5, 176 stron.



SOLIDARNOŚĆ JEST W NAS

(w XXX rocznicę powstania)

Nie pokonał jej stan wojenny,
dekrety Unii, mur milczenia...
Jest w tobie, we mnie, w tysiącach
serc,
tak, jak szeroka polska ziemia!

„Solidarność”, solidarność...
Dziś ma Trzydzieste Urodziny!
Modlitwą, prawdą, garściami dobra –
da Bóg, zło zwyciężymy.

Więc naprzód, śmiało, solidarnie,
choć więzy zrywa trudny czas.
Połączmy dłonie, myśli, serca –
ciągle tak wielu nas...

Nie połączyła jej mgła smoleńska,
nie utonęła w powodzi.
Ciągle prowadzi do zwycięstwa,
wciąż żywa w polskim narodzie!

„Solidarność”, solidarność...
Dziś, czy kto wierzy, czy nie wierzy,
całe Niebo nam błogosławi,
Jan Paweł Wielki i Kapłan Jerzy...

Więc wstańcie, chodźmy póki w nas
duch solidarnej miłości,
gdy morze potrzeb, ocean kłamstw
i chwiejne jutro wolności...

08. 06. 2010 r.

Teresa Paryna

Mieczysław Kuriański

Katyńska lekcja

Nienawiść, nieważne skąd pochodzi,
czy ze Wschodu, czy z Zachodu,
nawet z interioru, ona zawsze godzi
w to, co z wieszczów rodu,
zrodzone z łona polskiej matki
pośród maryjnych pieśni w maju,
gdy kwitną liczne kwiatki
w zieleni łąk, a śpiew ptaszyny w gaju
oznajmia wiosnę, święto Konstytucji,
dzwony kościelne głoszą miłość Pani,
Królowej Nieba, naszej absolucji
przez Jej Syna, tu przystani.

Nienawiść jest okrutna,
zabija własne dzieci małe
oraz w kwiecie wieku, bałamutna,
wrywa krzyż z Giewontu, chwałę
naszych ojców i papieża,
rodaka z dalekiego kraju,
zaś ster Polonii wciąż powierza
ludziom z krainy na rozstaju
dróg moralnych, w bezbożności,
czyniąc minę gołębiczy – pawia,
gasi żar z przeszłości,
dziedzictwo stare przepoławia.

Porzućmy tę przywarę z piekła,
co każe strzelać kaczki,
dorzynać watahę, tak zaciekla,
że my prostaczki
już nie wiemy, po co polityka?
czyżby do waśni i zapasów
za hochsztaplera i fircyka
krotnych zarobków, ciągłych wczasów?
Nie o to chodzi w tym rwetesie,
popatrzmy na katyński straszny związek,
niech pozostanie w interesie:
Ojczyzna - nasz wspólny obowiązek.

Święta Katarzyna, dn. 28 IV 2010

105 LAT KONARSKIEGO

I Liceum Ogólnokształcące im. ks. St. Konarskiego w Mielcu jako c.k. Gimnazjum powstało w 1905 r.

Mielec 23-24 wrzesień 2010. I Liceum Ogólnokształcące w Mielcu na swoje 105-lecie miało się czym pochwalić. Po pierwsze przy tej okazji symbolicznie „uruchomiono” jeden z nielicznych w województwie, a nawet w kraju, szkolny zegar słoneczny, a po drugie oddano do użytku wyremontowaną bibliotekę, która wraz z równie nowoczesnym ogólnie dostępnym archiwum szkolnym oraz salą multimedialną staje się swoistym centrum edukacji.



Podczas jubileuszowej mszy świętej



Symboliczne „uruchomienie” zegara

Niekonwencjonalną też formułą obchodów było zorganizowanie cyklu wykładów dla młodzieży szkolnej. Przeprowadzili: w Sali Królewskiej w Mielcu – dr Włodzimierz Gąsiewski, nauczyciel I LO, wykład pt. „Miełecka Gimnazjalna Lista Katyńska” (w spotkaniu uczestniczyły klasy: I d, III d, III e); w mieleckiej „Kanie” – mgr Zofia Sawicka i mgr Michał Futyra z Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, wykład pt. „Kultura arabska” (w spotkaniu uczestniczyły klasy: I f, II f, III c i III f); w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Mielcu – mgr Marek Paduch, wykład pt. „Metaforyczne ujęcie pojęcia miłości w języku angielskim” (w spotkaniu uczestniczyły klasy: I b, II b, II c i III b); w Muzum Regionalnym w Mielcu mgr Krzysztof Haptaś, jego kustosz, wykład pt. „Dzieje miasta w świetle dokumentów archiwalnych i ksiąg metrykalnych” (w spotkaniu uczestniczyły klasy: I c, I e, II d i II e); mgr Bartosz Rachwał, doktorant Państwowej Akademii Nauk, wykład pt. „Wpływ czynników fizycznych na zmiany zachodzące w obiektach muzealnych” (w spotkaniu uczestniczyły klasy: I a, II a, II g, III a i III g).

Akademicka forma wykładów, urozmaicona prezentacjami wizualnymi i wynikami badań naukowych miała na celu zaznajomienie naszych uczniów ze sposobami przekazu naukowych treści, wykorzystywanymi podczas studiów wyższych.

Tegoroczny jubileusz poprzedziła uroczysta msza święta w bazylice mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu, której przewodniczył proboszcz ks. Janusz Kłęczek, przedstawiając w swojej homilii postać patrona szkoły ks. Stanisława Konarskiego. W nabożeństwie uczestniczyli: Poczёт Sztandarowy, zaproszeni goście, pra-



cownikami szkoły, emerytowani nauczyciele oraz uczniowie, a także chór szkolny pod dyrekcją Pawła Lisa, który przygotował oprawę muzyczną liturgii.

Po mszy świętej uczestnicy uroczystości przeszli do pobliskiego gmachu szkolnego, gdzie miało miejsce odsłonięcie zegara słonecznego znajdującego się na południowej ścianie liceum. Pomysłodawcą tej inicjatywy był dyrektor Janusz Świętoń, który chciał w ten sposób nawiązać do 105-letniej tradycji szkoły, odmierzanej rytmem wpływających godzin i lat. Zegar zaprojektował gnomonik, a także naukowiec i podróżnik Marek Szymocha, zaś jego wykonawcami byli artyści – plastycy: Honorata i Marcin Zamostni. Czasomierz wykonano renesansową, tradycyjną metodą sgraffito, polegającą na nakładaniu kolejnych, kolorowych warstw tynku. Na zegarze widnieje łaciński napis: „Adolescentia est tempus discendi” („Młodość jest czasem uczenia się”). Uroczystego przecięcia wstęgi dokonali: starosta powiatu Mieleckiego Andrzej Chrabaszcz oraz przewodniczący Rady Powiatu – Marek Paprocki. Ponieważ na dworze była piękna, słoneczna pogoda, zebrani goście z łatwością odczytali godzinę pokazywaną na szkolnym zegarze.

Następnym punktem programu było otwarcie zmodernizowanej dzięki środkom pozyskanym ze Starostwa Powiatowego, wyposażonej w nowoczesne regały i meble biblioteki szkolnej, dostosowanej do obsługi 700 uczniów korzystających na co dzień z jej zbiorów. Zebrani goście odczytali kilka złotych myśli na temat znaczenia książek, by w ten sposób zaakcentować

wagę lektury w kształceniu oraz wychowaniu młodzieży. Mądrze i aktualnie brzmią przecież słowa: „Książka i możliwość czytania to jeden z największych cudów ludzkiej cywilizacji”.

Następnie odbyła się uroczysta akademia, w której udział wzięli: zaproszeni goście, pracownicy szkoły, emerytowani nauczyciele oraz uczniowie i ich rodzice. Na wstępie dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Konarskiego Janusz Świętoń, przywitał przybyłych, m.in.: senatora RP Władysława Ortyła, starostę powiatu mieleckiego Andrzeja Chrabąszcza, prezydenta miasta Mielca Janusza Chodorowskiego, przewodniczącego Rady Powiatu Marka Paprockiego i innych kierowników instytucji samorządowych, oświatowych zaprzyjaźnionych firm i sponsorów. Nie zabrakło też emerytowanych dyrektorów I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Konarskiego w osobach Anny Maciejak, Tadeusza Łakomego i Zbigniewa Maja.

Po wstępie, którego przesłanie brzmiało: „Tradycja jest rozumem całego narodu, przesianym z jednego wieku w drugi” miało miejsce uroczyste ślubowanie na Sztandar Szkoły uczniów klas pierwszych. Reprezentanci najmłodszego pokolenia w naszej szkole przyrzekli między innymi: „przyczynić się do ugruntowania całego życia szkolnego na fundamentach mądrości, wiedzy i prawdy”.

Kolejną ważną częścią uroczystości było wręczenie nagród przyznanych pracownikom szkoły przez władze oświatowe. Antoni Rejman - nauczyciel języka niemieckiego otrzymał Nagrodę Kuratora Oświaty, w dowód uznania 30-letniej, pełnej sukcesów pracy dydaktycznej. Natomiast Nagrody Dyrektora I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Konarskiego otrzymali nauczyciele: Danuta Konopka, Anna Kozioł, Monika Toczyńska, ks. Grzegorz Grych, Krzysztof Herchel i Janusz Ingram, a także pra-

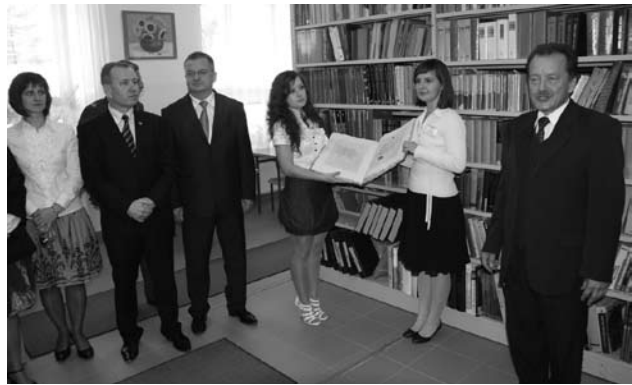
cownicy administracji i obsługi: Grażyna Czerwińska, Maria Kaczor, Krystyna Kokoszka, Władysława Kosior, Wiesława Maciejak, Bogumiła Midura, Jadwiga Piekara, Grażyna Tomasz, Radosław Kluza i Ryszard Piekara. W imieniu wyróżnionych pracowników głos zabrał Antoni Rejman, dziękując za dostrzeżenie i docenienie starań wkładanych na co dzień w kształcenie oraz wychowanie uczniów.

Akademia rocznicowa została także wzbogacona występami artystycznymi naszych wychowanków. W refleksji słownej, złożonej z tekstów Zbigniewa Herberta wystąpili: Olga Serwon z klasy III d, Daniel Syjud z klasy II a oraz Wojciech Siebierański z klasy II e. W drugiej części programu artystycznego zaprezentował się natomiast w sześciu pieśniach utytułowany Chór Młodzieżowy I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Konarskiego w Mielcu pod dyrekcją Pawła Lisa, zdobywca licznych nagród na konkursach i festiwalach ogólnopolskich.

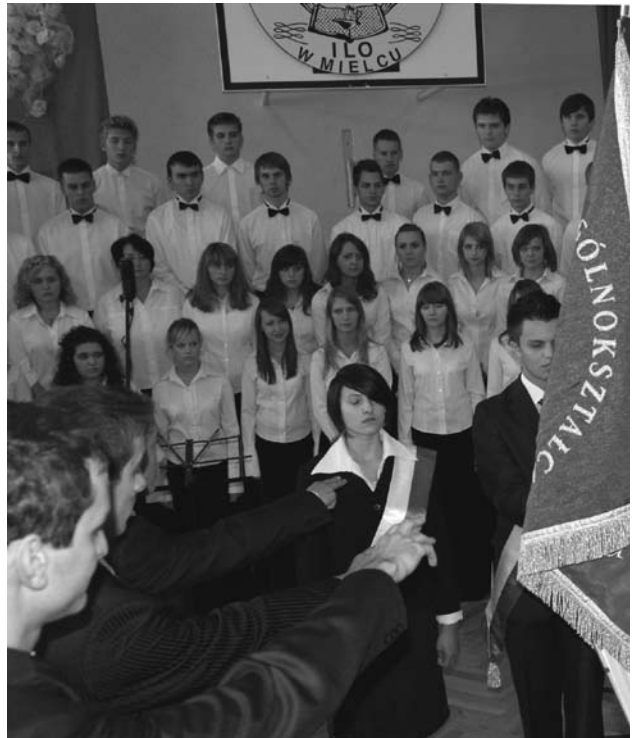
Po występach artystycznych głos zabrali zaproszeni goście, przekazując na ręce dyrektora Janusza Świętonia serdeczne życzenia jubileuszowe, a także symboliczne upominki, m.in. książki i medale. Na adres szkoły nadeszły również listy gratulacyjne od nieobecnych gości, które odczytała nauczycielka Ewa Chajdaś. Życzenia nadesłali: poseł do Parlamentu Europejskiego Tomasz Poręba, posłanka na Sejm Krystyna Skowrońska, dyrektor Instytutu Rutshuru w Demokratycznej Republice Kongo siostra Grażyna Wojnowska, naukowiec Marek Szymocha i Jacek Wójcik - przyjaciel szkoły.

Podsumowaniem jubileuszu był wykład doktora Uniwersytetu Jagiellońskiego Piotra Miodunki - historyka, absolwenta I LO w Mielcu. Uroczystości sprawnie prowadziła Małgorzata Głodzik - wicedyrektor szkoły oraz uczeń Maciej Litwin.

Inf. i fot. **W. Gaśiewski**
oraz **Małgorzata Głodzik**



Otwarcie biblioteki szkolnej



Uroczyste ślubowanie uczniów klas pierwszych

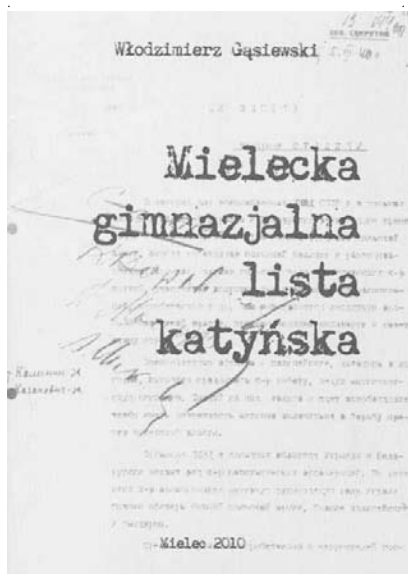


Stolik z wydawnictwami licealnymi, na pierwszym planie nauczyciele I LO, Janusz Ingram i Piotr Babula



Goście honorowi uroczystości jubileuszowych

MIELECKA GIMNAZJALNA LISTA KATYŃSKA



Z okazji 70 rocznicy zbrodni katyńskiej oraz 105-lecia Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu ukazała się publikacja Włodzimierza Gąsiewskiego, pt. „Mielecka Gimnazjalna Lista Katyńska”, w której autor po raz pierwszy w Mielcu, przedstawił zwarte i udokumentowane biogramy uczniów, absolwentów i profesorów mieleckiego Gimnazjum, którzy wiosną 1940 r. zginęli z rąk sowieckiego NKWD w Katyniu i Charkowie. W sumie autor przedstawił 22 postaci, 2 profesorów i 20 uczniów. Pięć osób zostało wykazanych po raz pierwszy i wcześniej nie było wiedzy o ich związkach z mieleckim Gimnazjum, ani też upamiętnienia na „Ścianie Katyńskiej” na murze kościelnym bazyliki mniejszej św. Mateusza w Mielcu. Wykazano też nie znane wcześniej związki jednego z zamordowanych oficerów z mieleckim Gimnazjum oraz przedstawiono postać ś.p. Leszka Deptuły, pośła Ziemi Mieleckiej, absolwenta I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu, który 10 kwietnia 2010 r. zginął w katastrofie pod Smoleńskiem w drodze na uroczystości katyńskie i tym samym na trwałe wpisał się na mielecką gimnazjalną listę katyńską.

W związku z obchodami 105-lecia Gimnazjum w Mielcu, m.in. 23 września br. odbyły się okolicznościowe wykłady dla uczniów tej szkoły. Jeden z nich, w Sali Królewskiej w Mielcu, dla uczniów klas humanistycznych I LO, wygłosił dr Włodzimierz Gąsiewski, na temat: „Mielecka Gimnazjalna Lista Katyńska”. Wykład połączony był z prezentacją multimedialną.

Podczas wykładu dr W. Gąsiewski przedstawił pokrótce następujące sylwetki z jego publikacji:

But Wincenty (1890-1944) absolwent Gimnazjum w Mielcu, płk dypl. śl. czynnej. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie;

Ciołkosz Jan (1893-1940) uczeń gimnazjum w Mielcu, ppłk śl. czynnej. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Cisowski Ludwik (1899-1940) prawdopodobnie absolwent Gimnazjum w Mielcu, kpt. art. śl. czynnej WP. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie. Do tej pory nieznany i nieupamiętniony;

Fusek Józef Mieczysław (1909-1940) uczeń Gimnazjum w Mielcu, inżynier górnictwa, por. rezerwy WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Kania Antoni (1900-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, astronom, por. art. rezerwy WP. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie. Do tej pory nieznany i nieupamiętniony;

Kawa Władysław (1891-1940) profesor Gimnazjum w Mielcu, por. rezerwy WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu.

Krempa Władysław Michał (1906-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, urzędnik skarbowy, ppor. rezerwy WP. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie. Do tej pory nieznany i nieupamiętniony;

Lubaska Marian Jan (1901-1940) uczeń Gimnazjum w Mielcu, mjr śl. stałej WP. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie;

Malinowski Edmund Paweł (1892-1940) uczeń Gimnazjum w Mielcu, lekarz, kpt. śl. stałej WP. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie. Do tej pory nieznany i nieupamiętniony;

Mazur Stanisław (1909-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, por. służby stałej WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Midura Stanisław Franciszek (1914-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, por. śl. stałej WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Pękalski Marian (1908-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, prawnik, por. rezerwy WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu. Do tej pory nieznany i nieupamiętniony;

Pociej Marian (1898-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, inżynier, ppor. rezerwy saperów WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu. Do tej pory nieznany i nieupamiętniony;

Rusek Tadeusz Feliks (1907-1940) absolwent gimnazjum w Mielcu, prawnik, por. rezerwy WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Schab Kazimierz Stefan (1909-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, prawnik, por. rezerwy WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Seiler Jan Edward (1891-1940)



Wykład w „Sali Królewskiej” (fot. D. Gąsiewski)

uczeń Gimnazjum w Mielcu, osadnik, kpt. rezerwy WP. Więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie. Do tej pory nieznan jako uczeń Gimnazjum w Mielcu;

Sokół Michał (1918-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, ppor. sł. stałej WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Tobiasz Michał (1891-1940) absolwent gimnazjum w Mielcu, ppłk sł. stałej WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Wagner Zdzisław Ludwik (1891-1940) profesor Gimnazjum w Mielcu, por. rezerwy WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Wanatowicz Bolesław Piotr (1913-1940) uczeń Gimnazjum w Mielcu, por. sł. stałej WP. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu;

Weryński Jan Piotr (1897-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, doktor prawa, wiceprezydent miasta Lwowa, chor. rezerwy WP. Zamordowany w Bykowni pod Kijowem;

Deptuła Leszek Roman (1953-2010) absolwent I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu, lekarz weterynarii, poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, zginął w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 IV 2010 r.

Dwudziestu dwóch gimnazjalnych „katyńczyków” to więcej niż jedna trzecia wszystkich upamiętnionych dotąd ofiar mordu katyńskiego wywodzących się z Mielca i Ziemi Mieleskiej, bądź tylko epizodycznie lub przez więzy rodzinne z nią związanych. Wydaje się więc, że na murze I Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego w Mielcu, powinna się pojawić także „gimnazjalna ściana katyńska”, która uwzględni ten istotny wkład walki i ofiarę życia za wolność Polski profesorów mieleckiego gimnazjum, jego uczniów i absolwentów. Inicjatywą tą jest również niniejsza publikacja. Podczas uroczystości 105-lecia Gimnazjum i I LO w Mielcu ze sprzedaży tej książki oraz innych okolicznościowych wydawnictw I LO w Mielcu uzyskano już skromną kwotę na ten cel. W najbliższym czasie rozpoczną się też działania organizacyjne.

Wkrótce też zostaną opublikowane kolejne nieznanne i nieupamiętnione osoby związane z Ziemią Mieleską zamordowane przez Sowietów wiosną 1940 r.

W. Gąsiewski

INWENTARZ ARCHIWUM

Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego w Mielcu 1905-2010

Ukazało się kolejne, już 37. wydawnictwo Agencji Wydawniczej „Promocja” w Mielcu, którym jest „Inwentarz Archiwum Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego w Mielcu 1905-2010”, które jest pierwszym opublikowanym inwentarzem archiwaliów w Mielcu i jednym z nielicznych w Polsce, zwłaszcza jeśli chodzi o zbiory dokumentów szkolnych, sięgające początku XX wieku.

Redakcji inwentarza dokonał Włodzimierz Gąsiewski przy współpracy Elwiry Przewoźnik i Krystyny Zielińskiej, nauczycieli i bibliotekarzy I LO w Mielcu. Licealne archiwum zostało wyposażone w nowoczesne, metalowe, rozsuwane regały umieszczone w wyremontowanym specjalnie to tego celu przygotowanym pomieszczeniu, którego otwarcia na początku września 2008 r. dokonał Starosta Mieleski Andrzej Chrabąszcz. Przez prawie dwa lata trwało porządkowanie i inwentaryzacja zbiorów, które zostały podzielone na działy i ponumerowane sygnatury. Dokumenty zostały ułożone w odpowiednich miejscach i spisane, czego plonem jest prezentowane wydawnictwo.

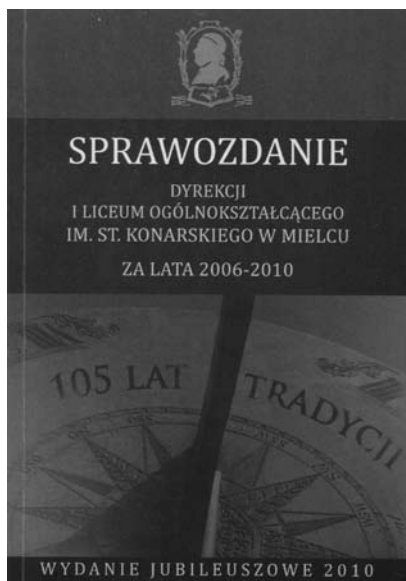
Samo w sobie stanowi ono historię Gimnazjum i Liceum w Mielcu. W sumie zawiera ok. 2500 pozycji - 1957 teczek, ksiąg, segregatorów, dzienników itp. oraz wykaz 529 ksiązek pochodzących jeszcze z przedwojennej biblioteki



gimnazjalnej. Niektóre z nich wydane były w połowie XIX wieku i mają charakter starodruków. Przy porządkowaniu archiwum, opracowaniu i redakcji inwentarza archiwalnego dokonano wręcz benedyktyńskiej pracy. Na zasadach określonych przez dyrektora szkoły można też będzie skorzystać ze zgromadzonych archiwaliów, co zapewne przyczyni się do lepszego poznania szkoły i losów jej uczniów.

W. Gąsiewski

SPRAWOZDANIE I LO W MIELCU

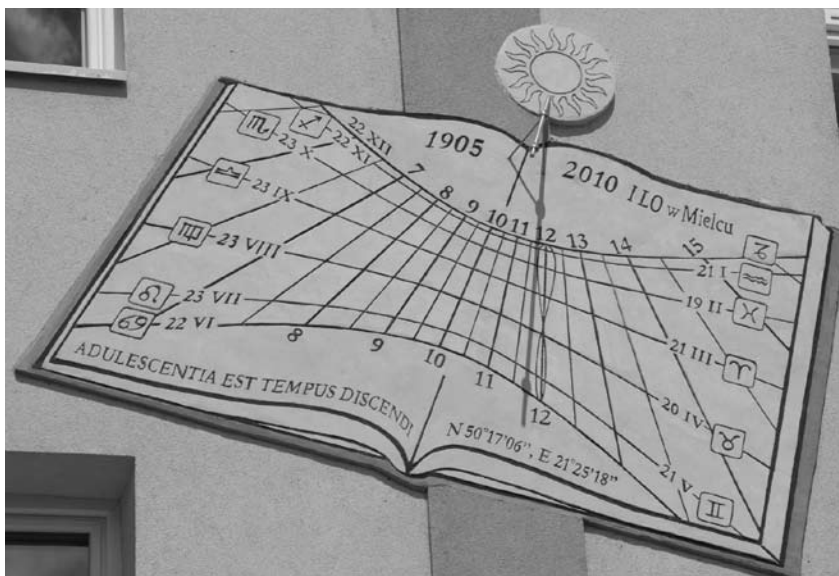


Potrójną serię wydawnictw, które ukazały się w trakcie obchodzenia jubileuszu 105-lecia Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego w Mielcu, zamyka *Sprawozdanie dyrekcji I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu za lata 2006-2010. Wydanie jubileuszowe*. Przygotował je zespół redakcyjny w składzie: Ewa Chajdaś, Elwira Przewoźnik, Grażyna Starzyk, Agnieszka Mrozik przy współpracy Małgorzaty Głodzik, Anny Kozioł, Danuty Mirońskiej i Janusza Świętonia. Okładkę zaprojektował Radosław Kluza. Poza częścią urzędową w sprawozdaniu znajduje się artykuł Piotra Miodunki, Elwiry Przewoźnik oraz prace literackie uczennic I LO. Książka ma format B-5 i zawiera 210 stron. Druk wykonał Zakład Poligraficzny Z. Gajka w Mielcu (WG)

ASTRONOMICZNE NADWISŁOCZE

W tej chwili na Podkarpaciu funkcjonują zegary słoneczne w następujących miejscowościach: **Baranów Sandomierski** - Zamek; **Besko** - kapliczka św. Floriana; **Borek Stary** - Kościół Wniebowzięcia NMP i św. Jacka; **Czermin** - Kościół św. Klemensa; **Iwonicz** - Zbór Ariański; **Iwonicz Zdrój** - Ogródek przy internacie, Park; **Krasiczyn** - Zespół zamkowo-parkowy; **Leżajsk** - kościół parafialny; **Łańcut** - ogród, pałac; **Mielec** - park dworski Wojsław; **Orzechówka** - kapliczka; **Przemysł** - Bazylika archidiecezjalna; **Radymno** - osiedle mieszkaniowe; **Rudna Wielka** - Zespół Szkół; **Rzeszów** - Biblioteka Uniwersytetu Rzeszowskiego, Ogród Miejski im. Solidarności, Willa nr 9 Pod Sową, **Tarnobrzeg - Dzików** - Pałac Tarnowskich, kościół. Do tego dochodzi jeszcze od lipca 2010 r. **Mielec** - I Liceum Ogólnokształcące.

Zob.: <http://gnomonika.pl>



Od zegara słonecznego do obserwatorium astronomicznego

Rozmowa z Januszem Świętoniem - dyrektorem I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu

Włodzimierz Gąsiewski – Na przełomie czerwca i lipca br. został na budynku szkolnym zamontowany zegar słoneczny. Skąd się wziął pomysł na instalację takiego chronometru?

Janusz Świętoń – Jeden z budynków, w którym tuż po wojnie mieściło się nasze liceum, to była właśnie „szkoła pod zegarem”, więc warto przywrócić tę tradycję obiektu szkolnego z zamontowanym czasomierzem. O tym, że on upływa świadczy także fakt, że w tym roku obchodzimy 105-lecie naszego Liceum i taka właśnie inwestycja będzie w przyszłości przypominać o tej rocznicy. Zegar ten będzie więc przypominał, że jesteśmy najstarszą szkołą średnią w powiecie mieleckim, a także że czas jest najważniejszym elementem życia człowieka, że przeżywamy dzieciństwo, młodość, dorosłość i dojrzałe życie. Mówi nam też o tym wryta na zamontowanym zegarze łacińska sentencja: *Adulescentia est tempus discedi*, która w tłumaczeniu oznacza – *młodość jest czasem uczenia się...*

W. Gąsiewski – Jaki wpływ na podjęcie decyzji o montażu, właśnie zegara słonecznego, miał fakt, że razem z małżonką jesteście licealnymi profesorami geografii?

Janusz Świętoń – Oczywiście miało to znaczenie, gdyż ten zegar staje się

jednocześnie pomocą naukową, gdyż dalej w podstawie programowej przedmiotu geografia, jest pomiar czasu, odniesienie się do czasu strefowego, miejscowego i taki zegar będzie bardzo przydatny, zwłaszcza że profesjonalnie pokazuje on czas w różnych porach roku. Projekt został wykonany przez specjalistę w tej dziedzinie – Marka Szymochę, który napisał też związaną z tematem broszurę dydaktyczną, która będzie dodatkowo służyć uczniom naszego liceum i nie tylko.

W. Gąsiewski – Co zadecydowało o wyborze ściany budynku, na której zamontowany jest zegar i jakie są inne jego dane techniczne?

Janusz Świętoń – Została wybrana południowa ściana dająca najlepszą ekspozycję. Słońce tu operuje przez większą część dnia, a więc zegar będzie mógł „działać”. Ponadto ma ona walory widokowe, przy spacerach ulicą Kościuszki od strony południowej, można będzie oglądać ten zegar. Także ciekawa jest, wybrana wspólnie z projektantem, technika wykonania zegara. Dyktowały też ją warunki finansowe, gdyż formy metaloplastyki, czy też grawerstwa są bardzo drogie, dlatego też wybrano starą renesansową metodę, zwaną sgraffito, tzw. barwnych tynków, odpornych na warunki atmosferyczne i na wielu obiektach zabytkowych

przetrwiała setki lat. Dodatkowo jest ona wzmocniona, gdyż zegar nie został położony bezpośrednio na obecnym tynku styropianowo-akrylowym, na metalowej siatce zakotwiczonej ośmioma śrubami do cegieł, został narzucony tynk-podkład o kształcie zegara. Prace te wykonała firma pana Chmiela z Mielca. Dopiero na tak zrobiony podkład artyści nanieśli fakturę i elementy zegara słonecznego.

W. Gąsiewski – Jakie były ostateczne koszty tego przedsięwzięcia i kto je sfinansował?

Janusz Świętoń – Koszty były zaplanowane w budżecie szkoły i zaakceptowane przez mieleckie Starostwo. Pan Starosta Andrzej Chrabąszcz objął honorowy patronat nad obchodami 105-lecia naszej szkoły i zobowiązał się także wspierać je finansowo. Natomiast koszty zegara zamknęły się w kwocie ok. 5.000 zł. Jego uroczyste otwarcie zaplanowane jest na obchody jubileuszu szkoły tj. na 25 września 2010 r.

W. Gąsiewski – I Liceum Ogólnokształcące w Mielcu znane jest z wielu ciekawych inicjatyw, także astronomicznych, proszę o nich powiedzieć.

Janusz Świętoń – Zawsze interesowałem się astronomią, w związku z tym dbam o to aby te treści w nauczaniu geografii czy fizyki były odpowiednio

ASTRONOM Z MIELCA

Antoni Kania (1900-1940)

absolwent Gimnazjum w Mielcu,

por. art. rezerwy WP

zamordowany przez NKWD w Charkowie

wyeksponowane. W ubiegłym roku zakupiliśmy profesjonalny teleskop, który pozwala obserwować wiele szczegółów na niebie, m.in. sięgnąć do księżyców Jowisza i prowadzić różne pomiary. Związane to jest także z treściami olimpiad astronomicznej czy geograficznej. Konsekwencją tego jest również nasz zegar słoneczny.

W. Gąsiewski – W niektórych liceach w Polsce są mini obserwatoria astronomiczne...

Janusz Świętoń – Podjąłem już takie starania. Jest nawet gotowy projekt, który mógłby być zrealizowany na dachu naszej szkoły. Jest on jednak dość kosztowny i trudno jest go sfinansować. Poszukuję ewentualnych sponsorów, którzy by wsparli taką inicjatywę. Elementy takiego obserwatorium, w tym kopuła są produkowane w Polsce i takie obserwatorium mogłoby powstać nawet w ciągu kilku tygodni. Ale to już może na kolejną 110 rocznicę istnienia Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu.

W. Gąsiewski – Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Włodzimierz Gąsiewski



Na zdjęciu od lewej: Marek Szymocha (projektant) oraz Honorata Wincenciak-Zamosna i Marcin Zamostny, artyści, którzy wykonali zegar (fot. J. Świętoń)

Marek Szymocha - absolwent Politechniki Śląskiej. Naukowiec, podróżnik, polarnik. Uczestnik XIX wyprawy PAN na Spitsbergen. Swój pierwszy zegar słoneczny wykonał w 2000 r. w Polskiej Stacji Polarnej na Spitsbergenie. Był to pierwszy zegar słoneczny na świecie działający 24 godziny na dobę. Marek Szymocha spotkał się także niedawno z młodzieżą z I LO w Mielcu opowiadając o swoich podróżach.

Honorata Wincenciak-Zamosna jest absolwentką wydziału malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Bartłomiej Zamostny, m.in. artysta fotografik. Razem prowadzą pracownię malarstwa ściennego. Specjalizują się w technikach: sgrafitto, mozaika, malarstwo iluzyjne, fresk. Wykonali m.in. w wieczerniku Klasztoru Ojców Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie cykl polskich świętych i błogosławionych oraz malowidło ścienne w ołtarzu przedstawiające adorację aniołów do Matki Boskiej Kodeńskiej, sgrafitto na budynku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Łodzi oraz panoramę i herby miasta Ełku, a także cykl sgraffit o tematyce przyrodniczej. (WG)

Urodził się 4 XII 1900 r. w Wojsławiu k. Mielca, jako syn Jana i Rozalii z Sobusiaków. Uczeń Gimnazjum w Mielcu, w którym naukę rozpoczął w roku szkolnym 1911/1912, kończąc klasę Ib jako uczeń uzdolniony. W roku szkolnym 1912/1913 uczęszczał do klasy IIb, a w roku szkolnym 1913/1914 do klasy III, co oznaczało, że klasy „a” i „b” zostały połączone. W klasie VII odnajdujemy go w wykazach uczniów z roku szkolnego 1917/1918, natomiast w roku szkolnym 1918/1919, Antoni Kania w dniach 14-16 maja 1919 r. zdał pisemny, a 12 czerwca ustny egzamin maturalny i otrzymał świadectwo dojrzałości. W 1927 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii, a 1 I 1930 r. mianowany podporucznikiem i przydzielony do 22 pułku artylerii lekkiej, gdzie w 1925 i 1929 r. odbywał ćwiczenia rezerwy. Podlegał pod PKU Dębica. Z wykształcenia był astronomem. Po 17 września 1939 r. w nieznanych okolicznościach wzięty do niewoli przez Sowieców i osadzony w obozie w Starobielsku. W kwietniu lub maju 1940 r. zamordowany w siedzibie NKWD w Charkowie i jest pochowany na tamtejszym Polskim Cmentarzu Wojennym. Do czasu wydania *Mieleckiej gimnazjalnej listy katyńskiej* Mielcu nieznanymi i nieupamiętnionymi. Nic nie wiemy też o jego losach po ukończeniu mieleckiego Gimnazjum, poza tym, że był astronomem. Jaką ukończył uczelnię, jak przebiegała jego kariera zawodowa i naukowa, czy żyją jego potomkowie? Ktokolwiek wie coś na ten temat, prosimy o kontakt z redakcją „Nadwisłocza”.

Włodzimierz Gąsiewski

Źródła: *Alfabetyczny spis absolwentów szkoły*, opr. A. Tychanowicz. W: *Księga jubileuszowa 100 rocznicy Gimnazjum i Liceum w Mielcu 1905-2005*. Red. J. Skrzypczak. Mielec 2005, s. 701; *Arkusze ocen Antoniego Kania z Katalogu Głównego c.k. Gimnazjum w Mielcu klasy Ib z roku szkolnego 1911/1912 i z klasy VIII roku szkoln. 1918/1919*. Archiwum Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu, sygn. 1.1.13, s. 10 i sygn. 1.1.43, s. 3; CAW, AP 7780; *Charków. Księga cmentarna*. Warszawa 2003, s. 209; W. Gąsiewski, *Mielecka gimnazjalna lista katyńska*. Mielec 2010, s. 15-6; *Lista Starobielska nr 1338; Rocznik oficerów rezerwy 1934*. Warszawa 1934, s. 146, 634; *Sprawozdanie dyrekcji c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1912*. Mielec 1912, s. 48; *Sprawozdanie dyrekcji c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1912/13*. Mielec 1913, s. 91; *Sprawozdanie dyrekcji c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1913/14*. Mielec 1914, s. 110; *VI Sprawozdanie dyrekcji c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1917/18*. Mielec 1918, s. 33; *VII sprawozdanie dyrekcji Gimnazjum Państwowego w Mielcu za rok szkolny 1918/19*. Mielec 1919, s. 25;

Strona 10		Opłata szkolna (płatna lub uwolniona z przyczyn)		Rodzaj przyjęcia	
I. 10 Uczeń		I. pobił	II. pobił		
Nazwisko:	Kania	w 1912/13 205/10		I	
Imię:	Antoni	odk.			
Dni i rok urodzenia:	4 grudnia 1900	Stypendjum (stały, losowy, rezerwy)		Wysługę z zaślubień, przynależności i zaślubin innej:	
Miejsce urodzenia:	Wojsław, powiat				
Państwo (kraj korony):	Galicja				
Przynależność państwowa:	Austria				
Wzrost:	175 cm				
Język ojczysty:	polski				
Imię i nazwisko	ojca (matki)	opiekuna	odpowiedzialnego nadzorcę	gospodarza w klasowym mieszkaniu	
	Jan Kania				
Stan	żonaty				
Miejscowość	Wojsław			w rodzinie	

Fragment arkusza ocen Antoniego Kania z Katalogu Głównego c.k. Gimnazjum w Mielcu klasy Ib z roku szkolnego 1911/1912. Archiwum Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu, sygn. 1.1.13, s. 10.

Przeclawskie wspomnienia

z życia Teofila Lenartowicza ur. 20. 5. 1928 r.
w Katowicach. Dotyczą Przeclawia i Ziemi Mieleckiej,
które pozostały moją Małą Ojczyzną, do której zawsze
wracam i za nią tęsknię - napisane w latach 1997-2005
cz. VIII

NA POCZCIE (2)

Najbardziej bezpiecznie czułem się na Podolu. Nie bałem się, gdyż oprócz znajomych dziewcząt miałem tam kilku znajomych chłopaków. Zresztą nie miałem wrogów, starałem się zachowywać życzliwie i co najważniejsze nikogo nie zaczepiałem.

Mieczysław Tęcza był moim rówieśnikiem i chodził ze mną do szkoły. Mieszkał na końcu Podola, prawie w Korzeniowie i miał do szkoły w Przeclawiu około 5 kilometrów. Podziwiałem go, że z tak daleka chodził się uczyć do Przeclawia. Jan Sokołowski ożenił się kilka lat po moim wyjeździe z Przeclawia z Janiną Pigułą i został na zawsze najbliższym siostry sąsiadem.

Pragnę tutaj wspomnieć o Włodku i Marianie Pigulach. Byli oni moimi najbliższymi sąsiadami i przyjaciółmi w okresie od 1938-1946. Mam bardzo miłe wspomnienia o tych chłopcach, ale niestety, nie pozostała mi po nich żadna pamiątka w postaci zdjęć. Chorowali na gruźlicę i wkrótce zmarli. Włodka pamiętam jak często tłumaczył mi, że nie opłaca się pracować, uczyć, ani cokolwiek czynić, bo wkrótce będzie 3-cia wojna światowa. Tymczasem wojny już ponad 70 lat nie ma, a on dawno już nie żyje.

Do grona bliskich przyjaciół zaliczam Julka Grębosza. Przyjaźniłem się z nim, o czym wspominałem w poprzednim rozdziale. W okresie okupacji, kiedy mieszkaliśmy na Woli, w domu Sadowskiego, gdzie mieści się obecnie bank, byliśmy z Gręboszami bliskimi sąsiadami. Bliskość ta spowodowała, że byłem u Gręboszów częstym gościem. Feliks Grębosz z żoną (rodzice Julka) byli bardzo sympatyczni i gościnni. Julek był moim rówieśnikiem należącym do grona najbliższych moich przyjaciół podobnie jak Iza młodsza o 2 lata i jej jeszcze młodsza siostra Miła. Z sympatią wspominam zimowe chwile spędzane przy piecu w domu u Gręboszów. Było tam ciepło i panowała miła atmosfera. W zimowe okupacyjne wieczory, po powrocie z pracy od „Sztikla”, lub z tartaku chętnie tam przebywałem. Kiedy Julek poszedł do wojska, a ja wyjechałem do Warszawy, Julek odwiedzał mnie w bursie, w której mieszkalem. Później jak to w życiu bywa straciliśmy z sobą kontakt. Każdy z nas miał już własne życie. Julek po wojsku nie wrócił do Przeclawia, gdyż zawodowo pozostał w wojsku, a ja też, do Przeclawia nie wróciłem.

Z chłopców w moim wieku najsilniejszy i najsprawniejszy fizycznie był Edek Grębosz. W bójce Edek był nie do pokonania. Szczególnie, gdy wypił. Mówiło się, że dostawał białej gorączki. Nikogo wtedy nie poznawał i wszystkich lał po kole. Swoich i obcych. Lepiej było nie wchodzić mu w drogę.

Latem 1948 roku, bójka w obronie swojego ojca zakończyła się dla niego 2-letnim wyrokiem, co w ogromnej mie-



Zdjęcie wykonane w okolicy zamku. Rząd górny; Ludwik Kopacz, Adam Wątróbski, Marian Nowak, Mieczysław Czernia, Leszek Muniak, Antoni Bukowy, Tadeusz Jarosz, Marian Grębosz, Antoni Szawliński. Rząd dolny; Tadeusz Czernia, Kazimierz i Edward Grębosz, Zygmunt Witkowski, Teofil Lenartowicz, Karol Kopera, Tadeusz Skrzypek.

rze zaważyło na jego dalszym życiu. Po 60-ciu latach w 2007 roku, tak Edek wspomina tamte wydarzenia, z których relacje nagrałem za jego zgodą na dyktafonie.

Spałem pijany w stodole, kiedy zawołano mnie, że ojca biją. Ojciec był w sali ludowej, gdzie odbywała się zabawa. Wpadłem tam i wówczas rozpoczęła się bójka. UB-owiec, śledczy z Mielca wywijając bronią szamotał się z ojcem. Pomagali mu bracia Ludwik i Kazek Kordziński. Kiedy wraz z ojcem wycofaliśmy się z domu ludowego, bójka przeniosła się na nasze podwórko. UB-owiec uderzył mnie pistoletem, a ja mu oddałem tak, że pistolet wypadł mu z ręki. Było ciemno i tego pistoletu nie odnaleziono. Zamknęli mnie na posterunku, gdzie na węglu przesiedziałem całą noc. Milicjanci Maziarz z Rzeźnikiem chcieli ze mną mówić, ale kiedy otworzyli drzwi zaatakowałem ich węglem. Rano zawieźli mnie do Mielca na komendę powiatową, gdzie zostałem opatrzony przez doktora, bo byłem cały poobijany. Wieczorem wypuścili mnie. W ciągu dnia szukali na naszym podwórku broni, którą wytrąciłem UB-owcowi, ale niestety nie udało się jej odnaleźć. Sprawa została oddana do sądu, gdzie ojciec dostał wyrok 6 miesięcy w zawieszeniu, a ja 6 miesięcy siedzieć. Zrobiliśmy odwołanie do Tarnowa, gdzie wyrok podtrzymano. Wywieźli mnie, a później dostałem powołanie do wojska, gdzie pracowałem w kamieniołomach w Lubaniu koło Zgorzelca. Po 3 miesiącach ciężkiej pracy zaczęliśmy się buntować. Wzięto nas przed komisję wojskową i badano na oczy. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, a oni wszystkich co lepsi mieli wzrok wzięli do kopalni na Śląsk. Przepracowałem tam 13 miesięcy. Zginął wówczas jeden z naszych, na którego byłem pogrzebie. Kiedy skończyła mi się służba wojskowa, przyszedł milicjant i zabrał mnie na odsiedzenie poprzedniego wyroku. Popeniłem błąd, bo mogłem uciec i przyjechać do domu. Siedziałem w więzieniu w Mysłowicach, a następnie znowu do kopalni. Dali mnie na taki niski pokład, do którego na kolanach trzeba było wchodzić. Pracowałem tam z dwoma Ślązakami, aż się ten pokład zawalił, a Ślązacy zostali ranni. Później dali mnie na 3 metrowy pokład, gdzie już było lepiej. Przepracowałem tam do końca wyroku, a był to rok 1950-ty. W sumie było to niecałe 2 lata, bo wzięto mnie w 1948 roku. Później ożeniłem się i mieszkam od tej pory na Tuszynie.

O wydarzeniu, w którym banda Jana Stefki ps. Mściciel napadła na dom Popielów, tak Edek opowiedział:

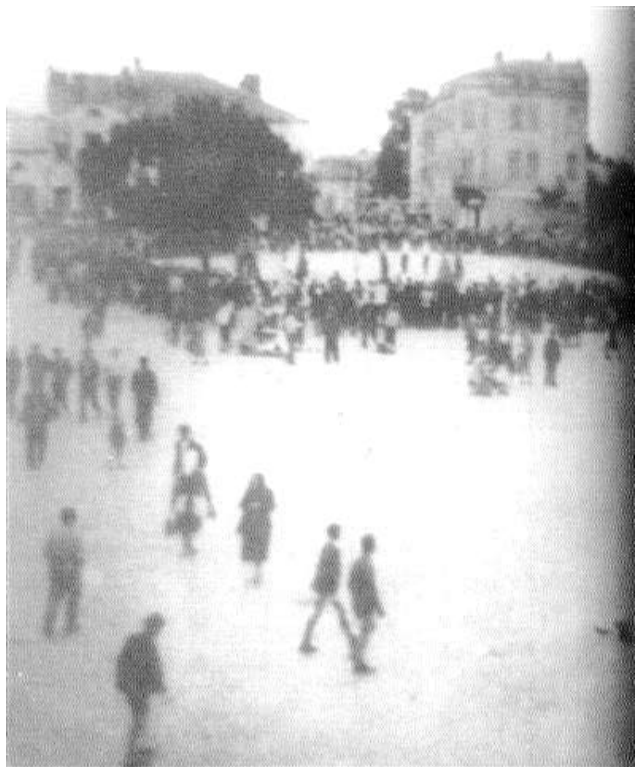
Banda Stefki wzięła Popielkę, ale w drodze do Dębicy popili i wpadli w ręce UB. Jednak Stefko był przebiegły. Pokazał im jakieś buty i skóry z którymi idzie do szewca i go puścili. Józefa Grębosza syna Mundka z Tuszyny, wraz z innymi dwoma ujętymi z bronią, zabrali, a następnie powiesili na rynku w Dębicy. Była to egzekucja pokazowa. Wcześniej zginął jego brat będący w partyzantce u Olka Rusina. Podczas oblawy na Olka Rusina i dom rodzinny Gręboszów, został on zastrzelony przez UB-owców na płocie.

Powyższe wydarzenie miało miejsce w 1946 roku. Jan Stefko, wysługujący się Niemcom volksdeutsch i komisarz gminny w Przecławiu, uciekając przed odpowiedzialnością za zbrodnicze czyny, wstąpił w podziemne struktury tworząc bandę rabunkową. Po powyższym napadzie ślad po Janie Stefko zaginął. Dnia 10 lipca 1946 na rynku w Dębicy dokonano publicznej egzekucji Józefa Grębosza, Józefa Kozłowskiego i Franciszka Nostera schwytych podczas akcji przez UB. Zdjęcie przedstawia moment po egzekucji na rynku w Dębicy.

Wyrok jaki Edek dostał i zesłanie do ciężkich prac w kamieniołomach i w kopalni tak zaważyły na jego życiu, że gdy stamtąd wrócił stał się zupełnie innym człowiekiem. Odizolował się od kolegów i otoczenia. Nie chciał rozmawiać o przeżytych wydarzeniach. Nic nie można było z niego wyciągnąć. Już nie brał alkoholu do ust.

Kilka słów należy się Ochotniczej Straży Pożarnej, do której wraz z chłopakami należałem. Komendantem OSP, którego jeszcze z okresu okupacji pamiętam był Edward Jurasz, a w latach powojennych Zygmunt Witkowski. Braliśmy czynny udział w warcie przy grobie Pana Jezusa przed Wielkanocą i pilnowanie porządku podczas organizowanych festynów.

W domu świetnie radziłem sobie z Mamą. Mama gospodarzyła w domu, a ja pracowałem na poczcie. Gdy wracałem wcześniej, zabierałem się za robotę i razem z Mamą pracowaliśmy w polu. Mama jednak więcej ode mnie pra-



Pokazowa egzekucja w Dębicy



Młodzież z Podola: od prawej Mieczysław Tęcza. Leży od lewej Jan Sokółowski.

cować, gdyż ja mimo wszystko znajdowałem czas na własne rozrywki. Mama była taką swoistą pszczołką do pracy. Mieszkaliśmy w domu wybudowanym przez pradziadka Piotra Lenartowicza w drugiej połowie XIX wieku. Przybył on wówczas z Mielca do Przecławia, żeniąc się ze Skowronówną. Dom był stary, kryty strzechą i przeciekał. Postanowiliśmy z Mamą zrobić nowy dach. Za zaoszczędzone pieniądze kupiłem na Tuszynie dachówkę, drewno na krokwie, a nawet udało mi się kupić w tartaku łąty pod dachówkę. Zamówiłem na Podolu cieśli. Byli nimi dwaj bracia Burkowie i oni w ciągu lata zrobili nam nowy dach. Kosztowało to dużo pieniędzy i wysiłku, ale osiągnęliśmy zamierzony cel.

Z miesiąca na miesiąc żyło się nam lepiej. O wojnie i z nią związanych przeżyciach stopniowo zapominaliśmy. Byliśmy pełni optymizmu i zdrowi. Jakbym nie spoglądał na swoje życie z perspektywy czasu i nawet biorąc pod uwagę trudny wojenny okres, wraz z ciężko przeżyтыми chwilami, to muszę przyznać, że były to najpiękniejsze lata mojego życia. Dlatego tak było, że lata te były latami mojej młodości. W latach 45-49 miałem 17-21 lat i nie trzeba przypominać, że jest to najpiękniejszy wiek. W tamtych czasach młodzi ludzie popełniali wiele głupstw, także i ja je popełniałem. Być może gdyby Ojciec żył, inaczej potoczyłoby się moje życie. Mama nie była w stanie zastąpić mi tej luki i dlatego swoim życiem musiałem kierować sam. Pewne życiowe niepowodzenia przypisuję właśnie temu zjawisku. Jednakże dzięki Opatrzności Bożej i samemu sobie zawdzięczam, że wiele nieszczęść uniknąłem, gdyż mogło być o wiele gorzej.

Gdzieś w 1948 roku Sobota wysłał mnie na 2 tygodniowy kurs do Krakowa. Byli tam listonosze z całej krakowskiej dyrekcji. Świetnie mi tam szło. Uczyłem się rzeczy związanych tylko z pocztą, ale materiał opanowałem lepiej od innych. Nie miałem najmniejszych trudności żeby zdać egzamin. Było to dla mnie bardzo ważne doświadczenie, bo pozwoliło mi uwierzyć, że nie jestem taki tępy, jakim uznał mnie nauczyciel Sęk, gdy po wojnie chciałem się uczyć. Od tej pory dużo o tym myślałem. Miałem już 20 lat, pracowałem i nie widziałem żadnej możliwości uczenia się, czego bardzo pragnąłem. Rozmawiałem często o tym z Sobotą.

Stopniowo młodzież z Przecławia wykruszała się. Kto miał jakieś możliwości uczenia się ten szedł do szkoły. Czesiek Bukowy wraz z Mieczysławem Mądrackim poszedł do gimnazjum w Mielcu, a następnie do szkoły telekomunikacyjnej w Katowicach, Milek Wątróbski do takiej samej tylko

WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE



Na zdjęciu siedzą od lewej: Izabela Grębosz, Teofil Lenartowicz, Emilia Nowak, Karol Kopera i Wiktoria Nowak. Stoi Tadeusz Skrzypek.

w Krakowie. Młodszy od nas zaczęli jeździć do szkół średnich w Mielcu. Chłopców z mojego rocznika, a także o rok starszych i rok młodszych powołano do wojska. Poszedł do wojska Julek Grębosz, Mietek Czernia i wielu innych. Kilku wyjechało na Ziemię Zachodnie. Ograniczone zostały próby chóru u Zajchuberki, gdyż coraz więcej jej to utrudniano. Powoli, systematycznie Przecław zaczął się z młodzieżą wyludniać.

Nie było to zjawisko dotyczące tylko Przecławia. Podobnie było w całej Polsce, kiedy po wojnie trwało zjawisko masowej emigracji ludności do miast. Dla młodych ludzi istniała realna perspektywa nauki i pracy. Społeczeństwo otrząsało się z nędzy, zniszczeń wojennych, a co za tym idzie z zaniedbań we wszystkich dziedzinach życia. Każda poprawa stopy życiowej dodawała ludziom otuchy i wiary w lepszą przyszłość. Młodzi ludzie szybko dostrzegli, że perspektywę lepszego życia daje miasto. Opuszczali wieś z nadzieją lepszego życia. W miastach uczyli się zawodów, chodzili do szkół. Służyli w wojsku, w którym często uczyli się zawodu, co po zakończeniu służby dawało perspektywę pracy. Mietek Czernia zdobył w wojsku zawód kierowcy, po czym pracował w Mielcu, gdzie się ożenił i założył rodzinę. Nie wrócili do Przecławia po skończeniu szkół Czesiek Bukowy podobnie jak Milek Wątróbski. Czesiek pozostał w Katowicach, gdzie na kierowniczym stanowisku budował linie telekomunikacyjne. Ożenił się i ma 3 dorodne córki. W 2007 roku, poprzez Milka Wątróbskiego udało się nam skontaktować. Skończył studia. Mieszka dalej w Katowicach, owdowiał, zestarzał się tak jak wszyscy, ale nie opuszcza go humor. Często do siebie dzwonimy. Wymieniamy zdjęcia i informacje o starych dziejach, bo nawzajem, chociaż może skrycie, kochamy tą swoją Małą Ojczyznę, jaką jest Przecław.

Milek Wątróbski pracował w Mielcu, gdzie się ożenił, ale o dalszych jego losach napiszę jeszcze w następnych rozdziałach „Wspomnień”. Edek „Szafa” po powrocie z wojska ożenił się i zamieszkał na gospodarstwie żony w Tuszynie. Powyższe zjawiska były powodem, że na arenę działań przecławskiej młodzieży zaczęły wchodzić następne po nas roczniki.

Gdzieś latem 1949 roku Sobota pokazał mi pismo Dyrekcji Poczty Polskiej Telekomunikacji i Telegrafów PPTiT

w Krakowie o naborze do 2-letniej szkoły telemechaników i teletechników. Było to wyłącznie dla pracowników poczty, a warunkiem był młody wiek, ukończona szkoła podstawowa i uregulowany stosunek do służby wojskowej. Kurs miał odbyć się w Warszawie i należało, po skończeniu, zobowiązać się do pracy w PPTiT. Kandydatów na teletechników przyjmowano po tzw. małej maturze, natomiast na telemechaników po szkole podstawowej, gdzie warunkiem przyjęcia kandydata było zdanie egzaminu z zakresu 7-mej klasy. W mojej podświadomości była chyba zakodowana ogromna chęć uczenia się, bo po przeczytaniu pisma nie wahałem się ani chwili. Moja decyzja była natychmiastowa i krótka. Pójdę na to. Od tej pory mój umysł zaprzętnięty był tylko tym zagadnieniem. Uczępiłem się go jak „rzep psiego ogona”. Wszystko inne zepchnięte zostało na dalszy plan. Spełniałem wszystkie warunki, należało tylko wysłać konieczne papiery i czekać na decyzję, która mogła być odmowna, lub zawiadamiająca o terminie egzaminu. Dla mnie była to, o tyle atrakcyjna sprawa, że cały czas pozostawałbym pracownikiem poczty w Przecławiu, a Sobota wypłacałby mi pensję i wszystkie świadczenia pracownika takie jak umundurowanie i inne. Było to dla mnie niezmiernie ważne, bo nie pozostawiałbym Mamie bez środków do życia. Dostawałabym całą moją pensję.

Kiedy o możliwości uczenia się powiedziałem Mamie, ona nie tylko nie protestowała, ale wręcz namawiała abym z tej szansy skorzystał. Na pewno zdawała sobie sprawę, że po moim wyjeździe zostanie w Przecławiu zupełnie sama, ale ona tak mnie swoim złotym sercem kochała, że nie była w stanie się sprzeciwić.

Napisałem podanie, życiorys i razem z odpisem świadectwa szkolnego dałem Sobocie. Nie sprzeciwiał się mojej decyzji, a nawet odwrotnie zachęcał mnie. Dobrze mi życzył i chyba tak samo jak ja widział w tym jedyną moją szansę. Napisał mi bardzo dobrą opinię i ujął w niej rzeczy mówiące o praktyce, co nie leżało w zakresie opinii. Tak to sprzecyzował, jak gdybym pracując obsługiwał, co najmniej 100 numerową centralę telefoniczną. W Przecławiu była jedynie 10 numerowa centrala ręczna, a wszystkich abonentów było czterech. Na całą gminę telefon miał tylko posterunek MO Gminna Rada Narodowa, sekretarz PZPR, i Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska. Później doszedł jeszcze tartak na Pikułowce.

W oczekiwaniu na wiadomość o egzaminie starałem się przypomnieć materiał ze szkoły. Nie była to sprawa prosta, bo gdy za okupacji chodziłem do szkoły to nie korzystało się z żadnych książek, gdyż ich nie było. Miałem tylko to, co w zeszycie zapisałem i to, co pozostało w głowie. Od V-VII klasy chodziłem za okupacji, a ponieważ szkoła była przeważnie zamknięta, bo latem zajmowało ją wojsko, a zimą brakowało opału, więc nauki nie było. Pragnę nadmienić, że z przedmiotów nie było historii i geografii, bo okupant zabraniał ich uczenia. Muszę przyznać, że miałem ogromne wątpliwości czy się do tej szkoły dostanę. Wiedziałem, że przyjętych ma być tylko 40 kandydatów, więc nie liczyłem na zbyt wiele. Później dowiedziałem się, że kandydatów takich jak ja było 400.

W sierpniu 1949 roku doczekałem się zawiadomienia o egzaminie i w wyznaczonym terminie pojechałem do Warszawy. (cdn.)

Jeszcze raz w przeclawskiej sprawie...

Pragnąc spełnić życzenie pana Włodzimierza Kłaczyńskiego poniżej cytuję zwrotki popularnej piosenki o Przeclawiu, którą w latach 40-tych ułożyła pani Janina Zeylchuber na melodię piosenki „Płynie Oka”. Ułożyła ją przy wydatnej pomocy Przeclawian. Piosenka w humorystyczny sposób przedstawia Przeclaw i jego mieszkańców i była często śpiewana po wojnie. Nie bez przyczyny piosenkę śpiewano na melodię piosenki „Płynie Oka”, albowiem autorka chciała tym sposobem zagłuszyć propagandę sukcesów Armii Wojska Polskiego idącej ze Związku Radzieckiego. Jak wiadomo ówczesna propaganda uznawała jedynie wyzwolenie Polski idące ze wschodu, minimalizując, a nawet zakazując pozytywnych publikacji o działaniach Polskich Wojsk na zachodzie. Człowiekiem, o którym wspomina pan Kłaczyński, że w latach 70-tych śpiewał z młodzieżą tą piosenkę, był prawdopodobnie zmarły niedawno Bolesław Maglecki, wytrwały uczestnik chóru stworzonego przez Janinę Zeylchuber. Jednocześnie pragnę poinformować, że chór stworzony przez nią składał się wyłącznie z Przeclawian. Nie znałem ani jednego uczestnika chóru wodzącego się spoza Przeclawia. Przeclawski chór, dzięki jednemu z uczestników chóru, posiada doskonale udokumentowaną kronikę. Tworzył ją pięknie kaligrafując żyjący po dziś dzień pan Kazimierz Jarosz. Kronika jest bardzo ciekawie zrobiona i wymaga upowszechnienia. Kilka lat temu chciałem dokonać skanowania kroniki i rozpowszechnić w formie elektronicznej, ale nie doszło do finalizacji mojego zamierzenia. Wracając do piosenki o Przeclawiu rozpocząć ją należy od refrenu. Cytuję:

Ref.
Wiele na świecie miast
I cudów bez miary,
Lecz jest jeden przecieź,
Lecz jest jeden przecieź
Ten nasz Przeclaw Stary.

I
Gdy ci smutno wyjdź na rynek,
Stań na wprost świętego Jana
Tam kamienic pełny wianek
Jedna z drugą odrapana.
Piętra, piętra i balkony
Ledwie ręką sięgniesz chmur.
Rynek duży zabłocony,
Miast asfaltu pełno dziur.

Ref.
Płynie Wisłoka w dal
Fala za falą w ślad
Gwiazdy nad Przeclawiem,
Gwiazdy nad Przeclawiem
Księżyc w Wisłokę wpadł.

II
Jest w Przeclawiu taka wiara,
Że pokochasz ją i ty.
Humorystów armia stara,
A i młodzi to nie kpy.
Miłość, nauka, polityka
Swą tradycję ma na cal,
Gdy cię bracie los dotyka
Do Przeclawia tylko wal.

Ref. Płynie Wisłoka w dal ... itd.

III
Bo w Przeclawiu taka moda
Wiedzą o tym wszecz i wzdłuż,
U panienek grunt uroda
Loczki troczki, szminki, róż,
A u mężczyzn elegancja
Mina w kant i spodnie też.
W każdym ruchu szyk i gracia
Wiedzą o tym wzdłuż i wszecz.

Ref. Płynie Wisłoka w dal... itd.

IV
Teraz powiem Wam poważnie,
Że tu duch w narodzie jest,
Każdy sercem i odważnie
Kocha Polskę tak na fest.
Gdy w szeregach stanąć musi,
By z wrogami iść na bój-
Wroga zniszczy, zgęźbi, zdusi
Nie dba co to trud i znój.

Ref. Płynie Wisłoka ...itd.

V
Dla Przeclawian nie nowina
Pan Bóg zsyła łask swych moc,
Dał świętego Bernardyna
Co nas strzeże w dzień i w noc.
Od powietrza, głodu, wojny
W swym kościółku trzyma straż-
Możesz bracie spać spokojny,
Gdy w nim przyjaciela masz.

Ref. Płynie Wisłoka ...itd.

VI
W tym Przeclawiu same czary
Mówią o tym na wsze strony,
Mamy zamek piękny, stary,
A pod zamkiem mysz miliony.
Piękna wieża w górę strzela
Głosząc Przeclawiovi cześć -
Mamy także i Popiela,
Lecz go myszy nie chcą zjeść.

Płynie Wisłoka w dal ...itd.

VII
Gdy Cię cieszy coś, czy kole,
Czy z miłości tracisz życie,
Przejdź się chociaż raz na „Wolę”
Do Piotrusia zerknij skrycie.
Tam kabały, plotki, swaty
Smutek prysnie Ci raz dwa-
Wyjdiesz prosty, gdyś garbaty
Piotruś w kartach prawdę łąga.

Płynie Wisłoka w dal ...itd.

VIII
Mądrej głowie dość po słowie
Emerytów mamy starych,
Mieszkają na „Pogwizdowie”
Każdy ma swe okulary.
A kto minę ma ochotnią
I chce zwiedzić każdy dół-
„Fenedykem” idź na „Szkotnię”
I już masz Przeclawia pół.

Płynie Wisłoka w dal ...itd.

IX
Żyją tutaj ludzie dzielni
Każdy nerw „jedności” ma,
No i udział ma w Spółdzielni
Żeby praca jakoś szła.
Półki, półki i półeczki
Szkła, papieru sklepu pół -
Co na przydział? - prosek, świeczki,
A na pasek cały wół.

Ref. Płynie Wisłoka w dal ...itd.

X
I nauka w las nie idzie
Tak przysłówie ponoć głosi,
I w tej powojennej biedzie
Chcę być mądrym rozum prosi.
Więc gimnazjum otwierają
Już studentów wali moc -
Profesorzy nadciągają
Frajdę zrobił Wilhelm Lotz.

Ref. Płynie Wisłoka w dal... itd.

XI
Widzę uśmiech masz niewinny
Filuternie mrużysz oczy.
Chcesz odwiedzić Urząd Gminny,
Lecz niepewnym idziesz krokiem.
Szafy, biurka i papiery,
Nad biurkami pełno głów -
Wierz mi jeśli mam być szczerzy
Więcej czyń, a mało mów.

Ref. Płynie Wisłoka w dal... itd.

XII
Proszę pozwól teraz dalej
Tu za drzwiami inny świat,
Tutaj w teatralnej sali
Każdy wesół każdy rad.
Rozpogodzą ci się lica
Zrób na lewo kroki dwa -
Patrzaj, to nasza świetlica
W niej to radość, zgoda trwa.

Ref.
Wiele na świecie miast
I cudów bez miary,
Lecz jest jeden przecieź,
Lecz jest jeden przecieź
Ten nasz Przeclaw stary.

MISTRZ ŚWIATA I EUROPY

JAN GRUSZECKI



Pil. Jan Gruszecki w kabinie samolotu typu PZL 104 „Wilga”

Aeroklub Podkarpacki miał wielu bardzo dobrych pilotów szybowcowych oraz samolotowych, którzy odnosili sukcesy sportowe na arenie krajowej i międzynarodowej. Te dwa najcenniejsze dla pilota sukcesy wywalczył pil. Jan Gruszecki. Najpierw, jako debiutant, zdobył tytuł mistrza świata, a w rok później został mistrzem Europy, czego nie dokonał potem żaden inny pilot A. Pdkp. Tak jak wielu z nich, trafił później do PLL „LOT”, gdzie lata na liniach międzynarodowych.

Jan Gruszecki urodził się w dniu 28 marca 1964 roku w Krośnie jako syn Józefa i Wandy z domu Pietruszka. W rodzinnej miejscowości ukończył szkołę podstawową. Gdy jeszcze do niej chodził, zainteresował się lotnictwem. Doszło do tego, gdy jeden z jego kolegów z klasy przyniósł do szkoły egzemplarz „Skrzydlatej Polski”. Na okładce znajdowało się zdjęcie młodego szybownika, stojącego obok „Muchy”. Połknąwszy tak lotniczego bakcyła, jeszcze jako uczeń podstawówki, zapisał się do działającej przy Aeroklubie Podkarpackim modelarni lotniczej. Wra z z innymi robił latawce i modele samolotów. Wykonywał je jeszcze wtedy, gdy uczęszczał już do krośnieńskiego, pięcioletniego Technikum Mechanicznego. Ukończywszy go, zdał maturę i dostał się do dwuletniego jasielskiego Studium Ekonomicznego, a później podjął studia w rzeszowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, na kierunku wychowanie fizyczne.¹

Będąc uczniem technikum, Gruszecki zainteresował się lataniem. Zapisał się wtedy na kurs pilotażu szybowcowego w zakresie podstawowym. Po uzyskaniu pozytywnych wyników badań specjalistycznych przeprowadzonych we wrocławskim

Głównym Ośrodku Badań Lotniczo – Lekarskich rozpoczął zajęcia teoretyczne, a potem praktyczne pod okiem instr. Tadeusza Lewandowskiego, który uczył go w lataniu w szybowcu typu SZD – 10 „Czapla”. Po ukończeniu szkolenia i otrzymaniu uprawnień pilota szybowcowego trzeciej klasy, kontynuował latanie w sekcji szybowcowej A. Pdkp. Uczestnicząc w treningu wyczynowym podnosił kwalifikacje pilota szybowcowego. Dzięki temu spełnił w 1981 roku warunki, pozwalające na przyznanie mu Sebrnej Odznaki Szybowcowej. Latał potem wyczynowo na różnych szybowcach, ale to mu nie starczało.

Już w 1983 roku, pil. Jan Gruszecki zapisał się na organizowany przez A. Pdkp. kurs pilotażu samolotowego w zakresie podstawowym. Po zajęciach teoretycznych i uzyskaniu pozytywnych wyników badań specjalistycznych odbytych znów w wrocławskim GOBLL odbył pod okiem instr. Marka Markiewicza zajęcia praktyczne, czyli loty. Ukończywszy je uzyskał licencję pilota turystycznego kategorii C, uprawniającą do lotów z pasażerem i szkolenia wyczynowego. Zapisał się do sekcji samolotowej i trenował, doskonaląc swoje umiejętności w pilotażu pod okiem kolejnych instruktorów, w tym znanej w kraju pilotki akrobatki instr. pil. Barbary Prinke – Kusiby. Nadal latał na szybowcach, traktując trening na nich jako uzupełnienie szkolenia samolotowego. Podnosił tak swoje ogólne kwalifikacje, co w przyszłości miało się przydać podczas zawodów.²

Uczestnicząc wówczas także w zawodach samolotowych, Gruszecki nie odnosił w nich jeszcze sukcesów. Przyszły one później, w 1986 roku. Wtedy to zwyciężył w rozegranych w Rzeszowie II Okręgowych Zawodach Samolotowych im. Jana Barana. Nie zaniedbując startów w zawodach szybowcowych, uzyskał w tym samym roku warunki, pozwalające na przyznanie mu szczególnie cennej dla każdego pilota Złotej Odznaki Szybowcowej, jeszcze bez diamentów.

Kolejne, o wiele bardziej znaczące sukcesy pil. Jan Gruszecki osiągnął w 1988 roku. Najpierw wywalczył wtedy pierwsze miejsce w odbytych w Krośnie XIX Samolotowych Mistrzostwach Polski Rajdowo – Nawigacyjnych Juniorów. Potem zajął siódmą lokatę podczas przeprowadzonych w Bydgoszczy Samolotowych Mistrzostwach Polski, dzięki czemu został powołany do kadry narodowej. Będąc w niej, uczestniczył w zgrupowaniach i różnego rodzaju zawodach, uzyskując dobre wyniki.

Było tak już w 1989 roku. Najpierw zajął wówczas szóste miejsce w I Międzynarodowych Mistrzostwach Litwy w Lataniu Precyzyjnym. Później znalazł się na ósmej pozycji podczas mających miejsce w Niemieckiej Republice Demokratycznej Międzynarodowych Zawodach w Lataniu Precyzyjnym. To samo miejsce wywalczył później w czasie XV Międzynarodowych Mistrzostw Czechosłowacji.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Gruszecki osiągnął już rezultaty, które stawiały go w rzędzie czołowych pilotów już nie tylko europejskich. W odbytych w 1992 roku Międzynarodowych Mistrzostwach Litwy był już drugi, a w przeprowadzonych w następnym roku w Chile Rajdowych Mistrzostwach Świata zajął wraz z Wacławem Nyczem ósme miejsce, wreszcie w rozegranych w 1994 roku w Wiener Neustadt Rajdowych Mistrzostwach Europy wywalczył czwartą pozycję.³ Wyniki te były tylko przygrzywką przed osiągnięciem w tym samym roku jego największym sukcesem.

² Ibidem.

³ Jan Gruszecki *Informacja o wynikach uzyskanych w zawodach samolotowych za granicą w latach 1988-1995*, s. 1 (maszynopis w zbiorach autora).

Mistrzostwo świata

Historia zdobycia w 1994 roku tego tytułu przez, wtedy celnika na przejściu granicznym w Barwinku, pil. Jana Gruszeckiego, wiąże się z losami samolotu, w którym wystarował w mistrzostwach. Była to maszyna typu FK – 9. Jej produkcję rozpoczęto rok wcześniej w krośnieńskiej Centralnej Szkole Lotniczo – Technicznej Aeroklubu Polskiego. Maszynę tę zaprojektował właściciel niemieckiej firmy BF Technik GmbH. Otto Funk. Samolot miał sześć metrów długości i dziesięć metrową rozpiętość skrzydeł. Produkowany był i wysyłany w małych seriach do Niemiec na zamówienie firmy BF Technik GmbH. Wykonywano go według najnowszej technologii z bardzo lekkiego włókna szklanego, dzięki czemu samolot ważył tylko sto dziewięćdziesiąt kilogramów. Wyposażony w silnik „Rotax” 503 o mocy czterdziestu pięciu KM, rozwijał prędkość do stu trzydziestu kilometrów na godzinę, był więc stosunkowo szybką maszyną sportową.⁴

Jeszcze w lecie 1994 roku, dyrektor CSLT AP, mgr Witold Ostrowski uzyskał od właściciela firmy BF Technik GmbH Otto Funka zgodę na wykonanie bez opłat licencyjnych samolotu typu FK – 9, który miał być potem wykorzystany jako reklama CSLT AP. Kiedy był już gotowy, kierownictwo CSLT postanowiło pokazać samolot podczas mających się odbyć we wrześniu w Kobylnicy pod Poznaniem, kolejnych mistrzostw świata samolotów ultralekkich i motolotni. Oblatany wcześniej u producenta, samolot FK – 9 przekazany został Gruszeckiemu na dwa dni przed mistrzostwami świata. Pilot sprawdził wtedy jego możliwości lotu w strefie nad krośnieńskim lotniskiem, wykonał kilka lądowań na celność, po czym począł się przymierzać do lotu do Kobylnicy.⁵

⁴ Andrzej Raus „Firma jakich mało”, „Nowiny” nr 146 z 31 VII 1995 r.

⁵ Andrzej Raus „Trzeba być w formie”, „Nowiny” nr 242 z 15 XII 1994 r.

Pil. Jan Gruszecki postanowił udać się tam nie z całą reprezentacją kraju ze stolicy, ale z Krosna, aby dzięki temu być jak najszybciej na miejscu. W dzień po otrzymaniu samolotu, do południa poćwiczył jeszcze lądowania i po południu, mimo pogarszającej się pogody, wystartował do Krakowa, który był pierwszym etapem przelotu. Pojawienie się samolotu FK – 9 w dawnej stolicy Polski wywołało małą sensację. Wszyscy dziwili się, jak można było przelecieć takim „maluchem” w takim deszczu, jaki padał na trasie przelotu. Przeczekałszy, dopóki pogoda się nie poprawi, Gruszecki wystartował do Częstochowy, która była drugim etapem przelotu. Po dotarciu na miejsce, perypetiach ze zgłoszeniem lądowania i startu oraz po uzupełnieniu paliwa wystartował do Ostrowa Wielkopolskiego. Po krótkim postoju na miejscowym lotnisku, udał się do Poznania, gdzie dotarł przed zachodem słońca. Był w Kobylnicy jeszcze przed rozpoczęciem mistrzostw. Mógł zapoznać się ze zmienionym w ostatniej chwili regulaminem mistrzostw i przygotować do startu.⁶

W kolejny już wrześniowy dzień 1994 roku Gruszecki wziął udział w oficjalnym treningu przed odbytymi w podpoznańskiej Kobylnicy V Mistrzostwami Świata Samolotów Ultralekkich i Motolotni. Jako członek kadry narodowej nawigację i rozpoznanie miał opanowane, więc skoncentrował się na samym lądowaniu, tak z włączonym jak wyłączonym silnikiem. Przeżył nerwowe chwile. Podczas startu do jednej z konkurencji przerwał pracę jeden z cylindrów silnika, ale po wylądowaniu okazało się, że spadła tylko fajka świecy. Po ponownym starcie w tej konkurencji, tym razem na końcu kolejki, wygrał. Było to dla krośnianina spore zaskoczenie, bo z lotu nie był zadowolony.⁷

Warunki techniczne, w jakich przyszło zawodnikom zmagać się w trakcie rozgrywania poszczególnych konkurencji mistrzostw, były trudne. Wiązało się to z brakiem łączności

⁶ „Jak zostałem mistrzem świata”, wspomina Jan Gruszecki, „Skrzydłata Polska” nr 1 z I 1995 r.

⁷ Ibidem.



Pięty w dolnym rzędzie od lewej, pil. Jan Gruszecki w 1980 roku wraz z kolegami z sekcji szybowcowej Aeroklubu Podkarpackiego na krośnieńskim lotnisku



Pil. Jan Gruszecki ze złotym medalem po zdobyciu tytułu mistrzowskiego podczas przeprowadzonych w odbytych w 1995 roku w Little Risington w Anglii Mistrzostw Europy Samolotów i Motolotni

radiowej między zawodnikami, przez co musieli oni bardzo uważać w powietrzu i to nawet podczas lotu po kręgu. Zdani byli w związku z tym wyłącznie na obserwację wzrokową, tak jak to bywało z lataniem za dawnych, pionierskich czasów. Startujący w klasie FSC Gruszecki poradził sobie bardzo dobrze, co tak zrelacjonował, opisując tym samym, jak zdobył tutaj samolotowego mistrza świata:

„W pierwszej konkurencji, lądowaniu nowością było lądowanie z zupełnie stojącym śmigłem. W tej próbie cała sztuka polegała na tym, aby tak zmniejszyć prędkość, żeby pęd powietrza nie powodował autorotacji śmigła. Lądowanie, jak na szybowcu, udało mi się jako jedynemu za maksymalną liczbę punktów.

Kolejny dzień mistrzostw to konkurencja, którą miałem okazję poznać podczas treningu. Był to lot po trasie, na której dwa ostatnie boki są niejawne i oczywiście trzeba szukać znaków. Kończy ją lądowanie, podczas którego cała sztuka polega na tym, żeby zmieścić się na pasie o wymiarach dwadzieścia pięć razy sto metrów. Nie wszystkim zawodnikom przychodziło to jednak łatwo.

Tego dnia komisyjnie rozpoczęto przygotowania do konkurencji długotrwałości lotu. W kanister postawiony na wadze elektronicznej wlewano paliwo z dokładnością do trzech miejsc po przecinku i plombowano. Następnego dnia należało godzinę wcześniej podstawić samolot do komisyjnego sprawdzenia, czy nie ma w nim paliwa. W moim samolocie paliwo usunięto nawet z komory pływakowej gaźnika. Po sprawdzeniu instalacji, wiano przygotowane wcześniej pięć kilogramów paliwa i zaplombowano całą instalację paliwową, a także linię podziału masek silnika. Tak przygotowany samolot czekał na stacjonarce. Między dwunastą a czternastą mieliśmy tak zwane otwarte okno, czyli czas na start według własnego uznania. Warunki techniczne były bardzo dobre. Podespaliśmy mój samolot na linię startu i po uruchomieniu silnika wystartowałem. Na trzystu metrach, będąc

już we wznoszeniu, mogłem zdławić obroty silnika i udawać szybowiec. Po kilkunastu minutach, będąc wyżej, wyłączyłem silnik i po pierwszych nerwowych chwilach latałem już ze stojącym śmigłem. Silnik samolotu włączałem tylko wówczas, kiedy zachodziła konieczność przeskoku pod inną chmurę.

Sam początek tej konkurencji był trochę nerwowy ze względu na dużą liczbę motolotni i samolotów w powietrzu, ale z upływem czasu robiło się coraz luźniej. Z mojej klasy pozostał tylko niemiecki zawodnik Jakob Herman, który miał samolot z profilem wklęsło – wypukłym, czyli bardzo dobrym na termikę. Miał też lepszy silnik i świadomość, że z nim nie wygram. Wylądowałem po trzech godzinach i pięćdziesięciu dwóch minutach na pracującym silniku, z niewielką ilością paliwa, około trzystu gramów.

Jacob latał osiemnaście minut dłużej, ale dało o sobie znać zmęczenie i otwarta kabina jego samolotu. Wylądował mając kilkadziesiąt punktów straty. Po raz kolejny wygrałem, tym razem z przewagą stu dwudziestu dziewięciu punktów nad zawodnikiem niemieckim. Przed konkurencją nie przypuszczałem, że możliwe jest tak długie latanie na samolocie FK – 9 i że tak dobrze będzie się on spisywał na termice.

Kolejną konkurencję przeprowadzono następnego dnia. Była nią tak zwana ruletka, z którą zetknąłem się pierwszy raz. Z zasadami zapoznali mnie starsi koledzy motolotniarze, więc nie pozostawało mi nic innego, jak polecieć. Taki lot polega na leceniu z zadeklarowaną prędkością po trasie i jednoczesnym identyfikowaniu obiektów na podstawie zdjęć oraz szukaniu znaków w określonych rejonach. Mimo doświadczenia w lataniu rajdowym i precyzyjnym, miałem sporo kłopotów ze znakami. Na drugim boku znalazłem tylko jeden z trzech wyłożonych znaków, co kosztowało mnie sporo nerwów. Na szczęście końcówka konkurencji przebiegała już normalnie i po raz kolejny wygrałem!

Tego samego dnia odbył się kolejny pomiar paliwa, tym razem do konkurencji prędkościowej. Dla mojego samolotu było to dziesięć kilogramów etyliny 98. Nie byłem do końca pewien, ile dokładnie zużywa jej mój samolot. Kontrola tej konkurencji odbyła się z pomocą fotografowania, tak jak przy przelotach szybowcowych, ze ścisłym określeniem sektora wykonywania zdjęć. Nie jestem do końca przekonany, czy obrałem najlepszą taktykę w tej konkurencji, mimo to byłem tego dnia drugi za zawodnikiem angielskim.



Pil. Jan Gruszecki przed samolotem typu FK – 9, w którym w 1990 roku wywalczył złoty medal podczas odbytych w Kobylnicy koło Poznania Mistrzostw Świata Samolotów Ultralekkich i Motolotni

Ostatnią była konkurencja nawigacyjna, taka jak na zawodach rajdowych w lataniu precyzyjnym.⁸

Tę konkurencję pil. Jan Gruszecki również zdecydowanie wygrał. Wyalczył tytuł mistrza świata Samolotów Ultralekkich i Motolotni z przewagą ponad tysiąca punktów nad drugim zawodnikiem. Osiągnął życiowy sukces, którego nie powtórzył żaden inny pilot A. Pdkp. Stąd też po powrocie z mistrzostw został w swoim miejscu pracy, na przejściu celnym w Barwinku, a potem w Krośnie i CSLT AP entuzjastycznie przywitany. Później udzielił wielu wywiadów. W jednym z nich wyznał, że nie liczył na taki sukces, jaki osiągnął. Dodał zaraz, że w jego przekonaniu pomogło mu doświadczenie zdobyte w lataniu nawigacyjnym oraz lataniu w szybowcach.

Mistrzostwo Europy

Po odniesieniu sukcesu poznańskiego oczywistym było, że zawodnik A. Pdkp. pil. Jan Gruszecki uda się jako reprezentant kraju na odbyte w lecie 1995 roku w Wielkiej Brytanii Mistrzostwa Europy Samolotów Ultralekkich i Motolotni. Rozegrano je na historycznym, używanym kiedyś przez RAF lotnisku w Little Rissington. Startujący w swojej klasie FCS krośnianin zjawiał się na nim wraz z dwuosobowym zespołem złożonym z dyr. CSLT AP mgr Witolda Ostrowskiego i mech. Józefa Stopkowicza.

Gruszecki wystartował w swojej maszynie typu FK – 9 w klasie samolotów jednomiejscowych, w której walka była bardzo emocjonująca. Tym bardziej, że walczył z tymi samymi rywalami, których pokonał rok wcześniej w pod poznańskiej Kobylnicy na mistrzostwach świata. Sprawozdawca napisał o tej walce:

„Początkowo zdecydowanie prowadził Niemiec, Jakob Herman, szczególnie po konkurencji długotrwałości lotu, gdy osiągnął sześć godzin czterdzieści trzy minuty, przed następnym zawodnikiem z czasem dwie godziny i dziewięć minut. Jednak w dwóch ostatnich konkurencjach Herman uzyskał kolejno zero i dwadzieścia osiem punktów. Przesądziło to o jego dalszej pozycji i zaważyło na słabym wyniku drużyny niemieckiej. Gruszecki osiągał w kolejnych konkurencjach wyniki nie najwyższe, ale systematycznie, stopniowo dochodził do pierwszego miejsca. W ten sposób uzupełnił swój tytuł mistrza świata uzyskany w Poznaniu, o mistrzostwo Europy.”⁹

⁸ „Jak zostałem mistrzem świata”, wspomina Jan Gruszecki, „Skrzydłata Polska” nr 1 z I 1995 r.

⁹ Jacek Kibiński „Mikroloty Europy”, „Skrzydłata Polska” nr 1 z I 1995 r.



Piąty od lewej, pil. Jan Gruszecki i szósty od lewej naw. Jerzy Markiewicz w Kopalni Soli w Wieliczce, po zdobyciu trzeciego miejsca podczas odbytych w 1998 roku w Krakowie Mistrzostw Europy w Lataniu Rajdowo – Nawigacyjnym

Podobnie jak jego starsi koledzy piloci z A. Pdkp. także Jan Gruszecki przeszedł w 1997 roku do Polskich Linii Lotniczych „LOT”. Zatrudniony na stanowisku drugiego pilota latał w samolotach typu ATR – 72, które miały czteroosobową załogę i sześćdziesięciu czterech pasażerów. Odbywały one rejsy na liniach krajowych i zagranicznych, a więc do Berlina, Pragi, Mińska, Rygi i Kopenhagi.¹⁰

Będąc pilotem „LOT” Gruszecki uczestniczył, jako debiutant, wraz z nawigatorem Aeroklubu Krakowskiego Jerzym Markiewiczem w odbytym już w 1998 roku XXXVI Locie Południowo – Zachodniej Polski im. Franciszka Wigury. Biorący w nich udział zawodnicy latali samolotami typu PZL 104 „Wilga”. Startowali w trzech konkurencjach. Polegały one na przeleceniu również trzech tras o wzrastającym stopniu trudności, przy czym w trakcie lotu należało odszukiwać znaki i zdjęcia umieszczone na trasie przelotu. Duet krośnieńsko – krakowski radził sobie od początku bardzo dobrze, chociaż nie wygrał żadnej konkurencji. W pierwszej zajął piąte miejsce, w drugiej drugie i w trzeciej trzecie, co dało mu w sumie zwycięstwo w Locie Południowo – Zachodniej Polski i uczyniło w polskiej ekipie faworytów przed zbliżającymi się zawodami europejskimi.¹¹

Były nimi przeprowadzone w Krakowie w sierpniu 1998 roku III Mistrzostwa Europy w Lataniu Rajdowo – Nawigacyjnym, w których pil. Janowi Gruszeckiemu i naw. Jerzemu Markiewiczowi szło na początku dobrze. Podczas pierwszego dnia mistrzostw, po pierwszym przelocie prowadzili, ale gorzej powiodło się im w czasie drugiego dnia, po którym spadli na czwarte miejsce. Gruszecki powiedział o tym:

„To nasz pierwszy start w zawodach tej rangi, a mój dodatkowo pierwszy w roli pilota. Wśród zapłaconych frycowe i nie znaleźliśmy siedmiu obiektów, ale wczoraj było już lepiej. »Puściliśmy« tylko trzy zdjęcia. Cieszyłbym się, gdybyśmy znaleźli się w pierwszej piątce tych mistrzostw, co jest jeszcze możliwe.”¹²

Ostatecznie duet Gruszecki i Markiewicz zajął w mistrzostwach czwarte miejsce. Ponieważ jednak zwycięskiej parze rzeszowsko – lubelskiej Markowi Kochaniakowi i Sławomirowi Włosiukowi sędziowie zarzucili błąd proceduralny przy podejściu do lądowania i ukarali go sporą ilością punktów karnych, duet ten spadł na dalszą pozycję. Dzięki temu para krośnieńsko – krakowska przesunęła się na trzecie miejsce i zdobyła brązowy medal w mistrzostwach Europy.¹³

W 1999 roku, po odbyciu odpowiedniego przeszkolenia, Gruszecki zaczął latać na samolotach typu ATR – 24, najpierw jako drugi pilot na trasie do Mediolanu i Nicei. Później został kapitanem tego statku powietrznego. Następnie, po kolejnym przeszkoleniu, przesiadł się na brazylijską maszynę typu AMBRAER, w której był przez następne lata również dowódcą załogi samolotu, kontynuując karierę pilota „LOT”.¹⁴

Jeszcze w 1999 roku pil. Jan Gruszecki wystartował w odbytych na podreszowskim lotnisku w Jasionce XIII Mistrzostwach Polski w Lataniu Precyzyjnym. Zajął w nich czwarte miejsce, potwierdzając, że należy do krajowej, a zarazem światowej czołówki, bo polscy piloci byli wtedy nadal najlepszymi.¹⁵

Stanisław Fryc

¹² (ML-K) „Dolecieli na zapachu”, „Tempo” nr 162 z 20 VIII 1998 r.

¹³ Leszek Baran „Zwyciężyli i przegrali”, „Super Nowości” nr 164 z 24 VIII 1999 r.

¹⁴ Jan Gruszecki „Wspomnienia”, s. 2.

¹⁵ (wl) „Marek Kochaniak wicemistrzem”, „Super Nowości” nr 192 z 11 X 1999 r.

ks. Janusz Królikowski

Rocznica Grunwaldzkiej Wiktorii

Już 15 lipca 1411 roku obchodzono po raz pierwszy rocznicę Grunwaldzkiej Wiktorii. Ta rocznica stała się – o czym rzadko się dzisiaj pamięta – pierwszym polskim świętem państwowym, które obchodzono przynajmniej do końca XVII wieku. Jego inicjatorem był zwycięski król Władysław Jagiełło. Utrwalił ten fakt Jan Długosz w *Rocznikach*: „Wtedy też uchwalono, i rozporządzeniem Władysława króla, jako też zgodną wolą wszystkich stanów duchownych i świeckich, postanowiono, aby dzień Rozesłania Apostołów w całej Polsce uroczyste był obchodzony; iżby zatem ojcowie zalecali synom, wnukom, prawnukom i wszystkim potomkom swoim święcenie i uroczyste obchodzenie tego dnia, w którym Bóg opatrzny raczył okazać miłosierdzie, swoją łaskę Polakom; i aby wszystkie kościoły tak miejskie jako i wiejskie, w całym Królestwie Polskim, właściwymi obchodami, nabożeństwami i procesjami święciły wraz z ludem swoim ten dzień, i składały Bogu dziękczynienia za wyświadczone Polakom tak wielkie dobrodziejstwo”.

Powrót pamięcią pod Grunwald stał się więc od samego początku stałym elementem polskiej tradycji państwowej, kulturowej i religijnej, wydatnie służąc w ciągu wieków utrwalaniu i pogłębianiu polskiej świadomości narodowej.¹ W okresie rozbiorów tradycja uroczystego i oficjalnego obchodu rocznicy grunwaldzkiej siłą rzeczy uległa pomniejszeniu, chociaż wiele świadectw potwierdza, że nigdy nie została ona zapomniana. Kwestia krzyżacka powracała wymownie w licznych utworach literackich i dziełach sztuki, dla których stała się bardziej lub mniej widoczną inspiracją. *Krzyżacy* Henryka Sienkiewicza i *Bitwa pod Grunwaldem* Jana Matejki pozostają znakomitymi pamiątkami 1410 roku, choć

warto pamiętać także o licznych innych.² W tym też kontekście „krzyżak” pobity pod Grunwaldem stał się symbolem wszystkich wrogów narodu polskiego, a zwycięstwo nad nim inspirowało do podejmowania działań mających na celu doprowadzenie do odrodzenia państwa polskiego. Utrwaliła tę świadomość Maria Konopnicka w *Rocie*: „Do krwi ostatniej kropli z żył / bronić będziemy ducha, / aż się rozpadnie w proch i w pył / krzyżacka zawierucha”. Odśpiewano ją po raz pierwszy w 1910 r., przy okazji odsłonięcia



Figura apostoła, Prusy Zakonne (?), 1. ćwierć XV w. (?), Nowy Sącz, kolegiata Świętej Małgorzaty

pomnika grunwaldzkiego w Krakowie. Ta symboliczna rola „krzyżaka” w okresie rozbiorowym rzuciła skrajnie negatywne światło na cały Zakon Krzyżacki (Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu



Krzyż relikwiarzowy, warsztat górnoeński, przed 1343 r. (krzyż), Kraków, ok. 1470-1480 r. (puszka na relikwie i stopa), Sandomierz, katedra

Niemieckiego), a krzyżacy zostali uznani niemal za pospolitych przestępców, co prawdą nie jest. Także historiografia akademicka w znacznym stopniu znajdowała się pod wpływem tego archetypu.³ Dopiero szerokie i obiektywne badania historyczne prowadzone w ostatnich dziesięcioleciach przez znakomitych polskich historyków stawiają Zakon Krzyżacki w nowym, bardziej przychylnym świetle, nie tając oczywiście problematyczności wielu jego działań.⁴

Nowe spojrzenie na Zakon Krzyżacki nie zmienia oczywiście klasycznego spojrzenia na bitwę pod Grunwaldem, która pozostaje „świątecznym zwycięstwem”, i tylko reakcyjniści (zwłaszcza ci zebrani pod znakiem „Gazety Wyborczej”, którzy organicznie nie znoszą niczego, co polskie, a na pewno nie dopuszczają, że można Polsce i Polakom przypisać jakiegokolwiek sukces), nie mający pojęcia o polskich dziejach, podważają jej znaczenie w 1410 roku i w okresie późniejszym.

Warto zwrócić uwagę, że w tym roku z okazji 600. rocznicy bitwy pod Grunwaldem zorganizowano na Wawelu bardzo interesującą wystawę poświęconą temu wydarzeniu noszącą tytuł: *Na znak świetnego zwycięstwa*.⁵ Zgromadzono na niej wiele cennych pamiątek, które są naznaczone widocznymi śladami Grunwaldzkiej Wiktorii.



Jan Matejko, *Bitwa pod Grunwaldem* (szkic), 1872 r., Muzeum Zamkowe, Malbork

Zawsze chciałoby się zobaczyć więcej, ale i tak to, co się zachowało, pozwala niemal dotknąć bitwy sprzed sześciuset lat, prowadząc do historiozoficznego zamyślenia się nad jednym z „najważniejszych wydarzeń w średniowiecznych dziejach środkowo-wschodniej Europy”, jak bardzo trafnie i jednoznacznie napisała w komentarzu do wystawy Halina Bilik.⁶ Uzasadnienie tej rangi bitwy pod Grunwaldem jest bardzo proste, choć zarazem niezwykle dramatyczne: „Nie była zwykłą, jedną z wielu średniowiecznych batalii, lecz walką o byt lub niebyt każdej ze stron wojujących”.⁷ Wartość wystawy polega także na tym, że, sięgając głęboko w pamięć przeszłości, zmusza również do zamyślenia się nad dzisiejszym „być albo nie być” Polski i Polaków.

Spośród znanych każdemu grunwaldzkich pamiątek na wawelskiej wystawie bardzo dał się odczuć brak *Bitwy pod Grunwaldem* Jana Matejki. Muzeum Narodowe w Warszawie nie pomyślało, aby dokonać konserwacji obrazu, a tym samym przygotować go do obchodów rocznicowych. Lukę tę w znaczym stopniu wypełniła diorama *Bitwa pod Grunwaldem* Tadeusza Popiela i Zygmunta Rozwadowskiego udostępniona przez Lwowskie Muzeum Historyczne.

Wśród zachowanych pamiątek po Grunwaldzkiej Wiktorii warto zwrócić uwagę na niektóre z nich, które zazwyczaj znajdują się całkiem blisko, a które często pozostają niezauważone. Najczęściej są to przedmioty liturgiczne zdobyte przez wojska Władysława Jagiełły w kościołach i kaplicach państwa krzyżackiego w latach 1409–1410. Niektóre przedmioty zdobyte na krzyżakach zostały przekazane między innymi do Sandomierza. Długosz relacjonuje: „W kaplicy zamkowej [w Dzierzgowiej] znalazłszy obrazy bardzo piękne w drzewie rzeźbione, [Władysław Jagiełło] kazał je odesłać do Królestwa Polskiego, i darował je kościołowi sandomierskiemu Świętej Maryi w diecezji krakowskiej, wraz z krzyżem srebrnym wyłaczanym, który był zabrał w Brodnicy. Kościół sandomierski do dziś dnia je zachowuje jako pamiątkę sławnego zwycięstwa i dar znakomity”.

Nie wszystkie wspomniane pamiątki przekazane do Sandomierza można dzisiaj zidentyfikować. Ponad wszelką wątpliwość w sandomierskiej katedrze znajduje się wspomniany przez Długosza krzyż relikwiarzowy, wykonany w warsztacie górno-



Tadeusz Popiel, Zygmunt Rozwadowski, Diorama Bitwa pod Grunwaldem (fragm.), Kraków, 1910 r., Muzeum Historyczne, Lwów

reńskim przed 1343 rokiem. W sandomierskiej katedrze, na filarze w pobliżu prezbiterium, można do dzisiaj kontemplować poruszający swą wymową krzyż, który od dawna tradycja łączy z darem króla Władysława Jagiełły, przesłanym do Sandomierza po bitwie pod Grunwaldem. Bliższa analiza ideowa tego dzieła rzeczywiście pozwala sytuować jego genezę na terenie państwa krzyżackiego.

Inną pamiątką po bitwie pod Grunwaldem, tym razem znajdującą się w kolegiacie Świętej Małgorzaty w Nowym Sączu, są fragmenty ołtarza z postaciami Apostołów, pochodzącymi prawdopodobnie z Prus Zakonnych (1. ćwierć XV wieku). Na co dzień pozostają umieszczone w kolegiacie na bocznej ścianie w pobliżu prezbiterium.

Obecnie te pamiątki, poza krzyżem z katedry sandomierskiej, są prezentowane na wystawie na Wawelu. Warto zwrócić zwłaszcza uwagę na wspomniany krzyż relikwiarzowy, gdyż na ogół nie jest prezentowany publicznie, a jest dziełem o wyjątkowej klasie artystycznej.

Ciekawą pamiątką bitwy grunwaldzkiej jest również, pochodzący z osiemnastego wieku, fresk w prezbiterium kolegiaty Świętego Marcina w Opatowie, na którym ta bitwa została przedstawiona. Opatowska kolegiata zasługuje na uwagę tym bardziej, że jest jednym z najznamienitszych zabytków sztuki romańskiej w Polsce oraz odegrała wyjątkową rolę w ewangelizacji ziem polskich. Odwiedzając to miejsce, warto odnotować, że elementem wystroju ikonograficznego tej świątyni jest także fresk przedstawiający Wiktoria Wiedeńską Jana III Sobieskiego.⁸

Ślady Grunwaldzkiej Wiktorii zostały głęboko wpisane w pamięć kulturową Polaków, a biorąc pod uwagę epokowe znaczenie tego wydarzenia, zasługują na to, by w tej pamięci stałe pozostawały żywe. Zapewne warto odbyć pielgrzymkę śladami grunwaldzkich pamiątek, by tę pamięć ożywić, a samą Grunwaldzką Wiktoria przemysleć na nowo. Tylko pamiętając o przeszłości, zasługuje się na przyszłość, jak mówił Marszałek Piłsudski.

¹ Por. M. Biskup, *Grunwald w świadomości Polaków*, Warszawa – Łódź 1981. Do badań tego zagadnienia bardzo użyteczna bibliografia zagadnienia: H. Boronowski, *Bibliografia bitwy pod Grunwaldem i jej tradycji*, Toruń 1990.

² Por. A. K. F. Wołosz, *Matejko nie był pierwszy, ani ostatni, czyli kilka uwag o niektórych przedstawieniach bitwy pod Grunwaldem od XV do XXI wieku*, „Spotkania z Zabytkami” 34 (2010) nr 5-6, dodatek, s. 2-10.

³ Por. I. Kąkolewski, *Polska czarna legenda zakonu krzyżackiego*, „Mówią Wieki” 2010, nr 2 (wydanie specjalne), s. 76-86.

⁴ Por. K. Górski, *Zakon krzyżacki a powstanie państwa pruskiego*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1977; tenże, *Studia i szkice z dziejów państwa krzyżackiego*, Olsztyn 1986; G. Labuda, *Studia krytyczne o początkach Zakonu Krzyżackiego w Prusach i na Pomorzu. Pisma wybrane*, Poznań 2007; M. Biskup, *Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach. Gospodarka, społeczeństwo, państwo, ideologia*, Gdańsk 1988; tenże, *Państwo zakonu krzyżackiego w Prusach. Władza i społeczeństwo*, Warszawa 2008.

⁵ Por. Zamek Królewski na Wawelu. Państwowe Zbiory Sztuki, *Na znak świętego zwycięstwa. W 600. rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Wystawa 15 lipca – 30 września 2010. Przewodnik*, Kraków 2010.

⁶ Tamże, s. 9.

⁷ Tamże.

⁸ Por. W. Fudalewski, *Miasto Opatów. Podług miejscowych źródeł i podań*, Opatów 2006 (reprint wydania z 1895 r.).

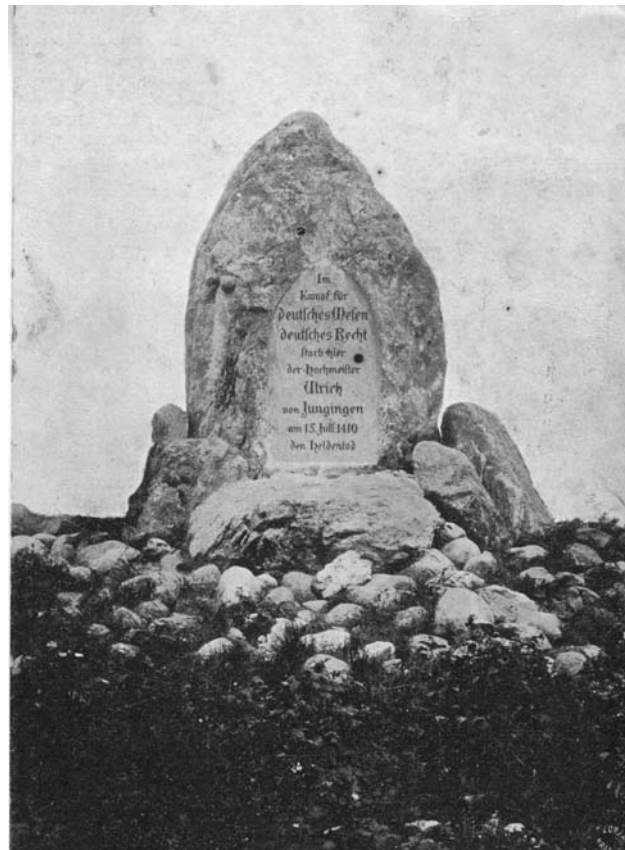
Grunwald w Padwi i Gawłuszowicach



Od lewej: Krzyżacy w Padwi Narodowej, po prawej: Odnowiony i udekorowany Pomnik Grunwaldzki w Padwi Narodowej (fot. W. Gąsiewski)



Od lewej pocztówka z 1918 r., z korespondencją, wysłana do Mielca: Jan Matejko, Zgon wielkiego mistrza pod Grunwaldem. Wydawca „Stella” Bochnia, nr 1165, druk ANCZYC [Kraków], zb. wł. Od prawej pocztówka z 1910 r., z korespondencją, wysłana do Jarosławia. Podpis pocztówki: „W tem miejscu poległ wielki mistrz krzyżacki Urlyk von Jungingen. Na kamieńcu ze zburzonego pamiątkowego kościoła położyli dziś Prusacy kamień z napisem: »W walce o niemieckie istnienie i niemieckie prawo poległ



Pobojowisko pod Grunwaldem.

Kamień pamiątkowy.

w tem miejscu wielki mistrz Ulryk von Jungingen śmiercią bohatera. « Napis mylnie ocenia działalność Krzyżaków. Wielki astronom Mikołaj Kopernik, który Krzyżaków dobrze znał, w liście z dnia 31 lipca 1516 nie nazywa ich wcale bohaterami prawa, lecz praedones latrones et homines sceleratis, to jest: zbrojami, lotrami i zbrodniarzami”. Wydawca pocztówki: Wydawnictwo Dzieł Sztuki „Stella” w Bochni nr 1207. Klisze „Zorza” Kraków i druk ANCZYC [Kraków], zb. wł.

GRUNWALD 2010

11 lipca br. w Padwi Narodowej odbyły się uroczystości poświęcenia i odsłonięcia odnowionego Pomnika Grunwaldzkiego. Uczestniczyli w nich m.in. posłowie Krzysztof Popiołek i Wiesław Rygiel, Marszałek Województwa Podkarpackiego Zygmunt Cholewiński, władze gminne i powiatu mieleckiego. Poświęcenia pomnika dokonał ks. Jan Sarwa - proboszcz parafii Gawłuszowice. Po uroczystościach oficjalnych odbyła się część artystyczna oraz widowisko historyczne - rekonstrukcja bitwy.

Z kolei 15 lipca br. w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Gawłuszowicach odbyła się uroczystość odsłonięcia monumentalnej płaskorzeźby, która wiernie, w skali 1:1 odzworowuje obraz Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”. Płaskorzeźba składa się z 34 drewnianych bloków, 450 kg każdy. Jej autor Jan Papina z Zielonej Góry jest emerytowanym żołnierzem, tworzył ją przez osiem lat. Rzeźbę zakupił anonimowy darczyńca, a w Gawłuszowicach pozostanie ona ok. pół roku. (W. Gaśiewski)



Czy z nowo odsłoniętej tablicy pamiątkowej na Pomniku Grunwaldzkim wynika, że 600. rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem oraz 100. odsłonięcia pomnika uczcili tylko mieszkańcy Padwi?

Mieleckie pogotowie pod Grunwaldem



Bożena Ciejka, pielęgniarka i Kamil Rzeszutek, ratownik medyczny z mieleckiego pogotowia podczas dyżuru w trakcie inscenizacji bitwy pod Grunwaldem (fot. arch. A. Dyka-Urbańska)



Zdjęcia z rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem z 17 VII 2010 r. (fot. Krzysztof Fryc z Jasła)

GRUNWALDZKIE KAZANIE W TASZKIENCIE



Rocznica grunwaldzka żywym echem odbiła się także wśród Polonii, w najbardziej oddalonych zakątkach świata, jak chociażby w stolicy Uzbekistanu w Taszkencie. Pracuje tam polski ksiądz Jarek Wiśniewski, którego relacje i kazania już publikowaliśmy na łamach „Więści Regionalnych”. Tym razem prezentujemy „kazanie grunwaldzkie”, które wygłosił w Taszkencie.

Polski kościół

Od pół roku szukam klucza do „polskich serc” w Uzbekistanie. W Taszkencie zarówno Uzbegy jak i Europejczycy nazywają katolicką świątynią „polski kościół”. W tej „polskiej” świątyni odbywają się nabożeństwa po angielsku, rosyjsku i po koreańsku co tydzień. Na „polską Mszę” paradoksalnie przychodzi kilka osób i to raz w miesiącu. Wystarczy palców jednej, maksimum dwu dłoni, żeby policzyć ilu Polaków w 3 milionowym mieście korzysta z „usług” polskiego kościoła.

Litewski Proboszcz

U początków działalności świątyni bywały konflikty z proboszczem co prowadziło do chwilowego bojkotu. Był to jednak człowiek pochodzenia litewskiego. Budowa świątyni pochłaniała go bez reszty i nie zdziwił się jeśli w ten czy inny sposób mógł on polską diasporę do siebie zrazić. Są pisemne świadectwa tych tarć. Polonusi zarzucali księdzu Pranajtisowi, że zbyt wiele środków wykorzystał na budowę plebanii i zbyt długo zwleka z budową kościoła. Ten się bronił, że plebania pełni rolę kaplicy więc musi być piękna. Na kościół nie miał czasu środków i nawet w swojej apologii wyrzucał Polonusom, że zbyt mało ofiar złożyli, by od niego wymagać cudów architektonicznych. Tym niemniej cud się dokonał. Sprzyjała temu paradoksalnie pierwsza wojna światowa i obecność dużej grupy jeńców wojennych z austro-węgierskiej armii. Było tam mnóstwo katolików i za zgodą miejscowych władz rosyjskich włączyli się jako wolontariusze we wzniesienie świątyni. Prace nad budową trwały już ponad 2 lata. Począwszy od 1912 roku ksiądz Justyn z trudem wznosił fundamenty.

Austro - Węgrzy

Wśród jeńców byli inżynierowie i architekci. Był też wybitny rzeźbiarz z Budapesztu o nazwisku Gatz. O jego niesamowitym talencie rzeźbiarskim i organizatorskim zachowały się wspomnienia młodego rzeźbiarza polskiego pochodzenia z Petersburga o nazwisku Krestowski. Spośród kilkudziesięciu rzeźb do dnia dzisiejszego przetrwała tylko

jedna. Leży jak scytyjska baba bez głowy, dłoni i stóp z tyłu kościoła i czeka na lepsze czasy. Są zdjęcia z placu budowy. Można na nich dostrzec piękne i monumentalne figury 4 ewangelistów u wejścia do kościoła i 12 figur apostołów na balustradzie wokół świątyni. Widać figurę ECCE HOMO nad głównym wejściem i dwie zachowane płaskorzeźby Męki Pańskiej nad bocznymi drzwiami. Dwie boczne wieże wieńczyły krzyże Złoczyńców wykonane bardzo realistycznie. Takiego niezwykłego rozwiązania architektonicznego nie widziałem nigdzie. Dla historii architektury w tej części świata Gatz dokonał nie mniej niż Gaudi dla Barcelony. Jak sądzę byli jednakowo oryginalni i genialni... Mało się pewnie mówi o tym w Europie ale w Taszkencie to się odczuwa. Nasza katedra jest warta dziennikarskiego lepszego niż moje pióra.

Sowiet

Cudownie świątynia przetrwała wiele komunistycznych przeróbek. Była wykorzystywana jako dom studencki, skład akademii medycznej, prosekatorium. Przetrwała trzęsienie ziemi w 1966 roku, ale ruiną stała się całkiem niedawno na oczach średniego pokolenia mieszkańców miasta. Dopiero po 1981 r. kiedy to władze sowieckie uznały, że jest to pamiątka historii i architektury i przystąpiły do restauracji. Planowano stworzenie filharmonii. Przywieziono na teren budowy dźwig, zdjęto dach i zrujnowano sztuczne piętra w nawie głównej. Po kilku latach zaczęły się w Rosji przemiany. Pieniądze na projekty Ministerstwa Kultury przestały wpływać albo znikwały w drodze. Pośród ogólnego chaosu kościół niszczał w zastraszającym tempie. „Czarnobyl mentalny” zarażał i niszczył coraz większą ilość dusz. Cierpiał również zabytki.

Odrodzenie

W międzyczasie w Taszkencie podobnie jak i w innych okolicach sowieckiego imperium powolutku odradzały się katolickie wspólnoty i równoległe do nich czasami z dużym entuzjazmem na podobieństwo słomianego ognia. Co ciekawe coś co zdaje się naturalne: harmonijna współpraca kościoła z Polonią w dawnym ZSRR nie było takie oczywiste. W Taszkencie takiej współpracy sprzyjał ksiądz Józef Świdnicki. Przyznał się w rozmowie ze mną, że członkami założycielami byli na początku Żydzi, Tatarzy, Uzbegy, Ukraińcy i nawet ateści. Polacy dołączyli do tej grupy nieco później kiedy było już kupione pomieszczenie dla kaplicy na ulicy Saperow. Pewna Ukrainka o imieniu Marina rozkleiła 40 ogłoszeń wykonanych ręcznie na większości stacji metro w mieście. Takim sposobem do nowo powstałej katolickiej wspólnoty zaczęła napływać nowa krew. Ksiądz Józefa wzywał do siebie „wyznaniowic” z pogroźkami, ale czasy już się zmieniły i takie pogroźki tylko dopingowały do pracy. Kapłan obiecał, że rozwiesi 400 ulotek jeśli trzeba. Marina po kilku latach wstąpiła do zakonu, odbyła nowicjat i 16-letni staż w Polsce i dziś pracuje w zespole siostr Franciszkanek w kazachskim Pawłodarze. Ksiądz Józef w międzyczasie oddał klucze od parafii Franciszkańskiemu kapłanowi Krzysztofowi Kukulce. Sam w 1992 roku przeniósł się na Syberię a od 1997 roku rezyduje w rodzinnej parafii Murafa pod Winnicą na ukraińskim Podolu. Kiedy niedawno odwiedzał nas Prałat Józef Świdnicki to najstarsi członkowie polskiego towarzystwa „Świetlica” przypominali mu jak chodząc po mieście uczył ich śpiewać „płynię Wisła płynie”. Tym niemniej stało się coś niedobrego. Po księdzu Świdnickim przyjechali do Taszkentu Franciszkanie z Polski. Zdawałoby się teraz jak nigdy przedtem polskość z taszkienckim kościołem będzie związana na zawsze.

Bez winy ojców Franciszkanów doszło do katastrofy...

Polonia

Ksiądz Krzysztof Kukulka nie spełnił oczekiwań Polonusów w tym sensie że nikogo nie głaskał. Był wymagający i podobnie jak

Przedziwna Msza

pierwszy proboszcz taszkiencki podporządkowywał wszystkie siły sprawie odbudowy kościoła. To była heroiczna sprawa. Bez jeńców austro-węgierskich i bez gotówki w kieszeni ksiądz Krzysztof podjął się niewiarygodnego zadania. Podobno zobowiązał się wobec władz Ministerstwa Kultury, które do dziś prawnie zarządzają świątynią, że do roku 2000-go kościół będzie jak nowiutki. Rzecz jasna, że nie miał czasu się ceregielić z krnąbrnymi parafianami. Być może zasłużył sobie na podobne plotki jak ksiądz Pranajtis. Owszem była „polska msza” jakiś czas nawet co tydzień. Skoro jednak Franciszkanie dostrzegli, że Polaków na tych Mszach jest coraz mniej stopniowo zaczęli się wycofywać z prowadzenia etnicznego duszpasterstwa. Polonusi zajęli się swymi sprawami. Doszło do licznych rozłamów. Mamy dziś 5 polskich organizacji i jak wspominałem kilka osób na comiesięcznej „polskiej Mszy”. Pośród obywateli uzbeckich w rubryce narodowość 3 tysiące osób zadeklarowało polskie pochodzenie, z tego połowa w Taszkencie. To niemało, gdy się zważy, że nawet we władzach towarzystwa są osoby z zadeklarowaną narodowością rosyjską czy azerską. Ludzie w czasach sowieckich niechętnie przyznawali się do polskości mając świadomość swego pochodzenia, skrywali je, bo to mogło zaszkodzić ich karierze naukowej i zawodowej. Realna więc liczba osób z polskimi korzeniami jest dużo liczniejsza. Każda z 5-ciu polskich organizacji deklaruje, że ma ponad 1000 członków. Ja jestem skłonny wierzyć tym szacunkom. Tym bardziej jednak dziwi mnie ten bojkot kościoła.

Sporadyczne zmiany

Sporadycznie sytuacja się zmienia. Na 1-go listopada księża są zapraszani na cmentarzu polskich żołnierzy generała Andersa. Nie wiem jaki w tym udział mają polskie organizacje, bo ani razu nie byłem na tych nabożeństwach. Mam do obsługi parafie w terenie i mój grafik nie pozwala mi na odwiedziny cmentarzy w ustalonym przez Ambasadę czasie. Domyślam się jednak, że Polonusi bywają na tych modłitwach. 14-go listopada w sobotę na „2-gim festiwalu polskich szlagierów”, jaki odbywał się w kościelnej auli św. Antoniego były tłumy. Choć działo się wszystko przy kościele to jednak impreza była świecka i nie było wielu powodów do radości. Za jakiś czas w kościele odbywała się msza za pewną zmarłą działaczkę polonijną. Przyszły tłumy. Kilka różnych polskich organizacji pojednało się na chwile. Było sporo muzyków, były znane twarze ze świątka kultury i z Ambasady. Ustalono, że na koncercie nie będzie bisów i oklasków. Pewien uzbecki saksofonista próbował przekonać publiczność, że babcia by im tego nie miała za złe... Miałem wrażenie, że jest pijany...

Na Wielką Sobotę sporo polonusów poświęcało koszycki z potrawami świątecznymi, ale na wielkanocnej Mszy już ich nie było... Sprawdziłem to osobiście, bo poszedłem po południu na spotkanie ziomkostwa w siedzibie Świątlicy i nikt się nie krył z tym, że moja obecność dała im „poczucie święta”. Jeszcze raz poświęciłem koszycki tym co nie byli w sobotę. Robiłem głupie miny dzieląc się jajkiem z „polskimi poganami” ale poczucie niesmaku pozostało. Największy „sukces” miała nasza świątynia z okazji tragicznych wydarzeń pod Smoleńskiem. Przyszło na wieczorną Mszę po polsku ze 200 osób. W ciągu tygodnia przychodzili ludzie z kondolencjami. Portret prezydenta i księga pamiątkowa była wystawiona cały tydzień. Było sporo kwiatów i nie gasły świece.

Dziecięca choroba

Dostrzegłem, że nasi Polacy w Taszkencie przeżywają nie tylko letarg ale jak to mawiali klasycy komunizmu „chorobę dziecięcą” czyli brak ludzkiej troski i dopingiu. Na spotkaniu z księdzem Józefem przypomnieli mu jakże to było miło gdy siadali po Mszy świętej pić herbatkę. Owszem taki zwyczaj jest w kościele. Na herbatkę spotykają się obecnie Koreańczycy, grupa lektorów we czwartki, dzieci z grupy katechetycznej naszych siostr „Kalkutek” oraz młodzież. Rzeczywiście, nie ma w kościele herbatek dla Polonusów. Postanowiłem spróbować. Okazja sama się napraszała. Zadzwoniłem do szefowej najstarszej organizacji pod nazwą „Świątlica”. Powiedziałem, że zbliża się rocznica bitwy pod Grunwaldem i że z tej okazji warto wypić herbatkę. Zadzwoniłem, zapomniałem...

Zapomniałem zrobić zakupy. Byłem tego tygodnia na wycieczce w Samarkandzie. Sporo dzieci jechało ze mną „na dziko”, bez własnego autokaru, jak popadnie. Wróciłem zmordowany i wyszło mi z głowy, że obiecałem Polonusom po Mszy niedzielnej rocznicową herbatkę. Gdy dostrzegłem jaki tłum wali do kościoła skonsternowany poprosiłem ministranta by pobiegł do sklepu nieopodal. Kupił dwie duże butelki Coca-coli, paluszki, lody. Malutko jak na taką wielką imprezę. Okazało się jednak, że Polonusi też przynieśli łakocie. Jak w tej historii z karmieniem tłumów pozostało jeszcze parę talerzy odłamków... Szybko zaparzyliśmy dwa dzbany herbaty i nawet się nie spostrzegłem jak zawiązała się rozmowa na temat kazania. Byłem na Mszy tak roztargniony, że nawet nie pamiętam dokładnie co mówiłem na temat Samarytanina i jak przeszedłem do opowieści grunwaldzkich. Przyczyn mego roztargnienia było kilka. Po pierwsze nie było organistki. Wszystkie pojechały na koncert organowy do odległego miasta Urgencza. Drugi powód to dobroć pewnej Polonuski z Chicago. Póki rozdawałem stare śpiewniczki zachodząc w głowę co śpiewać na liturgii ona przyniosła całą paczkę nowych śpiewników z Chicago. Póki ćwiczyliśmy pieśni nadciągnęła pani Konsul z synem. Nie widzieliśmy się od czasów pierwszej tury wyborów. Ja zawsze „kompleksuję” w obecności tych wysokich urzędników. Niestety oni też mimo starań proboszcza są rzadkimi gośćmi w kościele. Jeśli jakaś zażyłość się tworzy to tylko między nimi i proboszczem. Ksiądz Lucjan ma teraz 2 miesiące urlopu zaległego za dwa lata i to jedyny powód, że po długiej przerwie znów tę polską Mszę odprawiam właśnie ja...

Komplementy

Musiałem wyglądać na tej Mszy okropnie. Prócz dzięki wycieczki miałem za sobą jeszcze wyjazd do Angrenu i trzy msze poranne. Na angielskiej tłumaczyłem kazanie Biskupa, na rosyjskiej spowiadałem, koreańską odprawiałem sam. Gdy Koreańczycy się rozchodzili zaczęli nadciągać Polacy. Język płał mi się strasznie. Dostrzegłem, że w tekście wstawiam typowe dla rosyjskiego zwroty. Czuję jednak, że udaje mi się trzymać patriotycznej nuty i że piosenki z nowego śpiewniczka pomagają zachować dyscyplinę i nastrój... Nawet udało mi się zaśpiewać prefację, co chwilami zdaje mi się łamiętkówką. Owszem wspominałem pod koniec Mszy, że mamy dzień św. Benedykta i opowiadając o klasztorze w Monte Cassino powiązałem to z losami naszych taszkienckich żołnierzy. Nie będę ukrywał miałem tremę. Tak bardzo bym chciał się zaprzyjaźnić z naszymi polonusami ale zawsze wyczuwam dystans. Usłyszałem jednak pod swym adresem taką ilość szczerych komplementów jakich dawno nie było i nawet nie mogłem się tego spodziewać.

Lista obecności

Nie, nie było nas 200 osób. Jedno zero można zabrać. Pani konsul była z synem. Polonuska z Chicago z mężem (czeskie korzenie wiec gada po polsku). Dwie siostry Tagijewy z azerskimi korzeniami (ich tato zapoznał mamę Polkę w czasie drugiej wojny światowej i zabrał ze sobą do Taszkentu), czterech chłopcy z zespołu „Społem” (dwaj o imieniu Paweł, jeden Eliaz, czwarty anonimowy przyprowadził ze sobą girl-friend) i skrzypaczka. Trzy dziewczęta z zespołu „Bawelnianki”, jedna rezolutna blondynka średniego wieku z „Towarzystwa Świątlica”, szefowa konkurencyjnej organizacji zdaje się z Polonii lub z Zarzewia. Widujemy się tak rzadko, że mam prawo się mylić... Kilka osób mogłem zapomnieć albo nie doliczyć, myśle, że było nas 20-tu. Nie, nie są to tłumy i nie jest to szczyt marzeń.... Tym niemniej 20 osób na polskiej Mszy w Taszkencie w sezonie letnim to było nie lada zwycięstwo, wręcz grunwaldzkie bym rzekł. Okazuje się, że Grunwald nadal inspiruje, a nawet wzbudza kontrowersje. Tego dnia podobna ilość wiernych była na mszach angielskich i na koreańskiej. Rosyjskojęzycznych przyszło jak zwykle najwięcej, bo aż 70 osób... Nadal Polacy są na szarym końcu w tej ilościowej konkurencji. Tym niemniej

GRUNWALDZKIE NADWISŁOCZE

ja się cieszę i choć minęły trzy doby nadal mam podniosły nastrój „grunwaldzkiej Viktorii”. Zamiast dwu mieczy miałem dwie butelki z Coca-colą i dwa czajniki z herbatą. Reszty dopełniła rozmowa.

Recepta na sukces

Okazuje się że sprawa jest dość prosta. W czasach antycznych chrześcijanie modlili się w sobotę wieczorem a po modlitwie pozostawali do samego rana na uczcie miłości czyli Agape. Te tradycje odnowili członkowie ruchu neokatechumenalnego. Istnieje ten zwyczaj w większości wspólnot protestanckich. Herbatę tam się pije i przed i po modlitwie. Wiele katolickich wspólnot na misjach już dawno korzysta z tego prostego środka ewangelizacji. Więzy zacieśniają się dużo mocniej gdy nie tylko się razem modlimy ale również gdy świętujemy małe i duże daty. Dostrzegłem na pewnym nabożeństwie baptystów, że na początku modlitwy pastor wymienia imiona wszystkich kto w danym tygodniu ma urodziny... Potem się to celebruje! Mało tego w Japonii jest francuski misjonarz, którego zna cały kraj. Nazywa się go popularnie Obaka-san czyli „głuptasek”. Zamiast parafii prowadzi knajpę. Przychodzą do niego nie tylko chrześcijanie. Wielu pogan chce z nim wypić kielicha i porozmawiać o życiu. Ksiądz nie odmawia. Pozostaje dla mnie sekretem czy po drodze nie wpadł w alkoholizm. Tym nie mniej chrześcijańska gościnność, w tym wypadku polska czy uzbecka gościnność dała rezultat. Najbardziej genialne są rzeczy proste.

Długie pożegnanie

Tak bardzo się cieszę, że Polonusi w Taszkencie powracają do kościoła... Gdyśmy się rozchodzili po herbatce najpierw na taksówkę siadły dwie siostry Tagijewy. Spieszyły się do chorej mamy. Zdążyły mi jednak podziękować, że pomodliłem się za ich zdrowie w modlitwie wiernych. Ja to zrobiłem w sposób bezwiedny, rutynowo, że tak powiem i już zdążyłem o tym zapomnieć. One jednak pamiętały. Pieszko pobiegł w stronę domu dwumetrowy Pasza (Paweł) z zawodu lekarz. Reszta młodzieży to członkowie dwu zespołów taneczno-muzycznych „Społem” i „Bawelnianki”.

„Społem” zostało na przystanku koło ortopedii, jechali na dzielnicę Kadyszewa. „Bawelnianki” jechały na Czelanar i szły na inny przystanek, by sięść na autobus 80-ty za rogiem, więc choć się dziwiły szedłem z nimi dalej. Rozmawialiśmy o górach, bo one tam były niedawno. Dopytywałem się jak najlepiej dojechać pociągiem na sąsiadujące z Taszkientem wzgórze, okazuje się nie jest to wcale trudne. „Bawelnianki” to trzy rodzone siostry, które śpiewają polski repertuar wspólnie z mamą i z bratem. Z nimi znam się lepiej, bo dwukrotnie zapraszałem na mini koncerty do swej parafii dojazdowe. Zimą zaprosiły mnie nawet na kolędę, mimo, że są nominalnie prawosławne. Robiło się ciemno a ja dalej szwendałem się po ulicach Taszkentu zadowolony ze swego grunwaldzkiego sukcesu. Zbliżałem się do przystanku, na którym pozostawiłem młodzież z zespołu „Społem”. Jakież było moje zdziwienie gdy dostrzegłem, że dwoje z nich skrzypaczka i akordeonista Ilja stoją na przystanku nadal. Spytałem czy tak długo nie było autobusu, a oni mi rzekli, że owszem były aż dwa ale oni czekali na mnie by mnie do kościoła z powrotem odprowadzić, bo im się wieczór tak spodobał. Co tam było tak pięknego nadal. Nie pojmuje: herbata, coca-cola, kazanie???

Dziwne misje

Czytając moją opowieść w Polsce ktoś wzruszy ramionami: z czego tu się cieszyć? Z tego, że było w niedzielę w kościele 13 osób w stolicy pewnego azjatyckiego państewka? W Polsce przy takiej frekwencji ksiądz nie zechce w niedzielę odprawiać. Myśmy też zrezygnowali. Polska Msza jest tylko raz w miesiącu, bo zdarzało się, że przyszły 2 osoby... Takie są właśnie nasze radości. Takie dziwne są te nasze misje. Parafia odrodziła się w 1988 roku. Rosła w przeciągu lat 10-ciu. Bywało w kościele do 400-tu osób. Potem stało się coś... Parafia zaczęła szczerze!



Kościół Najświętszego Serca Jezusa w Taszkencie

Pogrom „białych”

Trzy razy zaprzyjaźnieni z al-Kaidą wahabici inspirowani przez afgańskich Talibów próbowali zamordować uzbeckiego prezydenta Karimowa. On ma małżonkę Rosjankę. Pełni ona rolę biblijnej Estery. Dzięki jej wstawiennictwu, a także wpływowi dwu „europeizowanych córek” prezydent milcząco toleruje, a może nawet jak sądzą niektórzy sprzyja Europejczykom. Było ich wtedy w latach 90-tych w Taszkencie około 60-ciu procent. Po tych kilku zamachach i fali nienawiści w mieście spotykało się napisy: „Rosjanie pozostaniecie, potrzebni nam wasi synowie jako niewolnicy i wasze córki na prostytutki!”. Na skutek nie trzeba było długo czekać. Kolejki w Ambasadzie rosyjskiej były okropne. Wszyscy chcieli emigrować do Rosji. W międzyczasie wyludniały się dzielnice i całe miasteczka niemieckie jak na przykład sąsiadujący z Taszkientem Angren, Almayık, Czirczyk czy Gezelkent. Wielu Żydów pospiesznie wyjechało do Izraela, emigrują aktywnie również Polacy. Zdarzało się, że ludzie w panice sprzedawali luksusowe domy za przysłowiowe 100 dolarów i odjeżdżali nie pakując rzeczy. Wielu po prostu porzucało domy. W pośpiechu. Do dziś można zobaczyć w terenie krajobraz jak po bitwie: wielopiętrowe domy z ziejającymi pustkami oknami. Dzisiaj w Taszkencie tylko 20 procent mieszkańców ma europejskie pochodzenie. Reszta to Uzbecy czyli nominalni muzułmanie. Ponieważ przybyli z „kiszaków” ich tradycyjne obyczaje wiejskie i przywiązanie do islamu jest wielkie. Minie sporo czasu zanim powstanie nowy konsensus. Oni muszą się dotrzeć z tymi co pozostali. Myślę, że to się odbywa z pożytkiem dla nowych przybyszy. Dopiero w Taszkencie widać wyraźnie, że Rosjanie to kawałek Europy. Lenin kiedyś przysłał do Taszkentu cały pociąg z leningradzką i moskiewską profesurą więc uważa się, że przyjeździ to ludzie wysokiej kultury. Niedawno powstała nawet tendencja, by uzbeckie dzieci posyłać do rosyjskich szkół. Popularne są w Taszkencie rosyjskie teatry i kafejki. Świadomie czy nie, ale faktem jest, że władze uzbeckie zaniedbały kulturę naukę. W tę lukę zjawiają się też filie moskiewskich uniwersytetów. Dla wykładowców to niezły biznes, bo również tutaj chcą się uczyć dzieci z bogatych rodzin uzbeckich... Kolejny paradoks Wschodu? A może po prostu taka sobie post-kolonialna nostalgia.

Wątek religijny

Nic więc dziwnego, że kościół się wyludnia zamiast zapełniać. Nic dziwnego, że każda okazja, pretekst dla powrotu choćby niektórych jest dobry. Matejko przedstawił grunwaldzką bitwę w sposób dyskusyjny. Pokazał męstwo Witolda i tchórzostwo Jagiełły. Wskazał też na wątek religijny. Ten właśnie wątek wykorzystałem w kazaniu. Pomogło.

Ks. Jarosław Wiśniewski

www.orient.to.pl

Taszkient 13 lipca 2010

KRESOWE PODRÓŻE - ZADWÓRZE



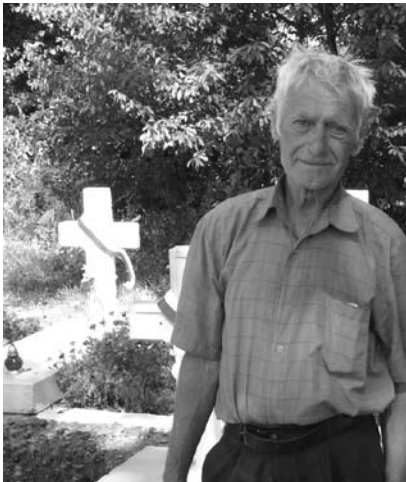
Mała ukraińska wioska Zadwórze ok. 30 km od Lwowa, znana jest jako „Polskie Termopile”, gdzie garstka obrońców w 1920 roku zatrzymała bolszewicką armię Budionnego. Rokrocznie w sierpniu przyjeżdża tu wielu Polaków aby oddać hołd „zadwórkim orłom”. Mało kto jednak zauważa stary, zniszczony kościół i zrujnowaną dzwonnice. Mało kto pewnie zagłębia przez szparę niemal strzaskanych drzwi, gdzie widać w głębi ołtarz z białym obrusem, a nad nim obrazki Matki Boskiej i Chrystusa. Pewnie też nikt nie zagłębia na grekokatolicki już prawie całkowicie cmentarz, gdzie pozostał już niemal jedyny relikw polskości, okazały i „starożytny” grobowiec rodziny Bohdanów, pewnie właściciele tamtejszego majątku. Mogiła ta to chyba jedyna polska pamiątka na tej unickiej i ukraińskiej nekropolii. Na alejce pod krzewami odnajdujemy jeszcze jeden przewrócony obelisk z ledwie czytelnym polskim imieniem: Zygmunt i datą 1826.

W. Gąsiewski



Mielczanie Orłom w Zadwórz

W niedzielę, 22 sierpnia br. w Zadwórz na Ukrainie odbyły się uroczystości 90. rocznicy bitwy oddziałów polskich z przeważającymi siłami wojsk bolszewickich Armii Konnej marszałka Budionnego. Starcie to, zwane „polskimi Termopilami”, powstrzymało bolszewików, którzy parli do Lwowa i w rejon Warszawy, a tym samym uniemożliwiło pomoc pokonanemu przez Piłsudskiego w Bitwie Warszawskiej - Tuchaczewskiemu. Jednak polski opór został okupiony śmiercią niemal wszystkich obrońców, których poległo 318 i zostało pochowanych na przyległym do placu bitwy, przy przejeździe kolejowym, cmentarzu wojskowym. Wkrótce usypano tam kopiec i postawiono pomnik, który mimo prób zamazania historii przez Sowieców po 1939 r., zachował się do dnia dzisiejszego.



Iwan Morawski z Zadwórza pamięta, jak cmentarz wojskowy w Zadwórz został zniszczony przez Sowieców



Pomnik w Zadwórz



Widok na pomnik i budynek stacyjny w Zadwórz. Obecnie nie ma tu przejazdu kolejowego



Uczestnicy uroczystości w Zadwórz

Od kilku lat w tym miejscu odbywają się uroczystości patriotyczno-religijne z udziałem krajowych i polonijnych środowisk polskich oraz władz ukraińskich.

Tegoroczne, jubileuszowe uroczystości poprzedziła msza św. koncelebrowana, po której miały miejsce wystąpienia okolicznościowe i składanie wieńców. Wśród gości byli m.in.: wicemarszałek Sejmu RP - Marek Kuchciński, przedstawiciel władz ukraińskich Myron Jankiw, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa dr Andrzej Kunert i jego odpowiednik ze strony ukraińskiej - Światosław Szeremeta, I zastępca Konsula Generalnego we Lwowie Konsul Andrzej Drozd. Uczestniczyła także Maria Mirecka-Lorys - siostra ks. Bronisława Mireckiego, jednego z 9 ocalałych w bitwie pod Zadwórzem, późniejszego wieloletniego duszpasterza Ziemi Lwowskiej i Tarnopolskiej, a także Emilia Chmielowa - Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie i Emil Legowicz - Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oraz przedstawiciele wielu innych organizacji polonijnych, kombatanckich, harcerze ze Lwowa i z Polski, drużyny „Strzelca” z Podkarpacia, samorządowcy i licznie zgromadzeni Polonusi okolicznych rejonów, a także wielu Ukraińców z pobliskich miejscowości. Powiat mielecki reprezentowali Adam Chrabąszcz - wice przewodniczący Rady Powiatu Mieleckiego oraz Antoni Bryk - członek Zarządu Powiatu Mieleckiego. Do Zadwórza przyjechała też liczna grupa mieszkańców Mielca i okolic wraz ze sportowcami z mieleckiego „Sokoła”, uczestnikami „III Karpackiego Rajdu Przyjaźni im. Lecha Kaczyńskiego” z Józefem Wójtowiczem na czele.

Część oficjalną uroczystości rozpoczęło odśpiewanie hymnów Ukrainy i Polski w wykonaniu chórów ukraińskiego i polskiego. W wystąpieniach okolicznościowych podkreślano rolę i znaczenie „strategicznego partnerstwa” Polski i Ukrainy w tym w upamiętnianiu walki obu narodów o wolność i niepodległość, także wspólną, jak np. obrona przed nawałą bolszewicką, ale też i tragicznych dziejów własnych narodowych zwłaszcza po 1939 r., m.in. eksterminacji Ukraińców w Polsce oraz Polaków na Wołyniu. Przypominano o historycznym znaczeniu bitwy pod Zadwórzem i także, oprócz

Witold Kwiatkowski, Lwów ok. 1918 r.

Walczył pod Zadwórzem

W bitwie pod Zadwórzem i najbliższych okolicach tej wioski uczestniczył Witold Kwiatkowski, ojciec również Witolda - mieleckiego dziennikarza, który udostępnił nam część pamiętnika swojego ojca. Poniżej prezentujemy jego fragment, a w kolejnym wydaniu „Nadwisłocza” następny fragment dotyczący wojny polsko-ukraińskiej 1918 r.



Przy tablicy pamiątkowej pomnika w Zadwórzem, od prawej Adam Chrabąszcz i Antonik Bryk

Polaków, udziału w niej ochotników ukraińskich. Nawiązywano również do wydarzeń współczesnych, w tym głównie do katastrofy pod Smoleńskiem i konieczności upamiętnienia jej ofiar. W wystąpieniu Adama Chrabąszcza z Mielca na uroczystości w Zadwórzem czytamy m.in.: (...) Jesteśmy tutaj aby oddać honor

i cześć Polakom poległym w bohaterskim boju z dzikimi hordami bolszewickimi. Pragne krótko uzasadnić obecność Mielca i delegacji Starsostwa Powiatu Mieleckiego. Mia-nowicie w bitwie pod Zadwórzem brali udział mielczanie. W tej bitwie poległo bohaterską śmiercią trzech mielczan: Józef Chrobaczyński, Bolesław Marcinek i Józef Wanatowicz i zostali pochowani na cmentarzu wojskowym w Zadwórzem. Czwartym z Mielczan, Marek Osmola dostał się do niewoli, a następnie został zakatowany przez bolszewików. (...) Cieszy mnie obecność tutaj wielu młodych ludzi, w tym z Mielca, którzy chcą pamiętać o naszej bohaterskiej historii. Cześć i chwala polskim bohaterom!

Delegacje z Mielca złożyły także wieńce pod pomnikiem. Uroczystości zakończył koncert pieśni patriotycznych, podczas którego „Kwiaty Zadwórzem” – nieoficjalny hymn „polskich Termopil” zaśpiewali harcerze z przemyskiej drużyny ZHP „Czarnej Trzynastki”.

Inf. i fot. **Włodzimierz Gąsiewski**



Na zdjęciu u stóp pomnika w Zadwórzem, od lewej: Adam Chrabąszcz, Marszałek Marek Kuchciński, Antoni Bryk i Konsul Andrzej Drozd

Atakowaliśmy całym batalionem ze wsi Piekutowice na pozycje nieprzyjacielskie. Jako pomoc ogniową, zupełnie iluzoryczną w nocy mieliśmy nasz pociąg pancerny idący torem na naszym lewym skrzydle i tam też szła kompania cekaemów naszego batalionu.

Nasza kompania szła przodem, a za nami dwie pozostałe kompanie. Szliśmy jakimiś łąkami poprzecinanymi ogromnymi rowami odwadniającymi, które ledwo widoczne przeskakiwaliśmy jak z katapult. Chwytał człowiek karabin powyżej jego środka ciężkości, a lewą ręką podtrzymywał chlebak z nabojami, aby ten nie dyndał swobodnie i nie utrudniał ruchów i szu... szu... skakał jeden po drugim przez rowy tak szerokie, że gdy je w dwa trzy tygodnie oglądałem za dnia, to zupełnie nie śmiałem podejmować skoku. A w nocy to tylko wiatr świstał i jeden po drugim gramolił się na przeciwny brzeg rowu i dalej i dalej łąką i znowu skokiem przez nowe rowy.

Widoczność była prawie żadna, na polu cicho i pusto. Czy nasze czujki coś widziały, czy coś sły-szały, tego nie wiem, dość, że nasz dowódca (mówi się właściwie komendant kompanii) nakazał otwarcie ognia. Zagrały nasze lkm-y, a my też grzaliśmy w tę ciemną noc do zdawało się pustego pola. Nieraz sobie myślałem, że to było strasznie głupie. Bo, czyśmy ich chociaż zaskoczyli ogniem? Czy nie słyszeli naszych kroków i skoków? Czy nie lepiej było wpaść na nich zniemacka i ogniem z bliska zmieść tę - jak się potem okazało - małą garstkę wrogów?

Na nasz ogień odpowiedziały trzy małe grupki nieprzyjaciela, co było widać po ognikach strzałów, a my nic tylko strzelamy i strzelamy, zamiast iść ku przodowi.

Czy ten ruch miał wykonać kto inny, czy było to tylko przegapienie dogodnego momentu dla naszego ruchu? Czy miało to być pozorowane uderzenie? Nie wiem.

Dość, że nieprzyjacielowi przyszły po jakimś czasie posiłki, pewnie ze trzy plutony, bo już i grzeje mocniej i zaczyna być zaczepny.

Rusząmy wreszcie i my - hurraaa! Powitała nas znowu większa siła ognia, ale my przemy hurraaa! A tu od strony nieprzyjaciela ruch - to oni robią przeciwuderzenie i to klinami w naszą linię tyralierką - slychać ich gromkie: „urraaa, urraaa”!!!

Wtedy my stop i ogniem do nich, a nawet nieco się cofamy odgryzając się ogniem. I znowu my hurraaa i do przodu oni się cofają. I tak raz po raz. Oni na coś czekają i my widać też, ale kto doczeka się pierwszy?

KRESOWE NADWISŁOCZE

I w tym ogniu i skokach i cofkach i znowu ogniu i skokach czuję jakiś impas, tak, że powoli zaczyna chwila cichnąć ogień obustronny. Ale w tych chwilach ciszy słyszemy jakieś dziwne odgłosy na prawym skrzydle. Oni obsadzili i zdaje się umacniają linię drogi ze stacji Zadwórza do Persenkówki leżącej za rzeką tej samej nazwy, a my widać czekamy aż któraś z kompanii drugiego rzutu skoczy im do flanki, omijając pole naszej walki, a tu... nic...

A te odgłosy na prawym skrzydle to cichną to stają się głośniejsze, aż wreszcie wyraźnie zbliżają się w ciemnościach tak, że wyraźnie już rozpoznajemy turkot kół na drodze na przedpolu. Co to może być?

O! Już wiemy, bo już podjeżdżają może na 500 może na 600 kroków. Pojedyncze taczanki w odległości od siebie o kilkadziesiąt kroków stają i zaczynają do nas... grzać. To 11 ckm-ów. Jeden widać im się zaciął, czy załoga zginęła, czy odstawił go do ubezpieczenia odwodów, ale te 11 grzeje i grzeje... Doczekali się pomocy, ale oni...

Od tej chwili szala walki już jest przeważona, my już się tylko bronimy. W tym momencie podchodzi do mnie chorąży Kałwa i powiada: Kapral „Fiołkowski” idźcie na lewe skrzydło wycofać nasze maszyny, cofamy się.

Oczywiście idę zaraz, ale może mi się jeszcze uda pomóc Staszku Rudnickiemu usunąć zacięcie jego karabinu, łuska wystrzelonego naboju ugrzęzła w komorze naboju i nic nie pomaga.

No idźcie już, idźcie przynagla chorąży Kałwa, tam dotączycie do grupy porucznika Strojnowskiego i razem się wycofajcie.

Z ciężkim sercem rzucam Staszka, który był po mojej lewej ręce, sanitariuszkę Ewę Strojnowską... On z zaciętym karabinem, ona z małokalibrowym rewolwerzykiem. No trudno inni im pomogą.

Poszedłem chyłkiem w lewo, wzdłuż naszej linii. Ten strzela i ten strzela - to dobrze. Ale tam dalej jakoś cicho, czy nie ma nikogo? Ale nie jest leży. W prawej ręce karabin, a lewa jakoś niezdarnie odrzucona na głowę, a głowa zaryta w ziemi.

Tarמושę go - zabity czy ranny, ale on się rusza... Co wy ranny? Pytam. Nie - niejaka. A tylko co? Ty..ll..kkk..oo.. strzela..la..j q -jaka chłopczyzna.

No to strzelajcie i wy - wrzeszczę do niego, aby mu dodać otuchy. Ale muszą iść dalej.

A tymczasem tam skąd przyszedłem dzieje się coś niedobrego. Nieprzyjaciel wsparty ogniem swoich ckm-ów przechodzi widać do zdecydowanego przeciwuderzenia. Jakies „urraaa...” i wzmagająca się strzelanina i wydaje się, że właśnie w to miejsce wparł się klin nieprzyjacielski, gdzie ja stałem poprzednio.

To tam gdzie Staszek Rudnicki i siostra Strojnowska. Mój Boże! A oni tam bez możliwości odparcia, bo bez ognia.

Ale i koło mnie też gorąco, bo gdy doszedłem do porucznika Strojnowskiego to okazało się, że nasze c-kmy już się wycofują - obwieścił to nam ich łącznik, mój kolega gimnazjalny Staszek Zborowski. Pan-cerka też się cofa, co zameldował właśnie nasz łącznik do pancerni, też kolega gimnazjalny Augustyn (zdaje się Władek) - a na nas parę jedna falanga za drugą.

A nasz porucznik... zwariował chyba, bo nie tylko woła: „Chłopcy naprzód, chłopcy naprzód”. A my - „dzikie osły” walimy naprzód i hurra hurra...aa! wołamy, chociaż nas coraz mniej, bo była linia, a zostało koło Strojnowskiego wszystkiego sześciu chłopaków i to czterech z zaciętymi karabinami.

Już minął nas oddział nieprzyjaciela postępujący za kompanią cekaemów i pancerką już daleko w tyle jest klin, który uderzył w środek linii naszej kompanii, właśnie tam skąd mnie wysłano na lewe skrzydło, już wali na nas jakaś duża grupa i to idzie nie strzelając. Porucznik wziął ich za naszą ósmą kompanię. Z chwili zamieszania korzysta porucznik i wrzeszczy: „Polacy?”

Miałem dość! Nie patrząc, że ja kapral, a Strojnowski porucznik, komenderuje: „Ognia!” I walę sam, za mną porucznik ze swego sztucera za nim Augustyn, znowu porucznik, znowu Augustyn, tak, że z tego zrobiła się jakby seria karabinu maszynowego - takie trach trach trach...

W pewnym momencie poczułem, że z moim karabinem coś się stało, jakoś dziwnie szarpnęło mi łufę przy strzale i ta lufa zrobiła się jakaś lżejsza. Zaniepokojony patrzę, a tu nie ma bagnetu. Mój Boże tego bagnetu Staszka Rudnickiego. Ale on się nie wycofał pocieszam się. Popatrzyłem na tę grupę nacierającą na nas, a tam jakieś grube zamieszanie, jakiś popłoch...

Zaskoczyli ich ogniem? Chyba nie, ale coś się stało! A, już wiem to mój bagnet zerwany strzałem lecąc ku nim świstem i ten grad naszych kul ich zdetonował, że nadal nie strzelają, a my walimy już z trzech magazynków, koledzy zaś ze zdefektowanymi karabinami pomagają nam krzykiem hu-urraal!

Odkoczyli poza pole widzenia nocnego i strzelanina cichnie powoli, ale my jesteśmy jakby grupką złapanych w potrzask, a w dodatku zdezorientowanych. Bo przed nami nieprzyjaciel, za nami też, z prawej inna grupa nieprzyjaciela, z lewej znów inna. Gdzie teraz iść, aby się wyrwać z okrążenia? Aż tu słyszemy urywany gwizd, takie: tiu.. tiu... tiuuuu O! I znowu i znowu.

Już wiemy gdzie nasi, bo poznajemy sygnał naszego dowódcy kompanii. Idziemy. Już cicho, już nie pamiętam, czy jeszcze chociaż jeden strzał usłyszeliśmy. Wszystko czuwa, ale wszystko cicho.

Ale skąd oni wołają, toż tam zarośla nad tą rzeczką... No tak, tam jest najlepsza droga odwrotu do punktu wyjściowego. Idziemy - tęsknie wyglądając swoich i czujnie bacząc, czy tam nie czai się wróg. Idziemy ukosem do kierunku naszego uderzenia i przez to, zdaje się, omijamy szczęśliwie oddziały pościgowe nieprzyjaciela.

Ale nie całkiem omijamy, bo w pewnym momencie widzimy na tle jaśniejszego horyzontu jakieś wysokie, wysokie cienie, coś tak jakby kominy fabryczne... Skąd tutaj kominy? Gdzie tutaj jaka fabryka? Aż tu nagle od tych kominów” słyszemy niespokojne parsknięcia konia i przestawiwszy momentalnie akomodację oka z horyzontu na bliż - orientujemy się, że to nie kominy, a głowy kilku, czy kilkunastu jeźdźców o kilkadziesiąt kroków od nas

Na tle zawsze jaśniejszego nieba - my ich widzimy, a oni nas z wysokości nie odróżniają od równie jak i my szaro-czarno-zielonego tła ziemi. Ale - czuj duch!

No minęliśmy i tę pułapkę i już docieramy do swoich. Stoją, czekają na nas. Ilu ich jest, trudno zliczyć, niosą kilku innych.

Idziemy dalej, aż tu: „Stój, kto idzie - słyszemy. A to nasza siódma i ósma kompania oczekuje na nas z głupimi minami, bo my tam ponieśliśmy cały trud walki, a oni za naszymi plecami, ani palcem nie ruszyli. Nasz porucznik Barski nie wytrzymał, wpadł na dowódcę batalionu porucznika i klnie, a klnie.

Ale wszyscy przemęczeni, noc ciemna, trudno się doliczyć.

Wreszcie Barski pyta - kogo brakuje? Wymieniają jednego, potem tych rannych, potem jeszcze jednego, jeszcze, aż wreszcie ktoś powiada - Rudnicki...

Mnie znowu zatkało. O mój Staszku! Twój nieszczęsny bagnet uratował nas siedmiu, już właściwie otoczonych i skazanych na śmierć!

Wtem nowy krzyk. To Strojnowski, który daremnie rozglądał się za swoją żoną, teraz woła: „Gdzie jest moja żona? Sanitariusze, gdzie jest moja żona?” Porucznik poleciał po chahupach, gdzie kwaterowaliśmy, a my tymczasem już rozeszliśmy się, każdy gdzie mógł i jak mógł.

Pamiętam, że położyłem się na ławce szerokiej na jakieś 30 cm i do tego opartej jedną stroną o ścianę, bo ławka miała tylko dwie nogi, ale wolałem tam niż na ziemi, zawsze czyściej.

Zasypiamy, a tu z trzaskiem otwierają się drzwi, wpada Strojnowski: „Gdzie jest moja żona?” Ciska! Wszyscy obudziliśmy się, ale wszyscy milczą. Poleciał na drugą stronę sieni i znowu: „Gdzie jest moja żona? „

Znowu trzask w sąsiedniej chahupie i znowu już z dala: „Gdzie jest moja żona?” I tak kilka razy obleciał wszystkie chahupy i wreszcie już zmęczony, o świtaniu zaszył się gdzieś i uciął.

W czasie odwrotu z tej walki, gdy już pomagałem nieść rannych zamienił mi ktoś mój dobry karabin, podrzucając zdefektowany, chociaż strzelający, ale już w walce mniej zdalny. Ale to znów może mnie uratowało od specjalnego niebezpieczeństwa, bo ze zdefektowanym

karabinem nie zostałem wysłany na odpowiedzialny patrol w czasie naszego następnego natarcia na Zadwórze.

Tym razem było to uderzenie dzienne. Znowu atakował cały batalion. Tym razem nasza kompania była rezerwą. Inne kompanie szły naprzód, z dala słychać było odgłosy walki.

Nic to, że za chwilę mogą nas poderwać do bitwy, żołnierz żyje chwilą, tymczasem nawet żadna kulka nie zabłądziła do nas nawet z daleka. Walka trwa, my czekamy na swoją kolej.

Ale nie przypuszczaliśmy, w jakim ciężkim momencie wypadnie ta nasza kolej. Tymczasem na linii aż wrze, ale coś jakby niepomyślnie dla naszych. Już nas poderwali do pogotowia, już asystujemy dowódcy batalionu, zdaje się, że i dowódca pułku też tam był z całym sztabem, a my tym samym byliśmy świadkami wszelkich raportów z linii. I tak przybiega łącznik z prawego skrzydła i melduje, że idzie na nich ostre natarcie nieprzyjaciela, prosi o wsparcie. Za chwilę drugi łącznik z nagłą prośbą o wsparcie. Za chwilę trzeci łącznik też z prawego skrzydła z meldunkiem, że skrzydło się chwije, a zaraz za nim następny melduje, że prawe skrzydło się cofa.

Żle!

Nasz porucznik Barski proponuje pułkownikowi, że poprowadzi swoją kompanię do przeciwdzierzenia, jako wsparcie prawego skrzydła, ale pułkownik odrzuca propozycję.

Barski nalega - jestem pewny swoich ludzi, wspomozemy linię. Pułkownik znowu odrzuca. Czekamy, ale czekamy niedługo. Bo już i kulki zaczynają koło nas świstać, a za chwilę linia tak się do nas zbliży, że widzimy swoich i postępujących za nimi nieprzyjaciół. Żle!

No teraz nasza kolej - myślę sobie, ale wtem dzieje się rzecz dziwna: Batalion idący już w rozsypce zwiernie nagle szeregi i robiąc front w prawo - pierwszy szereg kłęcząc, a drugi stojąc grzeją salwa za salwą w prawo.

Już grają nasze erkaemy już i koledzy strzelają a ja nic nie widzę... No strzelają do cholery, woła któryś do mnie, a ja nie mogę jeszcze dojrzeć tego nieprzyjaciela...

O! Nareszcie widzę - wali na nasz batalion wataha konnicy, jest ich kilkudziesięciu. Liczyli, że zaskoczywszy naszych w stanie rozsypki zmiotą ich jak śmiecie. Ale i batalion grzeje w nich od frontu, a my od flanki i... nie wytrzymali.

Jak szybko wyskoczyli, tak też szybko zwiali zostawiwszy na polu kilkanaście zabitych koni, ale ani jednego rannego, bo wszystkich w lot podejmowali na konie odwożąc ze sobą.

Wszystko to trwało razem może trzy może pięć minut - to trudno ocenić, bo w rozgwarze walki nikt nie liczy czasu, ale od tej chwili to już cały ciężar walki spoczął na naszych ramionach i tam, gdzie nie mógł dać rady cały batalion, musieliśmy my zatrzymać na sobie cały napór nieprzyjaciela, który zresztą też przecie był zmęczony kilku godzinami walki.

Cały nasz sztab znikł, nawet nie wiedzieliśmy gdzie i kiedy nasz batalion - po tym odparciu uderzenia kawalerii przebiegł obok nas, a nieprzyjaciel wciąż ostrożnie, ale stanowczo napierał na nas.

Momentalnie zajęliśmy pozycje ogniowe zasadzając się plutonowymi tyralierami tworząc stopnie obrony. Strzela pierwszy pluton, gdy drugi i trzeci ledwo obsadzają dogodne pozycje. Już strzela i drugi pluton, a trzeci oczekuje swojej kolejki, już pierwszy pluton odskakuje ku tyłowi i nim jeszcze osiągnął swoje nowe pozycje już strzela i drugi i trzeci pluton, tak, że nieprzyjaciel stale jest pod zdyscyplinowanym ogniem dwóch plutonów, a kolejny pluton obsadza nowe i nowe pozycje... Czy nam przysła jaką pomoc? Bo długo tak „grać” nie damy rady. Ale nie przysłali, a my czepiając się nierówności terenu, chociażby już nieregularnie - chociażby zwiwnych zasłon krzaków odgryzamy się i odgryzamy stale cofając się po jednym plutonie. Ale ten ostatni skok, ten już niedaleko placówek, ten skok przez teren nieostoięty, gdzie trzeba było około 500 m przebyć jednym tchem, to już był wysiłek nie do powtórzenia.

Szczęściem, że nieprzyjaciel orientując się, że już ma przed sobą nie tylko naszą kompanię, ale i wypoczętą i gotową do walki linię placówek, nie nacierał już tak ostro i zdeorientowany też naszą walką

nie pchał się już dalej. Nas jednak zatrzymano na linii placówek na wypadek, gdyby nieprzyjaciel nie zrezygnował z dalszej akcji, co jednak się nie sprawdziło.

Mieli i oni dość, a my byliśmy bez tchu. Oparłem się o słup uszkodzonej bramy od wielkiego podwórza gospodarskiego, sapalem strasznie zmęczony biegiem i walką. Strat nie mieliśmy żadnych, ale to normalne. Przy zdyscyplinowanym ogniu własnym straty ponosi nacierający, a tylko wyjątkowo odpierający natarcie.

Maszerował cały pułk. W ubezpieczeniu szła druga kompania I-go baonu, za nimi reszta i nasz baon też.

Pamiętam te polne drogi, zagajniki, i las. W lesie droga skręca w lewo, ale w tym właśnie miejscu urządzono postój, koło leśniczówki jest studnia, ale woda taka paskudna.

Walka wisi na włosku, już kompania straży przedniej wymienia pojedyncze strzały i już słychać, że zaraz będziemy atakować miasteczko. Ale nie widać żadnej radości na widok swoich wkraczających do miasteczka. Szczęście nasze i ich, że nasz porucznik nie bawił się w jałową wymianę strzałów, a jednym skokiem oskrzydłującym zmusił ich do ucieczki. Inaczej liczba zabitych i rannych wzrosłaby niepomniernie, a tak obyło się na dwóch, czy trzech rannych.

Wieczorem dowiedzieliśmy się, że z tej studni na leśniczówce saperzy wydobyli zupełnie już rozkładającego się trupa. Reorganizacja, nowi koledzy, nowa broń, ale oficerowie nasi starzy. Tylko pułkownika nie zobaczyliśmy już więcej.

I znowu z porucznikiem Strojnowskim idziemy kiedyś na nocny patrol bojowy. Wyruszając na sprawdzenie szperacza trzymałem karabin na „gotuj broń”. Potem jednak odruchowo opuściłem rękę i tak szedłem aż zacząłem majaczyć i wlałem na zakładając się właśnie pozycję nieprzyjacielską. Zresztą, czy ja wlałem na nich, czy oni na mnie, czy ja stałem czy szedłem tego nie powiem, bo majaczyłem gorączkowo. Dobrze, że karabinu nie opuściłem, lecz trzymałem go w opuszczonej ręce, tak że z trudem, ale mogłem nim władać.

Ukraińcy najczęściej używali w walce niemieckich zawołań: „wrr da”, „waffen ab”, „hande hoch”, itd.

Było ciemno, ale i tak gdybym był szybko przyrzucił broń do ramienia niechybnie wróg by to dostrzegł, „jak amen” dostałbym kulkę. Dlatego, to już po „waffen ab” zacząłem pomalutku podciągać karabin do góry chwytając go lewą ręką od spodu. Powolnego ruchu prawie nie widać w ciemności, ale coś jednak zmiarkował, bo już zniecierpliwiony woła: „hande hoch”, strzelac widać nie chciał, aby nie alarmować naszych. Mnie przeciwnie zależało aby wystrzelić, więc ryzykowałem i to, że on strzeli pierwszy, ale alarm musiał być za wszelką cenę. Przecież, oni już zapewne i mojego szperacza sprzątnęli po cichutku, ale ze mną nie śmie się to powtórzyć..

- Stać, stać wołam, zdaje porucznikowi sprawę, a tu widzę, że cały nasz patrol zachowuje się „wybitnie bojowo” - boi się jak cholera! Ja miałem pokazywać drogę. Gdy pokazałem swoje do żywego mięsa otarte nogi to zaczął na mnie krzyżeć. Ale wtedy we mnie krew zawrzała, zacząłem i ja krzyżeć: „...Panie poruczniku proszę mnie pod sąd polowy postać ale proszę mnie nie obrażać. Pan porucznik wie, gdzie ja tej nocy byłem; czy pan wie, że ja nieprzytomny potykałem się o nieprzyjaciela ...?” Odesłał mnie do pułkowej izby chorych. A potem do szpitala epidemicznego we Lwowie z rozpoznaniem: „tyfus powrotny”.

Bez szumu, bez śpiewów wracałem z baonu zapasowego, gdzie mnie skierowano po wyzdrowieniu. Polska była już „Wielką Rzeczą” Polska była wywalczona naszym trudem, a więc teraz do pracy.

Z zapalem rzuciłem się w wir starań o przyjęcie na politechnikę. Nie przyszło mi to trudno, bo „starym” wojakom wszędzie był wstęp otwarty, nawet nas studentów - kombatanów wspomagano materialnie. Pamiętam, że kilka razy dostawaliśmy przydziały żywnościowe, wprawdzie odpłatnie, ale były to wtedy produkty trudne do dostania: mięso, kasza itp. My dostawaliśmy w najlepszym gatunku i tanio.

opracował:

Witold Kwiatkowski - Junior

Ze wspomnień repatrianta – Memories of a repatriate

II. W okresie burzy i naporu. Lata młodości – the Period of Storm and Stress. Early Life (1960 – 1971)

Liceum Ogólnokształcące w Grodkowie

High School in Grodkow

Do Grodkowa nie było daleko, bo zaledwie dziesięć kilometrów.¹ Trasę na linii: Brzeg – Nysa obsługiwał PKS, jeżdżąc z obowiązującą wówczas zasadą: Czy się śpi, czy leży, tysiąc pięćset się należy – oczywiście z upływem lat ta kwota wzrastała przy tym samym stosunku do pracy. Dlatego w porze zimowej nie zawsze docierałem do szkoły², autobus najzwyczajniej wypadał z ruchu w komunikacji wskutek nawet prozaicznych awarii bądź niedyspozycji kierowcy. Wymarzszy się na otwartym przystanku w polu, zrezygnowany wracałem do domu, by zagrać się pod ciepłą kołdrą. Gdy zelało na dworze, pojawiałem się w klasie; wtedy uzupełniałem w zeszytach brakujące lekcje. Buty miałem na zapas, okute, aby starczyły na kilka lat. W nich trzeba było pokonywać błoto, zasy pyłowe i zagrać w piłkę.

W pierwszej klasie – dla celów adaptacyjnych – przez okres zimowy mieszkalem w internacie, który mieścił się w tym samym budynku, co szkoła. Tam zetknąłem się z tzw. falą. To zjawisko polegało na tym, że należało odnosić się z należytym szacunkiem do starszych kolegów, bez spoufaleń i arogancji, częstować ich w porę papierosami, dzielić się ochoczo wiktualiami. Po spełnieniu wymogów uświęconej zwyczajem etykiety dostępowano się zaszczytu przebywania w towarzystwie „weteranów”. Łamiący powyższe zasady byli narażeni na wykluczenie z uczniowskiego Areopagu, jak też na wymierzenie w nocy „kocowy” przez nieznaną sprawcę. Instytucja fali funkcjonowała sprawnie. Nikt głośno nie protestował, pocieszał się tylko tym, że w stosownym czasie powetuje sobie wszystkie poniesione straty materialne i zaleczy rany odniesione w sferze ambicji.

Pierwsza klasa liceum liczyła blisko pięćdziesiąt osób, druga i pozostałe oscylowały wokół trzydziestki. Na tę liczbę przypadają raptem – jak mnie pamięć nie myli – sześciu chłopców. Wtedy uczniowie przeważnie uczęszczali do zawodówek bądź do techników. Licea stanowiły domenę uczennic. Postawa koleżanek doprowadzała nas, przedstawicieli płci męskiej, do szału z powodu ich obojętności na nasze zaloty, ponieważ wołały one zdobywać serca starszych kolegów z pobliskiego Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Czarną polewkę zaprzestano podawać „adonison” dopiero w klasie maturalnej. Wszyscy odkrywaliśmy się jakby od nowa. Wówczas dziewczyny z jedenastej La (i nie tylko) zaczęły imponować nam swoją urodą. Często uczyliśmy się razem, przygotowując się wspólnie do matury. Nikt z nas nie liczył godzin, które dzielił na różne facycje i autentyczne studium. Wcześniej, w dziesiątej klasie, miałem załamanie formy. Nie cierpiałem szkoły, a do jej struktury czułem niebywałą awersję. Beztrosko więc chodziłem na wagar, zaś w ciepłych miesiącach roku w terenie uczyłem się języków obcych, zwłaszcza francuskiego. Pewnego razu nauczyciel od przysposobienia obronnego przyprowadził mnie jako wagarowicza na lekcję języka polskiego. Polonistka wszakże nie dała „denuncjatorowi” satysfakcji, powiedziała do mnie spokojnie: „Proszę siadać.” Ogromnie skonfundowałem się, twarz miałem pokrytą purpurą i do tego stopnia byłem zawstydzony, że uległem przedziwnej metamorfozie – przestałem opuszczać lekcje.

W szkole spotkałem wspaniałych nauczycieli. Wymienię chociażby kilku: polonistkę, która co prawda nie grzeszyła urodą, ale humanizmem i patriotyzmem; fizyczkę, ze względu na wyeksponowaną talię nazywaną Ciocią, która ukazywała nam piękno miłości ludzkiej i harmonię w kosmosie; matematyka, który z łatwością tłumaczył zawilgości w funkcjach i okazywał wyrozumiałość dla młodzieńczych słabości. Z perspektywy lat dostrzegam w nich wielkość i umiłow-

¹ Wszystkie przypisy w niniejszym artykule pochodzą od autora.

² Do Liceum Ogólnokształcącego w Grodkowie uczęszczałem w latach 1960 - 1964.

There was not far to Grodkow, only ten kilometers¹. Route for the line: Brzeg - Nysa was operated by a bus, riding with the applicable principle: Whether they sleeping, or lying, fifteen hundred (PLN) is to be - of course, over the years, this amount increased with the same attitude to work. Therefore, in the winter season I did not always reach the school², the bus simply disappeared in communication traffic due to an even mundane accident, or incapacitation of the driver. Getting very cold at the bus stop in the open field, resigned, I came home to warm up under a warm blanket. When the freezing weather outside got weaker, appearing in the class, I complemented the missing lessons in my notebooks. I had very hard shoes, shod in order to use them for several years. In the shoes it was necessary to overcome the mud, snow drifts and play ball. In the first class - for the purpose of adaptation - a period of winter I lived in a dormitory that was housed in the same building as the school. There I met with so-called 'wave'. This phenomenon consisted of the fact that we should relate with due respect to seniors without arrogance, regale them with cigarettes in a timely way, to share willingly our own food. After meeting the requirements of the custom labels we had honor to stay in the company of 'veterans'. Breaking these rules were exposed to exclusion from the students' Areopagus, as well as the imposition of the night spanking by unknown perpetrators. The institution of the wave functioned smoothly. Nobody did not protest loudly. The only consolation was that in due time we regain the material losses and recover from wounds referenced in the sphere of ambition.

The first high school class had nearly fifty people, the second and other oscillated around thirty. At this number, there were only - as I remember - six boys. Then boys mostly attended to technical schools. Grammar schools were mainly attended by girls. The attitude of the girls drove us, the representatives of the male, mad because of their indifference to our courtship, because they preferred to win the heart seniors from the nearby Technical College of Agricultural Mechanization. The girls' attitude toward us changed only in the high school class. We discovered each other in a new way. Then the girls with the Eleventh La (and others) began to impress us with their beauty. We often studied together, preparing for our final exams. None of us did not count hours that we shared telling various jokes or stories and authentic study. Earlier, in the tenth grade, I had a break of my form. I hated school and its structures, I felt incredible aversion. So I went happily on truantries, and in the warm months of the year in the field I studied foreign languages, especially French. Once, a teacher from the Adoption of the Defense brought me to the Polish language lesson. The Polish teacher, however, did not give the 'traitor' any satisfaction, she said to me quietly: 'Please sit down.' I was enormously confused, my face covered with purple and I was so much ashamed that I suffered strange metamorphosis-I stopped to leave lessons.

At school I met wonderful teachers. I mention a few: a Polish teacher, who admittedly was not very beautiful, but really humanistic and patriotic, a Physics teacher, because of her exposed waist called Aunt, who showed us the beauty of human love and harmony in the cosmos, the mathematician who easily explained the intricacies of the functions and showed tolerance for youthful weaknesses.

¹ All footnotes in this article come from the author.

² To High School in Grodkow attended from 1960 to 1964.

nie nauczycielskiego zawodu. Przeważały przed nimi czoła i za wszystko dziękuję. Za ich to przyczyną ukształtowaliśmy w sobie ducha niekolaborowania z komuną. Szkolną gazetkę „Nasza Szkoła” redagowaliśmy więc w konwencji chrześcijańskiej, bez poprawności politycznej. Z tego powodu odczuwaliśmy dumę, że płyniemy pod prąd. W tym czasie Bogusław Wyrostkiewicz³ był naszym guru filozoficzno – religijnym. Pamiętam, jak na uroczystą studniówkę - na pewno z inspiracji kolegi - zaprosiliśmy księdza katechetę, jemu bowiem zawdzięczaliśmy wiele. W dowód uznania i akceptacji jego poglądów w stu procentach uczęszczaliśmy na religię. To i owo spowodowało, iż powstała wokół osoby księdza wielka „zadyma,” podsycana umiejętnie przez miejscowych aparatczyków, my stanęliśmy jednak w obronie duchownego. Już wtedy byliśmy świadomi, iż powoli dorastamy do samodzielnego myślenia, dalekiego od szablonów prasowych. Nie żalaliśmy niczego, chociaż liczyliśmy się z negatywnymi konsekwencjami ze strony wszędobylskich siepaczy. Po maturze, gdy rozstawaliśmy się ze sobą, połączyły się łąki zarówno abiturientom, jak nauczycielom. Wiedzieliśmy doskonale, że nasze drogi w wielu momentach rozchodzą się na zawsze, że coś się kończyło i coś się zaczynało.

Rodzinne drogi

Nasza rodzina, dotychczas tworząca monolit, uległa dość szybko procesowi emancypacji. Bracia zaczęli zakładać własne rodziny.⁴ Franciszek⁵, brat, który przeszedł sowieckie łagry i krasnoarmijską musztrę wojskową, postanowił ożenić się. Jako że znany był z humoru, flirtu i towarzyskiego stylu bycia, nie miał problemu ze znalezieniem połowicy. 28 grudnia 1958 roku zawarł małżeństwo z panną Janiną Szot⁶ w kościele parafialnym w Raclawicach Śląskich. Wesele było skromne, wszakże nie brakowało na nim jadła i picia. Z czasem na świat przyszły trzy córki⁷; w chwili obecnej są one małżonkami i mają własne dzieci, także własne problemy. Franciszek od pierwszych dni małżeństwa musiał stawić czoło nie uregulowanym sprawom własnościowym związanych z gospodarstwem, zaniedbanym i chylącym się ku ruinie. Dzięki determinacji rozwiązał wszystkie kwestie, bo odznaczał się werwą i zaradnością. Wszyscy uważali go za człowieka rodzinnego, spieszącego z pomocą i mądrą radą ludziom będącym w potrzebie. W swoim środowisku, zarówno wśród wschodniaków, jak i hanysów cieszył się niekwestionowanym autorytetem i poważaniem, przede wszystkim z racji wzorowego gospodarzenia, dobroci, życzliwości, kultury osobistej. Ale choroba (stwardnienie rozsiane), stwierdzona jeszcze w ZSRR, dała o sobie znać niebawem. Zanim uśmierciła, przez 18 lat obezwładniała, aż wreszcie położyła go całkowicie do łóżka. Po długim cierpieniu zmarł dobry gospodarz, mąż, ojciec, sąsiad. Pogrzeb był manifestacją ludzi z okolicznych miejscowości, z tych bliskich i nawet bardzo dalekich, zarazem ostatnią ludzką przysługą.

Z kolei Kazimierz⁸ postanowił nie zwlekać z małżeństwem jak jego brat Rafał, któremu często wypominał niezaradność w sprawach matrymonialnych. Nie pomogły perswazyje rodzeństwa, mające na celu odprowadzić zapalczywego kawalera od pochopnej decyzji, ale kwestia ożenku została postawiona na ostrzu noża. Wszyscy oponenci wycofali się, nie chcąc być przeszkodą do szczęścia. Ledwo zamknął

³ Prawdopodobnie zginął w niewyjaśnionych okolicznościach jako dziennikarz.

⁴ Temat, poświęcony losom moich braci, został poruszony jednorożowo, *usque ad finem*, stąd nie mieści się w cezurze czasowej (1960 – 1971).

⁵ Urodził się 12 XII 1933 roku w Jazłowcu, zmarł 29 V 1987 roku w Raclawicach Śl., gdzie został pochowany na parafialnym cmentarzu.

⁶ Urodziła się 11 VI 1939 roku w Wiszenkach, pow. Łuck

⁷ Imiona ich dzieci: Jolanta (ur. 23 IX 1959), Bogusława (ur. 28 III 1962) i Danuta (ur. 28 II 1965). Wszystkie przyszły na świat w Raclawicach Śl.

⁸ Urodził się 2 IV 1939 roku w Jazłowcu, zmarł 21 IV 2005 r. w Młodoszowicach, gdzie został pochowany na lokalnym cmentarzu.

From the perspective of years I see in them the greatness and love of the teaching profession. So I bow my head in front of them and thank them for everything. Following them we shaped the spirit of not collaboration with the Communism. So a school newspaper, ‘Our School’ we edited in the convention of the Christianity, no political correctness. For this reason, we felt proud that we swim against the tide. At that time, Bogusław Wyrostkiewicz³ was our philosophical- religious guru. I remember as for our solemn prom - definitely inspired by a colleague - we invited a priest catechist, since we merely thanks a lot. In recognition and acceptance of his views we in one hundred percent attended the Religion Education. This and that led to form around the person of the priest a big ‘interest of the authorities’ skillfully fueled by local apparatchiks, but we stood in defense of the priest. Even then we knew that we slowly grow into independent thinking, far removed from the press templates. We did not regret anything, although we expected the negative consequences from the ubiquitous authorities. After graduation, when we were saying goodbye to each other, tears were present both on pupils and teachers faces. We knew perfectly well that our paths diverge at many points on forever, that something ended and something started.

Family Ways

Our family, not forming a monolith, had a fairly fast process of emancipation. The brothers started up their own families⁴. Franciszek⁵, the brother who went Soviet camps and military drill, decided to get marry. Since that he was known of humor, flirting, and social lifestyle, he had no problem finding a spouse. On 28 January, 1958 entered into marriage with Miss Janina Szot⁶ in the parish church in Raclawice Slaskie. Wedding was modest, however, is not lacking in the food and drink. With time on the world came three daughters⁷, at the moment they are married and have their own children, including their own problems. Franciszek in the first days of marriage had to face not regulated ownership affairs of the farm, neglected and going toward the ruin. Thanks to his determination all of the issues were solved, as he was marked by vigor and resourcefulness. Everyone considered him as a family man willing with assistance and wise advice to people in need. In his environment, both among the people from the west and from Silesia he enjoyed undisputed authority and sincerely, primarily because of exemplary running the farm, goodness, kindness and personal culture. But the disease (multiple sclerosis), found even in the Soviet Union gave itself to feel soon. Before it killed him, for 18 years slowly paralyzed him, and finally put it completely to bed. After long suffering, a good farmer, husband, father, neighbor died. The funeral was a manifestation of people from surrounding towns, with those near and even very distant, at the same time last human favor.

In turn, Kazimierz⁸ decided not to delay the marriage like his brother Rafal, who according to Kazimierz was helplessness in matters of marriage. Persuasion of the siblings did not help to discourage a knight from the rash decision, and the issue of marriage was placed on a knife edge. All opponents withdrew, not wanting to be an obstacle to happiness. Barely Kazimierz shut the door

³ He probably died in unexplained circumstances as a journalist.

⁴ Subject devoted to fate of my brothers, was moved once, *usque ad finem*, hence does not fall within the period of time (1960 - 1971).

⁵ He was born on 12 December, 1933 in Jazlowiec, died May 29, 1987 in Raclawice Slaskie, where he was buried in the parish cemetery.

⁶ She was born on 11 Jun 1939 in Wiszenki, district Lutsk

⁷ Names of children: Jolanta (born on 23 September 1959), Boguslaw (born on 28 March, 1962) and Danuta (born on 28 February, 1965). All were born in Raclawice Slaskie.

⁸ He was born on 2 April 1939 in Jazlowiec, died on 21 April 2005 in Młodoszowice, where he was buried in the local cemetery.

KRESOWE NADWISŁOCZE

za sobą bramę w koszarach wojskowych w Tarnowskich Górach, oblubienica Halina Przedwojewska⁹ sposobila się już do wesela, nie bacząc na niesprzyjające okoliczności. Uczucie wzięło górę, Romeo uwierzył w autentyczną miłość Julii, Julia w miłość Romea. Tylko rodzice musieli dystansować się od euforii i młodzieńczej fantazji. W Boże Narodzenie 1962 roku oboje stanęli na wymarzonej ślubnym kobiercu w kościele farnym w Szklarach. Był wtedy siarczysty mróz, gdyby nie trunki, zamarzlaby niechybnie większość weselników. Po uczcie uniesienie trwało krótko. Młoda żona męczyła się z teściami na gospodarstwie w Młodoszowicach zaledwie jedną dobę. Opuściła dom i męża udając się pospiesznie do Gluchołaz, gdzie mieszkała kątem przez dziesięć lat. Za sprawą gorących modlitw matki nieodpowiedzialni małżonkowie w końcu zeszli się, zaczęli gospodarzyć razem i budować swoją przyszłość na racjonalnych przesłankach. Córki,¹⁰ zrodzone z ich powtórnego małżeństwa, wyszły za mąż, od rodziców otrzymując pokaźne wiano. Niestety, bratowa szybko została wdową. Brat zmarł w wieku 66 lat. Za każdym razem, kiedy spotykamy się z Haliną, stwierdzamy, że brakuje nam jego w towarzystwie rodzinnym; podobnie twierdzą znajomi.

W 1965 roku Rafał¹¹ przeprowadził się na dobre na Poznańszczyznę. W okolicach Środy Wielkopolskiej objął gospodarstwo w wujostwie. W tym samym roku ożenił się¹² z panną Heleną Golbą¹³ pochodzącą z sąsiedniej wsi. Przyszła małżonka była z rekomendacji wuja Stefana, który obserwował dziewczynę, jak dorastała i czyniła postępy w niewieścich cnotach. Szalę małżeńską przeważały jej liczne walory, jak: pracowitość, postura, młodość, uroda oraz pochodzenie chłopskie. Owe cechy predysponowały ją na bycie żoną rosnącego mężczyzny, czasem szorstkiego w obyciu i zahartowanego na roli. Ich wzajemna miłość zaowocowała czwórką dzieci.¹⁴ Oboje z wielką energią zabrali się do przebudowy gospodarstwa. Jego rozkwit przypadł na gierkowską dekadę, wielce korzystną dla rozwoju polskiego rolnictwa. W wyniku inwestycji zabudowania drewniane przeszły w niepamięć, wyrosły jak grzyby po deszczu budynki murowane, solidnie wykonane, w tym nowy dom mieszkalny i szereg obiektów inwentarskich. Jednakże pomyślność wsi w dotychczasowym kształcie legła w gruzach. Wiele gospodarstw popadło w stagnację, a młodzież przestała już dawno garnąć się do pracy na roli, woli życie miejskie, choć nie wdraża się przed przyjęciem wsparcia finansowego od nie lubianego teścia czy teściowej i nie gardzi wiejską wałową. Kult sukcesu popchał ją w objęcia nomadycznej egzystencji i wycucia z nieruchomości ojcowizny. Te negatywne trendy dotknęły również rodzinę brata. Posypało się zdrowie, przybyło niemało problemów – jedynie czas pozostał lekarzem.

Drogi rodzinne rozeszły się, gdyż takie jest prawo natury. Na ojcowiznie w Młodoszowicach w tamtym czasie, gdy byłem po maturze, pozostał wspomniany Kazimierz, sam, bez żony. Troszczył się o zachowanie warsztatu pracy – gospodararki oraz chorych rodziców. Wiedział teraz, że pochopnie żeniąc się, popełnił błąd, którego usiłował naprawić wszelkimi sposobami. W końcu udało się. Uratował małżeństwo, rodzinę, honor, zaś ojca i matki w niemocy nie opuścił.

Poszukiwania własnej tożsamości

Ze świadectwem maturalnym wróciłem z radością do domu, pokonując pieszo dziesięciokilometrową drogę z Grodkowa do Młodoszowic. Czuję się lekko, niczym skrzydlaty ptak. Wkrótce musiałem wrócić do szarej codzienności, jak po zwycięskiej rewo-

⁹ Urodziła się 5 III 1944 roku w Kluwicach, pow Kopiczyńce.

¹⁰ Imiona ich dzieci: Anna (ur. 4 VI 1974) i Elżbieta (ur. 15 VIII 1977). Oboje przyszły na świat w Gluchołazach.

¹¹ Urodził się 9 I 1936 roku w Jazłowcu.

¹² Ślub odbył się 18 lipca 1965 roku w kościele filialnym w Dominowie.

¹³ Urodziła się 15 V 1947 roku w Brzykowie k. Trzebnicy.

¹⁴ Imiona ich dzieci: Krystyna (ur. 10 V 1967), Anna (ur. 23 III 1969), Andrzej (ur. 9 X 1972) i Małgorzata (ur. 9 VI 1975). Wszystkie dzieci przyszły na świat w Michałowie.

in military barracks in Tarnowskie Gory, Halina Przedwojewska⁹ started to preparing herself as a bride to the wedding, in spite of adverse circumstances. Feeling prevailed, 'Romeo' believed in a genuine love of 'Juliet'. Only the parents had to distance themselves from the euphoria and youthful imagination. At Christmas 1962 they both stood on the rug in the perfect wedding in the parish church in Szklary. It was very frosty then, if not for drinks, most of the guests would have frozen. After the feast the feelings lasted only a short live. Young wife lived with in-laws in Młodoszowice just one day. She left her husband's home and went in haste to Gluchołazy, where she lived for over ten years. Through the prayers of our mother hot irresponsible spouses finally came down to run the farm together and began to build their future on reasonable grounds. Daughters¹⁰, born of their re-marriage, married, received from parents a substantial dowry. Unfortunately, my sister-in-law soon was a widow. My brother died at age 66. Every time I have met with Halina, we found that we lack Kazimierz in the company of his family, friends have said the same.

In 1965 Rafał¹¹ moved next to Poznan for good. In the region of Środa Wielkopolska he took over a farm after our uncle. In the same year he married to¹² Miss Helena Golba¹³ coming from a neighboring village. The future wife was the recommendation of our uncle Stephan, who watched the girl as she grew up and made progress in female virtues. Scales of marriage outweighed her many advantages, such as: hard work, posture, youth, beauty and peasant origin. These features made her to be married to a tall man, sometimes rough and hardened in the refinement of the soil. Their mutual love has resulted in four children¹⁴. Both with great energy took to rebuild the farm.

The flowering of the farm coincided with the Gierek's decade, very favorable for the development of Polish agriculture. As a result of the investment wooden buildings passed into oblivion, brick buildings grown like mushrooms after the rain, well made, including the new residential house and a number of livestock facilities. However, the success of the village in its present form lied in ruins. Many farms fell into stagnation, and young people ceased to cuddle up to work on the ground, preferring urban life, but not shrinking from taking financial support from the not liked father-in-law or mother and did not despise the rural food. The cult of success heded the vilige in the arms of nomadic existence and out of the fixed patrimony. These negative trends also affected the family of my brother. His health got worse, attracted quite a few problems - only the time remained a doctor. The ways of the family spread, since such a law of nature. At our father's farm in Młodoszowice at the time, when I was in high school, said Kazimierz remained, alone, without his wife. He took care to maintain the workshop for a job - the economy, and sick parents. He knew now that marrying rashly, he made a mistake, which he tried to fix by any means. In the end he succeeded. He saved marriage, family, honor, and he did not leave father and mother in impotence.

Seeking My Own Identity

With a certificate of matriculation I returned with joy to the house, going ten-kilometre-foot path from Grodków to Młodoszowice. I felt light like a winged bird. Soon I had to go back

⁹ She was born on 5 March 1944 in Kluwice, district Kopiczyńce.

¹⁰ The names of their children: Anna (born 4 June 1974) and Elizabeth (born 15 August 1977). Both were born in Gluchołazy.

¹¹ He was born on 9 January, 1936 in Jazłowice.

¹² The wedding took place on July 18, 1965, in the church in Dominowo.

¹³ She was born on 15 May, 1947 in Brzykowie near Trzebnica.

¹⁴ The names of their children: Christina (born 10 May, 1967), Anna (born 23 March, 1969), Andrew (born 9 October, 1972) and Margaret (born 9 June, 1975). All children were born in Michałowo.

lucji żołnierze, którzy jeszcze nie wytrzeźwili i nie wyleczyli się z kaca. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić? Gdzie zamieszkać? Czy u Kazika z rodzicami, czy u Rafała? - każde rozwiązanie miało plusy i minusy. Jakie podjąć studia? W głowie kotłowało się od pytań. Znalazłem się na rozdrożu, przede wszystkim duchowym. Zburzyłem swój wewnętrzny świat, chrześcijański system wartości, ale ich miejsce nie potrafiłem wypełnić jakąś sensowną treścią. Moje wnętrze świeciło pustką. Nastąpiła noc duszy, pociągnęła ona za sobą nieopisaną impotencję myśli i czynu. Kręciłem się w koło, choć wyglądałem prawdopodobnie na normalnego młodego człowieka. Przy takiej kondycji nie mogłem w sposób skuteczny ubiegać się o przyjęcie na jakąkolwiek wyższą uczelnię. W tym względzie wszelkie poczynania były nie przygotowane, może infantylne. Z kolei pobyt w dwuletnim studium administracji w Szczecinie okazał się epizodem, do którego nie chcę wracać. Tam, z dala od domu, w portowym mieście, zobaczyłem na własne oczy rozwiązłość wśród młodzieży. Zetknąłem się z sutenerami, bandytami, alkoholikami, złodziejami, równocześnie z porządnyimi dziewczynami i chłopcami. Ale w tym bagnie każdemu z nas groziła topiel. Mój świat wyniesiony z wiejskiej rodziny i małego miasteczka w żaden sposób nie przystawał do zastanej rzeczywistości. Sumienie podpowiadało: „Uciekaj stąd, bo zginiesz.” Po kilku miesiącach wróciłem do Rafała, skąd w maju wyjechałem do Jeleniej Góry, gdzie ubrano mnie w wojskowe kamasze.¹⁵

Za poradą Kazimierza stawiłem się do jednostki „Pod Jeleniami” dwa tygodnie później, przez co nie doświadczyłem błazenady kaprali. Spokojnie włożyłem lotniczy mundur i włączyłem się do codziennych zajęć. W szkole podoficerskiej o profilu radiolokacyjnym było względnie dobrze. W tygodniu odbywały się zajęcia, a w weekendy alarmy połączone z marszobiegami na dystansie 30 – 35 kilometrów, wzbogacanych dodatkowymi atrakcjami, między innymi śpiewem piosenki o żołnierskiej miłości do nieco filiternej Marysi. Sielanka kończyła się na placówkach w terenie. Tam zadomowiła się wojskowa fala, tym razem w wulgarnym wydaniu: „rezerwiści”, mający 1,5 roku służby, ujarzmiali „kotów”, służących w wojsku dopiero 0,5 roku. Repertuar „resocjalizacji” młodego rekruta zaiste był przebogaty. Po dwóch latach pobytu w koszarach kończyło się jednak wszystko, co wiązało się z mądrością wojskową. Nosząc uniform stopniowo odzyskiwałem równowagę duchową. Rodziłem się do nowego życia, wszakże znajdowałem się ciągle *in statu fieri*, albo inaczej *in der Suchung nach dem Sinn*.

Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej i po wcześniejszych głębokich przemyśleniach wstąpiłem do seminarium duchownego we Wrocławiu.¹⁶ Jeden mundur zamieniłem na drugi. Poszukiwałem. Pragnąłem sprawdzić się w roli księdza. Próba trwała aż cztery lata. Wiele zawdzięczam tej instytucji kościelnej, i formację intelektualną, i ukształtowanie etyczne. Poznałem wiele z filozofii, teologii i dyscypliny Kościoła. Na mojej drodze seminaryjnej spotkałem prominentnych ludzi, którzy ubogacili bez wątpienia moją osobowość. Większość z nich odeszła do Pana, a ja im nie zdążyłem powiedzieć: Dziękuję! W końcu udzieliłem odpowiedzi Bogu: *Adsum*, tylko że w małżeństwie. Powyższa decyzja kosztowała dużo namysłu, rozważy i odwagi. W 1971 roku znalazłem się poza murami szlachetnej uczelni. Ściągnąłem do rodzinnego domu. Los sprawił, że musiałem osiąść na roli, ponieważ brat Kazimierz wówczas powrócił do żony mieszkającej w Głuchołazach. Ojciec już nie żył, z kolei matka, nie mogąc liczyć na nikogo, została przy mnie na swoich „śmieciach.” Nie ziściły się więc moje plany zamieszkania we Wrocławiu i studiowania budownictwa, *Providentia Divina* zaproponowała bowiem inne rozwiązanie. Nie wiedziałem jednak, że wędrownka do Ziemi Obiecanej będzie prowadził przez mnogie i dokuczliwe przeszkody i będzie rozłożona w czasie.

Święta Katarzyna, 28 grudnia 2009

to the gray of everyday life, as a victorious soldiers of the revolution who did not yet recovered and cured with a hangover. I did not know what to do? Where to live? Maybe with Kazimierz with parents or with Rafal? - Every solution has pros and cons. What to study? My head was crossed with questions. I found myself at a crossroads, especially spiritually. I overthrew my inner world, the Christian system of values, but in their place I could not fill any meaningful content. My inside was shining emptiness. Then came the night of the soul, it pulled behind indescribable impotence of thought and action. I turned round in a circle, although I looked like a normal young man. At a such condition I could not effectively apply for admission to any university. In that regard, the actions of all were not prepared, i maybe infantile. In turn, my stay in a two-year study of the administration in Szczecin was an episode, which I do not want to come back to. There, away from home, in the port city, I saw with my own eyes promiscuity among young people. I met with bandits, alcoholics, thieves, and the decent girls and boys as well, at the same time. But in the swamp each of us was threatened of abyss. My world raised from the rural family and small town in no way suited to that reality. My conscience was telling me: 'Get out of here, or you die.' After several months I went back to Rafal, where in May, I went to Jelenia Gora, where I was dressed in the military elastic-sides.¹⁵

Following Kazimierz advice I arrived to a military unit 'At the Deer' two weeks later, so I did not experience foolishness of corporals. I quietly put on my air uniform and turned on to everyday activities. At school of non-commissioned officers of the radar profile was relatively good. During the week classes were held, and on weekends alarms combined with the distance marches of 30 - 35 kilometers, with additional attractions among other things, singing songs about the soldier who loves a bit resolute Mary. The idyll ended at the offices on the ground. There appeared to be settled 'military wave', this time in the vulgar edition: 'reservists' with 1.5 years of service tamed 'cats' serving in the army only 0.5 years. The repertoire of the 'rehabilitation' of the young recruits was rich indeed. After two years of stay in the barracks, however, everything associated with military wisdom ended. Wearing uniforms I gradually gained my spiritual balance. I gave the birth to a new life, yet I was still in *in statu fieri*, or otherwise in *der Suchung nach dem Sinn*.

After completing my compulsory military service and deep thoughts from the past I went to seminary in Wrocław.¹⁶ I swapped one uniform for another. I was looking for. I wanted to look at the role of the priest. The trial lasted up to four years. I owe much to this Church institution, and the intellectual and ethical formation. I met a lot of philosophy, theology and church discipline. On my way I met a prominent seminary men who undoubtedly made my personality reach. Most of them went to the Lord, and I had no time to tell them: Thank you! Finally, I answered to God: *Adsum*, only in marriage. This decision has cost a lot of thought, prudence and courage. In 1971, I found myself outside the walls of a noble institution. I downloaded to the family home. The fate had it that I had to settle on the land, because my brother Kazimierz returned to his wife to Głuchołazy then. Our father was already dead, while our mother, unable to count on anyone, was with me on her 'trash'. So my plans to live in Wrocław and study construction did not come true, because *Providentia Divina* proposed another solution. I did not know however, that the journey to the Promised Land would be lead by the multiple and vexatious obstacles and would be phased in over time.

Święta Katarzyna, 28 December, 2009

¹⁵ Zasadnicza służba wojskowa zamknęła się w cezurze czasowej 1965 - 1967.

¹⁶ Pobyt w Wyższym Seminarium Duchownym we Wrocławiu przypadł na lata 1967 - 1971

¹⁵ The basic military service was closed in term from 1965 to 1967.

¹⁶ The basic military service was closed in term from 1965 to 1967.

Marta Gdula-Żukowicz

Miejsca niezapomniane

We wspomnieniach mamy
Zbaraż, Chocim, czy Beresteczko
miały smak smażonych kurczaków
przygotowywanych na drogę
przez troskliwą matkę

Brzmiały beztroskim śmiechem
rozbrykanej dziatwy
kłębiącej się wokół przewodnika
i popijającej nieuważnie
cichcem pochłaniane kanapki
haustami łykanej przy okazji historii

Dla mnie są one przede wszystkim
na zawsze utracanym rajem
jej kresowej ojczyzny
na dźwięk której
oczy odzyskiwały blask
twarz rozjaśniał uśmiech
a wywoływane wspomnienia
cisnęły się kaskadami na usta

Moi synowie dzięki lekcjom
historii i lekturze „Trylogii”
zapamiętali je jako miejsca
sławy polskiego oręża
kiedy byliśmy chrześcijańskim
przedmurzem chroniącym Europę
przed najazdami ze wschodu

A czym będą one w dobie
wirtualnych przestrzeni
dla moich wnuków?

Dziadek

Dostałam dzisiaj mailem
zdjęcie dziadka
którego nigdy nie poznałam

Patrzy na mnie z ekranu
młody człowiek
w austriackim mundurze
z trzema medalami na piersi
pełen wiary w siebie
i swoje szczęście
nie przeczuwający nawet
jak potoczy się jego dalszy los

On jeszcze nie wie
że już niedługo

trafi do włoskiej niewoli
skąd przez Francję
wraz z Błękitną Armią
wróci do kraju walczyć
o polskość Kresów

Że tu - po ostatecznym
zwycięstwie - urodzą się
i wychowają jego dzieci
a on służąc nadal
odrodzonej Ojczyźnie
będzie sprawował pieczę
- aż do przejścia w stan
spoczynku - nad rozsiazanymi
na rubieżach fortyfikacjami

A gdy przyjdzie wrzesień
stawi się znów na rozkaz
Najjaśniejszej by formować
dobrając i wyposażając
złoczowskie jednostki
działające na coraz bardziej
zdezorganizowanym froncie

Nie wie też o tym
że późniejszy rozkaz
każe mu pomaszerować
z pozostałymi na południe
skąd wzięty do sowieckiej niewoli
zbiegnie – czym uratuje sobie
i najbliższym życie

Że po wielu dniach tułaczki
- mijając po drodze
wyróżnione w pień i spalone
przez reżunów polskie wsie -
dotrze w końcu do domu
aby potem - aż do przyjścia Niemców
- ukrywać się u rodziny we Lwowie

Po czym wróci do swoich
szczęśliwie przeżyje
resztę okupacyjnej nocy
pod koniec której
- uciekając przed wczorajszymi
pobratymcami - dotrze
do rodzinnego Leżajska
by tu w Wielki Piątek 1945 roku
zginąć od kuli pijanego milicjanta
świętującego hucznie mord
na ciężarnej kobiecie
żonie legendarnego „Ojca Jana”

13 sierpnia br. w Tuszowie Narodowym odbyły się powiatowe obchody kilku ważnych rocznic narodowych, takich jak: 90-lecie Bitwy Warszawskiej, Święto Wojska Polskiego oraz rocznic lokalnych: 20-lecia Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego im. Gen. Władysława Sikorskiego i 20-lecie Izby Pamięci gen. Wł. Sikorskiego w Tuszowie Narodowym. Organizatorami uroczystości byli: Wojskowy Komendant Uzupelnień w Mielcu, Starosta Powiatu Mieleckiego, wójt Gminy Tuszów Narodowy, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne im. Gen. Wł. Sikorskiego i parafia Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Tuszowie Narodowym. Wśród gości honorowych tuszowskich obchodów byli, m.in. posłowie na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej - **Krystyna Skowrońska**, **Krzysztof Popiołek**, **Wiesław Rygiel** oraz senator RP **Władysław Ortyl**, mjr **Marcin Mitan** przedstawiciel Ministerstwa Obrony Narodowej, ppłk **Marek Barć** – dowódca 21 batalionu dowodzenia 21 Brygady Strzelców Podhalańskich im gen. Mieczysława Boruty Spiechowicza, kpt **Radosław Bartochowski** - przedstawiciel Jednostki Wojskowej 4909, mjr **Andrzej Górecki** - szef 149 przedstawicielstwa wojskowego w Mielcu, **Mirosław Furdyna** – komendant powiatowy Policji w Mielcu, **Roman Kołacz** – komendant powiatowy Państwowej Straży Pożarnej w Mielcu, sędzia **Ryszard Rybak** – pełniący obowiązki Prezesa Sądu Rejonowego w Mielcu, **Marian Burczyk** - szef Prokuratury Rejonowej w Mielcu, Ks. dr **Jacke Nowak** - Rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie, dr hab. **Kazimierz Zieliński** - dziekan Wydziału Ekonomii i Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, dr hab. **Józef Sowa** z Uniwersytetu Rzeszowskiego, **Dominik Komada** - Konserwator Zabytków z Tarnobrzegu, **Marek Paprocki** – przewodniczący Rady Powiatu Mieleckiego, **Józef Świerczek** – przewodniczący Rady Gminy Tuszów Narodowy oraz licznie zgromadzeni przedstawiciele duchowieństwa z ks. biskupem sandomierskim dr **Krzysztofem Nitkiewiczem** na czele.

W uroczystościach brali też udział przedstawiciele samorządów różnych szczebli gminy Tuszów Narodowych, gmin sąsiednich i powiatu mieleckiego, dyrektorzy instytucji różnych szczebli, żołnierze wojska polskiego oraz członkowie stowarzyszeń kombatanckich i społecznych, w tym: Związku Inwalidów Wojennych, Związku Kombatanatów RP i Byłych Więźniów Politycznych, Światowego Związku Żołnierzy AK, Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Związku

ŚWIĘTO HISTORII W TUSZOWIE NARODOWYM

Sybiraków, Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej i Związku Żołnierzy Górników represjonowanych w latach 1949-1959. Przybyły też poczty sztandarowe oraz asysta honorowa 21 Brygady Strzelców Podhalańskich im gen. Mieczysława Boruty Spiechowicza i orkiestra Garnizonu Rzeszów. Natomiast rolę gospodarzy pełnili: Andrzej Chrabąszcz – Starosta Powiatu Mieleckiego, Andrzej Kałuża – wójt Gminy Tuszów Narodowy, ppłk mgr inż. Mirosław Ciesielski – komendant Wojskowej Komendy Uzupełnień w Mielcu, Renata Paterak – kierownik Gminnej Biblioteki Publicznej w Tuszowie Narodowym oraz dr Jerzy Rzepka – prezes Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego im. Gen. Władysława Sikorskiego w Tuszowie Narodowym.

Na program uroczystości złożyły się: msza Święta w kościele parafialnym pw. MBWW w Tuszowie Narodowym pod przewodnictwem J. E. Ks. Biskupa dr Krzysztofa Nitkiewicza w asyście ośmiu kapłanów, przemarsz uczestników uroczystości pod pomnik gen. Władysława Sikorskiego, wystąpienia okolicznościowe w tym m.in. Andrzeja Chrabąszcza, Mirosława Ciesielskiego i Jerzego Rzepki, wręczenie odznaczeń i aktów mianowań dla kombatanów i żołnierzy WP, wręczenie znaczków pamiątkowych, odczytanie apelu poległych z salwą honorową, koncert orkiestry wojskowej oraz spotkanie zaproszonych gości w Gimnazjum im. Jana Pawła II w Tuszowie Narodowym.

Należy podkreślić, że Tuszów Narodowy już od czasów okupacji niemieckiej, oraz zaraz po wojnie upamiętniał i czcił postać gen. Władysława Sikorskiego, urodzonego tutaj - premiera Rządu Polskiego na obczyźnie. W Tuszowie Narodowym istnieje też jedyne poza Mielcem muzeum - Izba Pamięci gen. Wł. Sikorskiego, która obecnie się rozbudowuje i będzie stanowić swoiste centrum historyczno-patriotyczne na Ziemi Mieleckiej.

Inf. i for. W. Gąsiewski

Wystąpienie Andrzeja Chrabąszcza - Starosty Mieleckiego podczas uroczystości w Tuszowie Narodowym

Świętowane dziś powiatowe obchody Dnia Wojska Polskiego, połączone z wielkimi rocznicami nabierają szczególnego wymiaru. Podjęliśmy się organizacji tych połączonych obchodów z zamiarem kultywowania pierwiastków patriotyzmu i polskości, przypomnienia mieszkańcom powiatu naszej bohaterskiej historii i zwycięstw na polach bitew. Chcemy bowiem wnieść nasz wkład w wielkie dzieło nauki postaw patriotycznych.

Nie bez powodu uroczystości rocznicowe odbywają się akurat w Tuszowie Narodowym, który znany jest w całej Polsce jako miejsce urodzenia Generała Władysława Sikorskiego. Imię Generała staje się swego rodzaju klamrą spinającą obchodzone dziś rocznice.

Uczestnicząc w mszy świętej w intencji Ojczyzny i wszystkich, którzy polegli w jej obronie, a później stając przed pomnikiem Generała przed domem jego urodzenia, będziemy oddawać hołd i przekazywać wyrazy szacunku wszystkim znanym z imienia i bezimiennym bohaterom, którzy nieustraszenie służyli Polsce. Nieraz ponosząc za miłość do Polski ofiarę najwyższą, ofiarę własnego życia, złożoną na ołtarzu Ojczyzny.

Było wśród nich wielu mieszkańców powiatu mieleckiego, spośród których dużą grupę stanowili ochotnicy z tuszowskiej gminy. Wspomnijmy m.in. nazwiska płk Jana Świątkowskiego, majora Jana Malca, por. Seweryna Bieńka, Józefa i Franciszka Dębiaków, Franciszka Kasprzaka, Jakuba Flisa, Józefa Pateraka czy Jana Węcowskiego. Dzisiaj mamy obowiązek pamiętać o tych ludziach, o ich czynach i miejscu w historii. Z niej mamy czerpać wiedzę, wyciągać wnioski, o jej zachowanie mamy się troszczyć.

Chcę jeszcze zwrócić uwagę na inny, ważny aspekt dzisiejszych uroczystości, na ich wymiar patriotyczno - religijny. Bowiem nie da się rozdzielić pielęgnowania dziedzictwa historycznego od chrześcijańskich korzeni Polaków. Godnym będzie w tym miejscu



Andrzeja Chrabąszcza podczas przemówienia wspomnienie naszego Wielkiego Rodaka, Ojca Świętego Jana Pawła II, który podczas wizyty na Skarpie w Sandomierzu, w czerwcu 1999 roku, wspominał Tuszów Narodowy jako miejsce urodzenia wielkiego rodaka Ziemi Mieleckiej, generała Władysława Sikorskiego.

Szanowni Zebrani.

Tutaj, na Ziemi Tuszowskiej żyje historia. Jej przekazywaniu i dbaniu o to, aby pierwiastki patriotyczne były wciąż żywe, w sposób szczególny służy Izba Pamięci Generała Sikorskiego, zaś w przyszłych zamierzeniach Centrum Pamięci imienia generała Sikorskiego. Jako starosta powiatu dziękuję serdecznie ludziom działającym w tych strukturach i gremiach za wysiłki podejmowane dla czczenia pamięci Generała i nauki patriotyzmu.

Również ja sam, jako mieszkaniec gminy Tuszów Narodowy, mam satysfakcję, że właśnie tutaj mogę uczestniczyć w organizowanych obchodach rocznic ważnych wydarzeń historycznych.

Kończąc, zwracam się z prośbą do Ekscelencji Księdza Biskupa, aby zechciał być głównym celebrazem uroczystej mszy świętej odprawianej w intencji Ojczyzny i tych, którzy walczyli i ginęli za nią.

Dziękuję za uwagę.



Honorowi goście uroczystości w Tuszowie Narodowym (fot. W. Gąsiewski)

Poligon Wehrmachtu „Południe” 1940-1944

Recenzja publikacji IPN w Rzeszowie autorstwa Tomasza Sudoła

Dotychczasowa wiedza o poligonie Wehrmachtu Truppenübungsplatz Süd Dęba – Mielec opierała się głównie na bardzo skromnych opracowaniach z lat PRL-u i dotyczyła głównie eksterminacji ludności cywilnej na tym terenie. Opracowania te oczywiście zawierały wiele naleciałości ideologicznych. Istnienie w tym czasie państwa NRD, zaprzyjaźnionego z Polską, powodowało podział na „dobrych” i „złych” Niemców. Historycy polscy posługiwali się pojęciem „hitlerowcy-naziści” co sprawiało wrażenie, że rozpętanie II wojny światowej i jej dalsze konsekwencje spowodowała tylko grupa „złych” Niemców zapominając o tym, że Hitler posiadał mandat społeczny i ogólne przyzwolenie społeczne na takie działania.

Niestety w Niemczech nadal w podręcznikach szkolnych używane jest pojęcie „hitlerowcy-naziści”, co ma zupełnie inny wymiar historyczny w ocenie narodu niemieckiego w tamtych czasach. Polsko-niemiecka komisja podręcznikowa już kilka lat pracuje i nadal nie uzgodniono podstawowych terminów historycznych, nie mówiąc już o powstaniu całego wspólnego podręcznika do historii polsko-niemieckiej. Ostatnie inicjatywy niemieckie w sprawie tzw. „wypędzeń” z pewnością nie ułatwiają tej pracy. Na nic zdają się w ostatnich latach pozytywne gesty polskich i niemieckich polityków.

W latach 90-tych zaczęły się pojawiać opracowania, które już precyzyjnie określają sprawców i ofiary II wojny światowej. Do tych opracowań należy książka Tomasza Sudoła pt. *Poligon Wehrmachtu*

„*Południe*” 1940-1944, wydana przez Instytut Pamięci Narodowej. Wydawnictwa IPN Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu dotyczące II wojny światowej zawsze gwarantują rzetelne i obiektywne opracowania. Książkę Tomasza Sudoła także do tej grupy można zaliczyć.

Absolwent historii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego Tomasz Sudół wykonał pracę, która stanowi podstawę do dalszych badań w odkrywaniu historii naszego regionu. Autorowi należą się przede wszystkim uznania za kwerendy, które wykonał przed napisaniem pracy. Imponująca jest ilość przejranych akt z archiwum Instytutu Pamięci Narodowej oraz Archiwum Akt Nowych.

Autor odwiedził także wiele oddziałów Archiwum Państwowego oraz zasobów archiwalnych w miejscowych kościołach, szkołach i urzędach. Na uwagę zasługuje wykorzystanie materiałów z Bundesarchiv-Militärarchiv we Freiburgu. Całość została uzupełniona dziesiątkami wywiadów, które autor przeprowadził z osobami posiadającymi wiedzę na temat poligonu. Trzon informacji stanowią jednak tzw. Mikrofilmy Aleksandryjskie z Archiwum Akt Nowych (nazwa od miejsca ich przechowywania po wojnie - miejscowość Alexandria koło Waszyngtonu) czyli zbiór mikrofilmów różnych władz, jednostek wojskowych niemieckich z okresu II wojny światowej, z aktami Gestapo, Abwehry, aktami Oberkommando der Wehrmacht, różnych jednostek centralnych np. poszczególnych dystryktów Generalnego Gubernatorstwa.

Trzeba dobrze warsztatowo posługiwać się językiem niemieckim aby wykorzystać te materiały. To właśnie rozdział I pt. Organizacja poligonu... jest głównie pokłosiem tej kwerendy. Autor z dużą precyzją opisuje kulisy powstania poligonu analizując wiele dokumentów niemieckich takich jak rozkazy, pisma, protokoły, itp. Na podstawie własnych doświadczeń mogę stwierdzić, iż opracowywanie takich informacji jest niezwykle trudne. Każde zdanie przed napisaniem musi być analizowane z uwzględnieniem innych źródeł wypowiadających się na ten temat w celu eliminowania informacji sprzecznych i niepewnych.

Znajdujemy tutaj wiele zupełnie nowych informacji na temat organizacji poligonu, jej kierownictwa, a także na temat budowy dwóch obozów wojskowych na poligonie czyli Lager Dęba i Lager Mielec. Opisując infrastrukturę poligonu podaje w sposób fachowy informacje na temat łączności, materiałów pędnych, magazynów amunicyjnych. Na stronie 42 autor podaje informacje o lądowisku w pobliżu Lager Mielec, wskazując na lotnisko w Chorzelowie przy zakładach lotniczych /Flugzeugwerk Mielec/.

W tym wypadku autor jednak się myli. Obiekt w Chorzelowie miał status lotniska. Na mapie dyslokacji lotnisk Luftwaffe w GG /Zob. A. Krempa *Flugzeugwerk Mielec w świetle raportów Armii Krajowej*, [w:] *Zakłady Lotnicze w Mielcu 1939-1989*, Biblioteka Muzeum Regionalnego w Mielcu, Mielec 2008/, lotnisko zakładowe figurowało jako lotnisko w Chorzelowie i sklasyfikowane było zna-



Orkiestra na Lager Dęba (ze zbiorów A. Krempa)

kiem, Δ co oznaczało lotnisko urządzone. Podlegało dowództwu dywizji lotnictwa w Rzeszowie, rzeszowskie natomiast podlegało dowództwu Luftgauenkommando II Poznań. Na powyższej mapie w rejonie Mielca figuruje jeszcze jedno lotnisko w miejscowości Smoczka zaznaczone znakiem □ oznaczającym lotnisko nieurządzone /ładowisko/ i chyba o to ładowisko autorowi chodziło. Autorowi recenzji nie udało się ustalić tego miejsca w terenie.

Bardzo ciekawe informacje dotyczą specyfiki niemieckich ćwiczeń na poligonie. Autorowi udało się opisać i wyjaśnić rolę tzw. Schessbahn-ów czyli pasów w terenie do ćwiczeń taktycznych, które zajmowały wiele hektarów lasów i miejscowości. Obiekty te historykom były znane na mapach niemieckich, ale brakowało wyjaśnienia ich znaczenia. Autor dosyć szczegółowo opisuje firmy i instytucje, jakie rezydowały na tym terenie, w tym podaje odkrywcze informacje na temat kwestii badań doświadczalnych, ruchu wojsk na poligonie oraz gospodarki leśnej na tym terenie.

Ten ostatni przyczynek na temat lasów w nadleśnictwach naszego regionu powinien zainteresować leśników, tym bardziej, że autor podaje sygnatury materiałów, które można wykorzystać do bardziej szczegółowych opracowań. Interesująca jest tutaj postać leśniczego z Chorzelowa Baumbergera (vel Baubergera). Autor podaje, że był Niemcem i początkowo był leśniczym w Chorzelowie (s. 106) a w dalszej części, że był jednym z nadzorców robotników w obozie w Biesiadce (s. 192) i był wtajemniczony w akcje ataku AK na ten obóz w dniu 4 maja 1944 roku (s. 230 - tutaj już występuje jako Polak). Wydaje mi się, że są to dwie różne postacie. Według materiałów dotyczących obozu pracy przy Flugzeugwerk Mielec (np. relacja Lichtig Berty, ŻIH, sygn. 301/1188) Baumberger, był Polakiem, ale że miał nazwisko typowo niemieckie został zmuszony podpisać volklistę i został po 9 marca 1942 roku zarządcą folwarku w Berdechowie gdzie pracowali Żydzi z obozu przy zakładach lotniczych i był tam do końca wojny a nawet widziano go w Wieliczce gdzie został ewakuowany mielecki obóz. Po początkowej pomocy w wydobywaniu mieleckich Żydów z obozu w Pustkowie ostatecznie zapisał się jako negatywna postać. Prawdopodobnie Baumberger z Biesiadki był zupełnie inną osobą. Ten wątek na pewno wymaga dalszych badań.

Autor opracowania nieco mniej uwagi przykładał do planów tych obozów

zawężając się do ich słownych opisów. Z przypisów wynika jednak, że autor dotarł do tychże planów, ale nie zdecydował się na ich publikację, co w moim przekonaniu, mogłoby uatrakcyjnić publikację. Potencjalnymi zainteresowanymi książką byłiby wtedy z pewnością eksploratorzy, dla których ten teren od wielu lat stanowi doskonale miejsce poszukiwań.

Z satysfakcją trzeba odnotować, że autor skorzystał z opracowań, które w kwartalniku „Nadwisłocze” już kilka lat temu prezentowaliśmy na temat funkcjonowania i planu Lager Mielec /Nadwisłocze nr 4/2005/. Natomiast szkoda, że nie skorzystał z naszego artykułu na temat planów opanowania Lager-Mielec przez miejscowe AK w ramach tzw. planu „P”, czyli powstania powszechnego /zob. Nadwisłocze nr 4/2007/, co wzbogaciło by rozdział dotyczący konspiracji na terenie poligonu. Uważam, że pierwszy, a zarazem najdłuższy rozdział, jest najlepszą częścią opracowania.

Przedstawiając historię powstawania poligonu autor nic nie wspomina o przebywaniu wojsk niemieckich na tym terenie w początkach 1940 roku obalając tym samym mit o ćwiczeniach wojsk niemieckich przed atakiem na Francję na poligonie w czasie, gdy poligon był dopiero budowany. Kolejny obalony mit to przebywanie gen. Paulusa w Dębie, przed atakiem na ZSRR w ramach planu „Barbarossa”. Nie ma także słowa o 120 tonowym dziale Thor, rzekomo testowanym w okolicach Majdanu, które to tak skutecznie brało udział w zdobywaniu twierdzy Sewastopol.

Autor opisuje też obozy pracy jakie funkcjonowały na terenie poligonu. Dużo uwagi poświęcił autor obozom w Biesiadce, Hucie Komorowskiej i Dębie. Jest to w zasadzie to czego można oczekiwać mając na uwadze dostępność materiałów zgromadzonych przez byłą Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Oczywiście gdyby były plany tych obozów to podniosłoby wartość opracowania. W przypadku Biesiadki uzupełniłbym informacją o rolę Landkomisarza z Kolbuszowej Waltera Twardonia, Ślązaka, który niezwykle brutalnie obchodził się z robotnikami żydowskimi. Według świadków wielokrotnie przyjeżdżał do obozu w Biesiadce i osobiście rozstrzeliwał Żydów.

Natomiast nie mogę zgodzić się z autorem na temat obozów pracy firmy Bäumer und Lösch. Według autora istniały równoległe dwa obozy tej firmy w miejscowości Cyranka i Hyki-Dębiaki. Także w dotychczasowej literaturze na temat obozu Bäumer & Lösch występuje wiele



Landkomisarz Walter Twardoń /ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej o/Rzeszów/

nieprecyzyjnych lokalizacji tego obozu. Wg T. Kowalskiego (*Obozy hitlerowskie w Polsce południowo-wschodniej*, Książka i Wiedza, Warszawa 1973), istniały dwa obozy tej firmy:

w Dębiakach (Hyki-Dębiaki) i w Cyrance. Według Irene Eber (*The Choice. Poland. 1939-1945*”. Schocken Books, New York 2004) był to obóz w Cyrance. Według innych, np. Lichtig Berty (ŻIH, sygn. 301/1027) był to obóz w Smoczce. We wszystkich tych opracowaniach jest pełna zgodność co do zarządzającego tym obozem czyli firmy Bäumer & Lösch.

Te różne lokalizacje wynikają z braku precyzyjnego określenia miejsca obozu przez przesłuchiwaną świadków. Niektórzy świadkowie mówili o obozie w Dębiakach, bo była to najbliższa miejscowość na poligonie a inni mówili o Cyrance bo ten rejon określany przez miejscową ludność jako „Czekaj” należał do gromady Cyranka (Czekaj nie był oznakowany jako miejscowość). Te różne określenia miejsca obozu były przyczyną rejestracji kilku miejsc tego obozu. Analizując relacje w Żydowskim Instytucie Historycznym i protokoły przesłuchań świadków zgromadzone w IPN i konfrontacja tych danych z zachowanymi mapami można stwierdzić, że na poligonie Dęba-Mielec był tylko jeden obóz tej firmy. Miejsce, trudne do oznaczenia, znajdowało się w lesie w połowie drogi pomiędzy miejscowością Dębiaki a ówczesnym Mielcem,

HISTORIA I LUDZIE

przez miejscową ludność nazywaną Czekajem. Tak go lokalizują przesłuchiwani świadkowie pochodzący z tych terenów po wojnie. Za tą interpretacją przemawiają także relacje żydowskich więźniów tego obozu, którzy opisując obóz firmy Bäumer & Lesch podają te same fakty, mimo że określają ten obóz jako w Cyrance lub Dębiakach. Istniejący plan tego obozu, który został nakreślony z udziałem Zimmermana potwierdza tę lokalizację obozu. W aktach procesowych, Zimmermann, oskarżony i skazany między innymi za zabójstwa w obozie Bäumer & Lesch, także mówi tylko o jednym obozie tej firmy. W aktach dotyczących procesu szefa mieleckiego gestapo Thormayera znajdujących się w Budesharchiw w Ludwigsburgu występuje tylko jeden obóz tej firmy bez podania jego lokalizacji. Znaczącą pragmatyczność Niemców trudno sobie wyobrazić, aby w odległości 2-3 kilometrów były dwa takie dosyć rozbudowane obozy, a tak by musiało być gdybyśmy przyjęli, że był obóz na Czekaju i w Dębiakach.

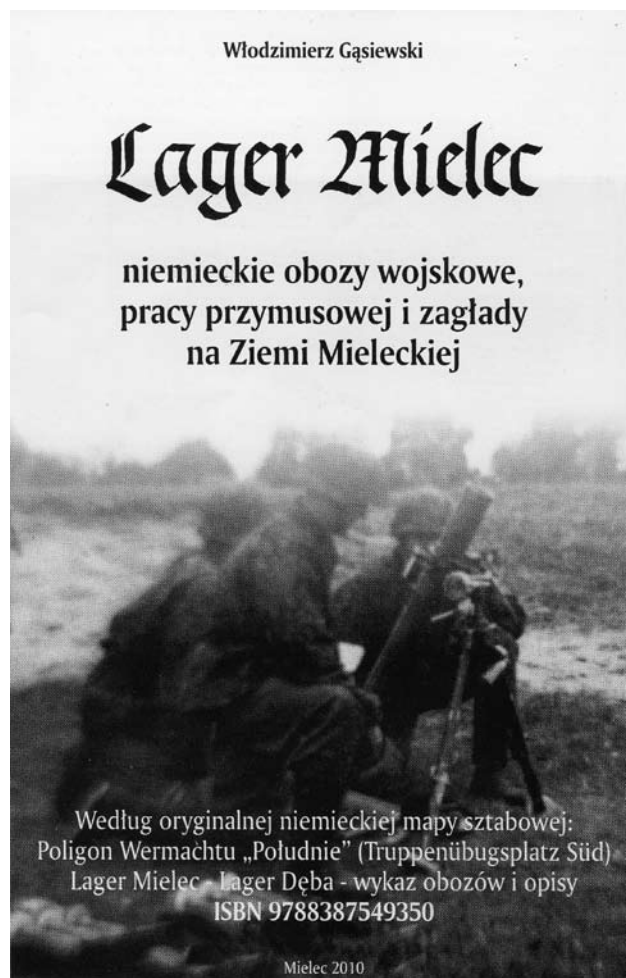
Podobna sytuacja jest w przypadku obozu junaków Baudienst Mielec. Autor podaje, że w Mielcu istniały dwa tego typu obozy: jeden w Smoczcze, a drugi o nieznanym położeniu. Jedyne opracowanie na temat obozu Służby Budowlanej w Mielcu znajduje się w Leksykonie Ziemi Mieleckiej autorstwa Włodzimierza Gąsiewskiego. Na stronie 64 zamieszczono plan i opis obozu zlokalizowanego w tamtym czasie w Wojsławiu /dzisiaj ul. Wojsławska/. Obóz ten /Baudienstabteilung Mielec/ ma oznaczenie jako 3/104. Także legitymacja jednego z pracowników będącego junakiem w okresie od 9 II 1943 do 9 II 1944 potwierdza ten numer.¹ Natomiast na zdjęciu z 1941 r. zamieszczonym w opracowaniu wcześniej cytowanym /Zakłady Lotnicze w Mielcu 1939-1989, Biblioteka Muzeum Regionalnego w Mielcu/ widoczny jest numer 7/150. Prawdopodobnie są to numery po i przed zmianą numeracji, o której autor wspomina. Niestety numer 3/104 autor podaje dla obozu junackiego w Dębie (po zmianie numeracji) co rodzi sprzeczność. Nie mogę się także zgodzić z tezą, że istniał jakiś drugi obóz Baudienstu w Smoczcze. Autor podaje nawet jego przybliżoną lokalizację przy drodze Mielec-Kolbuszowa.

Z badań, które przeprowadzałem wynika, że we wskazanym miejscu było kilka baraków, między innymi barak dla robotników dojeżdżających do pracy na Lager Mielec z dalszych stron, którzy nocowali w dni robocze a w święta wyjeżdżali do domu. Być może, że przez świadków ta grupa robotników została potraktowana jako obóz junaków. Z moich badań wynika, że z mieleckiego Baudienstu większa część robotników wyjeżdżała do pracy w zakładach lotniczych, a część do pracy w Lager Mielec (są na ten temat relacje w IPN). Bardziej szczegółowe dane na temat ilości junaków pracujących w Flugzeugwerk Mielec podawałem we wspomnianym wcześniej opracowaniu na temat funkcjonowania zakładów lotniczych w czasie okupacji.

Nieścisłości, które zasygnalizowałem wcale nie obniżają wartości opracowania, a jedynie inspirują do dalszych badań. Wiele tematów, które autor poruszył w książce będzie z pewnością załącznikiem do innych opracowań i artykułów i są kolejnym etapem w odkrywaniu historii naszego regionu. Zainteresowanie tą tematyką w ostatnich latach wzrasta co było widać na promocji książki, która odbyła się w dniu 11 lutego br. w wypełnionej po brzegi Sali Kameralnej Samorządowego Ośrodka Kultury w Nowej Dębie.

Andrzej Krempa

¹ W Mielcu mogły istnieć też dwa podobozы głównego Baudienstu w Dębicy, który miał nr 104. Przep. W. Gąsiewski, por. M. Wróblewski, *Służba Budowlana (Baudienst) w generalnym Gubernatorstwie 1940-1945*. PWN, Warszawa 1984.



MAPA LAGER MIELEC

Jeśli chcesz wiosną, latem, jesienią, a może nawet i zimą wędrować po podmieleckich lasach, będących częścią prastarej Puszczy Sandomierskiej i jeśli chcesz, poza jej walorami naturalnymi odkrywać także jej dzieje, zwłaszcza te najnowsze, koniecznie musisz zaopatrzyć się w wojenną, niemiecką mapę sztabową, którą właśnie oferuje Agencja Wydawnicza „Promocja” w Mielcu.

Jednak mapa ta, to nie tylko kartograficzno-militarne odwzorowanie tego terenu, została ona wzbogacona w krótkie opisy oraz wykaz obozów, jakie urządzili tu Niemcy, później Sowieci, a potem jeszcze żołnierze LWP. Lasy te, mimo że tak bardzo spenetrowane zawierają jeszcze niejedną tajemnicę. Musiały mieć one szczególne znaczenie, jeśli odwiedził je m.in. feldmarszałek Erwin Rommel, szef SS – Heinrich Himler, a potem marszałek LWP Konstanty Rokossowski. Być może z naszą mapą je odkryjesz...

Można ją nabyć w niektórych księgarniach mieleckich, w naszej Redakcji, Mielec, ul. Mickiewicza 7 oraz w sklepie internetowym i na aukcjach z naszej strony:

www.promocja.mielec.pl

Zapraszamy

W. Gąsiewski

W OBRONIE „RUSALA”

Dlaczego mieleckie społeczeństwo nie potrafi bronić honoru własnych zasłużonych ludzi?

Takie pytanie postawiłem, aby zastanowić się nad pewnymi wydarzeniami minionego okresu. Pytania i wątpliwości mnożą się. Coraz więcej ich przybywa. Zastanawiam się jakim jesteśmy w Mielcu społeczeństwem? Dlaczego jesteśmy właśnie takim społeczeństwem, oraz jakie są tego przyczyny i skutki.

Trudno mi zrozumieć dlaczego tak się dzieje, że Mieleckie Społeczeństwo nie potrafi wziąć w obronę własnych zasłużonych ludzi. Wydarzenia minionego okresu wskazują, że ta niemoc dotyczy nie tylko przeciętnego obywatela, ale w szczególności władzy terenowej poszczególnych szczebli, organizacji kombatanckich i środowiskowych, mediów publicznych i wielu innych organizacji. Sprawa jest o tyle ważna, że niemocą zarażane są młodsze pokolenia, które nie doznały okrucieństw minionej wojny. Dzieci obecnych pokoleń nie zaznają strachu, z powodu odebrania ich siłą rodzicom i wysłania do obcego kraju na poniewierkę. Nie boją się, że stanie się to jutro, za tydzień, czy kiedykolwiek i że mogą zginąć. Dlatego powojennym pokoleniom trudniej jest zrozumieć, gdzie zaczyna się wielkość ludzi nie pozwalających się zniewolić i walczących ze zniewoleniem. O ile można wybaczyć przeciętnemu obywatelowi, to nie można wymienionym powyżej organizacjom i władzy terenowej, że nie tylko nie rozumieją, ale również nie stają w obronę zasłużonych ludzi. Dlaczego tak się dzieje? Oto pytanie, które od dłuższego czasu sobie zadaję.

Posłużę się przykładem śp. Płk Aleksandra Rusina, który walczył zbrojnie z totalitaryzmem hitlerowskim i stalinowskim, unikał zagłady, a trwało to przez 17 lat. Późniejszy okres PRL-u, to uznanie go bandytą i skazanie na marginesie społeczeństwa. Nie będę opisywał jego bohaterskich czynów w okresie totalitarnej tyranii, gdyż są one powszechnie znane i nie kwestionowane. Płk Aleksander Rusin dożył sędziwego wieku i Polski wyzwolonej z totalitaryzmu. Spadły na niego zaszczyty, odznaczenia. Awansowano go do stopnia pułkownika. Brał udział w uroczystościach państwowych. Był potrzebny społeczeństwu, jako przykład walki o naszą wolność. Ten prosty wyrosły z ludu człowiek był nam potrzebny, bo rozsławiał swymi czynami Mielecką Ziemię na której żył. Można go stawiać za wzór. Czyż tego nie widać, że on swym życiem zasłużył na wdzięczność?

Smutne jest to co poniżej napiszę, ale Mieleckie Społeczeństwo nie okazało wdzięczności bohaterowi Tej Ziemi. Kiedy kilka osób wyrosłych na PRL-ku chlebie podniosło protest za honorowanie jego zasług, nie potrafiono go obronić. Nie znaleziono argumentów, aby przeciwstawić je protestującym, chociaż działo się to w Urzędzie Gminy w Przecławiu, zaraz po nominacji Aleksandra Rusina do stopnia pułkownika. Ujawniłem w prasie lokalnej przyczyny protestu i ludzi czujących do niego wrogość. Byli to ludzie, których działalność w okresie PRL-u obnażał Aleksander Rusin. Kiedy stanąłem w obronę płk Rusina zaczęto mi grozić. Zaapelowałem do organizacji kombatanckich i innych czynników, o zajęcie stanowiska, ale nikt się nie odezwał. Na pismo do Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Mielcu, aby zajęto w prasie stanowisko, otrzymałem tylko skierowany do mnie list i nic więcej, a przecież nie o to chodziło. Nie do mnie należy ocena, czy ta organizacja jest tak skostniała, że nie potrafi bronić nawet pośmiertnie członka własnej organizacji. Wysłałem pocztą elektroniczną kilka pism do Zarządu Głównego SZŻAK w Warszawie, aby uaktywnił działalność mieleckiej organizacji, ale skończyło się tylko na pochwałach pod moim adresem, że stają w obronę ich członka. Podobnie zadziałała Kapituła Orderu Wojennego Virtuti Militari działająca przy kancelarii prezydenta. Dostałem stamtąd piękne pismo podpisane przez kanclerza kapituły generała Stanisława Nałęcza Komornickiego

ograniczające się do stwierdzenia, że płk Aleksander zaliczony jest w poczet Kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari. Na nic więcej nie stać ich było, chociaż wysłałem im pełną charakterystykę sprawy.

Ponieważ w „Korso” opublikowano list (skierowany do mnie), gdzie były treści szkalujące pamięć płk Rusina, odezwała się rodzina wyrażająca oburzenie z powodu szkalowania pamięci ich ojca. Nikt więcej się nie odezwał. Ci którzy powinni zareagować milczą, jakby ich to nie dotyczyło, a ja usłyszałem zarzut, że jestem adwokatem rodziny Rusinów. Nie do mnie należy wskazywać, gdzie należy szukać przyczyny skostniałości społecznej. Powinni to zrobić socjologowie, historycy, organizacje społeczne i kombatanckie, szkoły, media, urządy promocji, władze terenowe i inne, a wszyscy razem powinni, za ten stan, uderzyć się w piersi. Od wyżej wymienionych zależy, czy przyszłe pokolenia potrafią dokonać właściwej oceny. Jeśli zostaną tego nauczeni, będą potrafili oddzielić ziarno od plew i zrozumieją heroizm walki takiego człowieka, jakim był płk Aleksander Rusin. Smutne, że obecne społeczeństwo tego nie potrafi.

Osobną sprawą jest upamiętnianie zasłużonych ludzi. Wiodoczną jest niechęć do ich upamiętniania, a przecież tacy ludzie jak Bracia Działowscy, płk Aleksander Rusin i wielu innych zawsze będą rozsławiać ziemię z której wyrosli, pod warunkiem, że będziemy o tym pamiętać. To pięknie jeśli nazywamy szkołę czy inny obiekt imieniem znanych w świecie autoritetów, ale oni wnoszą inne wartości, może wyższe, ale nie rozsławiające Mieleckiej Ziemi. Mam nadzieję, że nie prędko będzie okazja na sprawdzian ludzkich charakterów i osobowości jak tych z czasów II Wojny Światowej i dlatego jestem zdania, że powinniśmy upamiętniać ich nazwiska, rozsławiać czyny i dbać o ich cześć, niezależnie od tego, czy się to komuś podoba, czy nie. Uważam, że wygodnictwem lokalnych władz jest upamiętnianie anonimowych bohaterów. Jest to wprawdzie wygodne, ale nic nie upamiętnia, bo tylko nazwiska konkretnych ludzi i ich czyny podnoszą rangę Ziemi. Widocznie, aby to zrozumieć należy poczekać, aż nadejdą następne pokolenia.

Teofil Lenartowicz



Grupa Rekonstrukcji Historycznej

„RUSAL”

- » **Interesujesz się historią czy militariami ?**
- » **Bliskie są ci losy „małej ojczyzny” ?**
- » **Chcesz realizować swoje zainteresowania w nietypowym hobby ?**
- » **Masz powyżej 17 lat ?**

Dołącz do grupy rekonstrukcji historycznej oddziału partyzanckiego Obwodu AK Mielec

Kontakt: obiekt172@interia.pl, tel. 68 454 26 46

Sprawiedliwi i nie tylko z ziemi nad Wisłą

SPRAWIEDLIWA W BOROWEJ SPOCZYWA

Mało kto wie, że na cmentarzu parafialnym w Borowej k. Mielca pochowana jest Katarzyna Krystian-Zabierzowska, jedna ze „sprawiedliwych wśród narodów świata”, która podczas okupacji niemieckiej w Krakowie uratowała roczną dziewczynkę żydowską Miriam.



Maria - Miriam podczas okupacji ukrywana przez polską rodzinę w Krakowie

Katarzyna Zabierzowska-Krystian z domu Dulak urodziła się w 1886 r. w Piwnicznej. Jej pierwszym mężem był mężczyzna o nazwisku Krystian, nieznanym z imienia i z nim też Katarzyna wyjechała do Krakowa. Podczas okupacji niemieckiej pracowała jako pielęgniarka w fabryce wyrobów metalowych, w której zatrudniano także pracowników żydowskiego getta w Krakowie. Któregoś dnia, w niedługim czasie przed likwidacją getta, która odbyła się w dniach 13-14 marca 1943 r., Polka o imieniu Danka i nazwisku prawdopodobnie Hübner, poprosiła Katarzynę o ukrycie żydowskiego dziecka. Danka pracowała w gettcie w biurze zatrudnienia i przyjaźniła się z zamkniętą w gettcie Żydówką, Różą Kwaśniczką, o której wiedziała, że wkrótce będzie potrzebować pomocy. Rok wcześniej Róża w gettcie urodziła córkę, której dała na imię Miriam i właśnie w obliczu zbliżającej się likwidacji getta Róża zwróciła się o pomoc do Danki o ratowanie jej dziecka. Nocą z 12 na 13 marca 1943 roku Róża wraz z córeczką Miriam przez kanał ściekowy uciekły z getta i przez kilka dni ukrywały się po piwnicach, oborach



Zdjęcie z czasów okupacji niemieckiej. Od lewej Katarzyna Krystian, w środku Maria - Miriam oraz Danka Hübner



Maria - Miriam wraz z ukrywającą ją przed Niemcami przybraną matką Katarzyną Krystian

oraz u pewnej kobiety, która zgodziła się na ich schronienie przez jedną noc. Wreszcie Róża udało się skontaktować z Danką, a ta dała znać Katarzynie Krystian informując ją gdzie ukrywają się Róża i Miriam. Mimo grożącego jej niebezpieczeństwa, gdyż za pomoc Żydom w okupowanej Polsce groziła kara śmierci, Katarzyna udala się do kryjówki Róży i tam obie kobiety zdecydowały się przebrać dziecko w lachmany i włożyć w nie list.

Z treści listu wynikało, że matka dziewczynki została zabrana na przymusowe roboty do III Rzeszy, jej ojciec był chory i jakaś kobieta podrzuciła dziecko pod próg mieszkania Katarzyny, z nadzieją że ktoś się nim zaopiekuje. Na szyi dziewczynki kobiety powiesiły medalik z wizerunkiem Matki Boskiej i datą urodzin dziecka. Dwa tygodnie później Katarzyna rzekomo „znalazła” podrzuconą Miriam i zaczęła o tym głośno krzyczeć, tak aby o tym fakcie usłyszeli sąsiedzi. Potem zabrała dziecko do siebie, które pozostało u niej do końca wojny. W tym czasie Katarzyna ochrzciła dziecko, chcąc nie wzbudzać podejrzeń sąsiadów, nadając jej imię Maria. Sąsiedzi i tak byli nieufni i gestapo kilka razy przesłuchiwało Katarzynę. Mimo to nie wyjawiała tajemnicy i Maria-Miriam nadal chowała się u niej, chociaż prawdopodobnie też nie było jej lekko, gdyż w 1943 roku zmarł jej mąż Krystian.

Tymczasem Róża Kwaśnicza dołączyła do swojego męża, który przebywał wówczas w niemieckim obozie pracy dla Żydów w Płaszowie. Stamtąd utrzymywała kontakt z Danką, która nawet przy-



Zdjęcie z okresu powojennego. Prawdziwi rodzice Miriam, Róża i jej mąż Kwaśniczy wraz z uratowaną córeczką



Maria - Miriam pod koniec wojny

stała jej zdjęcie dziecka. Róża pozostawiła też Dance drobną biżuterię, aby pomóc w utrzymaniu swojej córki. W dalszych miesiącach i latach Róża przeszła przez pięć niemieckich obozów koncentracyjnych w tym przez KL Auschwitz, które przeżyła i po wyzwoleniu, wraz mężem wróciła do Krakowa. Tam odebrała od Katarzyny swoją córkę Miriam. Małżeństwo Kwaśnickich było stomatologami, mieszkali i pracowali w Polsce do 1956 r., kiedy to wyjechali do Izraela. Brat Róży Kwaśnickiej był w przedwojennej Polsce pracownikiem naukowym i zginął zabity przez hitlerowców w obozie. Prawdopodobnie jednak Kwaśniccy nazywali się wcześniej inaczej i jeszcze przed wojną zmienili nazwisko. Nigdy nie zapomnieli o Katarzynie i później pomagali jej w miarę możliwości. Nie znamy jednak dokładnie ich losów przez następne powojenne lata. Prawdopodobnie wdowa Katarzyna Krystian mieszkała cały czas w Krakowie i w 1964 roku ponownie wyszła za mąż, za Władysława Zabierzowskiego z Andrychowa, gdzie również zamieszkała. Katarzyna zarówno w pierwszym, jak w drugim małżeństwie była bezdzietna i kiedy umarł jej drugi mąż, żyła samotnie. Znacznie podupadła na zdrowiu i wówczas zaopiekowała się nią jej dalsza krewna, tj. Helena, córka jej siostry, mieszkająca w Borowej koło Mielca, która właśnie w 1980 r. do tej wioski ją sprowadziła. Tutaj też pod opieką siostrzenicy Katarzyna dożyła swoich dni i zmarła w połowie 1980 r. Jej grób znajduje się na cmentarzu parafialnym w Borowej. Wcześniej, 19 VI 1979 r. Instytut Yad Vashem przyznał Katarzynie Krystian-Zabierzowskiej tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Jednak do ambasady Izraela w Warszawie po odbiór tytułu i pamiątkowego medalu

pojechała jej siostrzenica, zaś wiedza o tym pozostała rodzinną tajemnicą, przez następne 30 lat.

W ciągu tych lat Róża Kwaśnicka mieszkała w Izraelu. Do Borowej wysłała kilka listów interesując się zdrowiem Katarzyny. W 1997 r. do Polski przyjechała Miriam Kwaśnicka, która w międzyczasie wyszła za mąż, nosząc nazwisko prawdopodobnie o brzmieniu Bleiberg. Urodziły się jej dwie córki oraz syn. Miriam-Maria właśnie ze swoimi dziećmi odwiedziła Borową i rodzinę, w której pod koniec życia przebywała Katarzyna. Udała się na grób swojej przybranej matki, znajdujący się na borowskim cmentarzu.

Rodzina Katarzyny Krystian-Zabierzowskiej z Borowej nie chce ujawniać swojego nazwiska. Ponad 90-letnia już dziś Helena jest siostrzenicą Katarzyny z Tarnowa. Gdy wybuchła wojna w 1939 r. okupanci



Róża Kwaśnicka w Izraelu

niemieccy dali jej do wyboru, albo wyjeżdża na przymusowe roboty do III Rzeszy, albo pójdzie do pracy w Flugzeugwerk w Mielcu. Tam Helena poznała swojego przyszłego męża pochodzącego z Borowej i tu się z nim osiedliła. Tu urodzili się jej synowie i wnuki. Ich rodziny od lat wiedzą o bohaterkiej postawie ich ciotki z Krakowa, która uratowała żydowskie dziecko, jednak

nikomu nie ujawniali tego faktu. Raz tylko, już po wejściu Polski do Unii Europejskiej krewna Heleny, pracując w hotelu w Wielkiej Brytanii, usłyszała od mieszkającej tam kobiety żydowskiego pochodzenia, że ta nie lubi Polaków, gdyż ci podczas okupacji niemieckiej w Polsce wyrządzili dużo krzywdy Żydom. „Nie prawda” – odpowiedziała wówczas młoda Polka. „Bo nasza ciotka uratowała z narażeniem życia żydowskie dziecko” – dodała jej jeszcze. Potem przez Internet otrzymała kopie dokumentów i zdjęć, i pokazała je mieszkance hotelu. Ta nie dowierzała jednak i przez swojego syna w Izraelu sprawdziła wiarygodność. Jej syn odnalazł nawet uratowaną Miriam, która wszystko potwierdziła. Wówczas to dziewczyna otrzymała zapewnienie, że jeśli będzie potrzebować pomocy to ją otrzyma.

Jednak historia Katarzyny Krystian-Zabierzowskiej i okoliczności jej poświęcenia dla ratowania żydowskiej dziewczynki wciąż nie jest pełna. Nie wiemy dokładnie gdzie pracowała, czy być może u niemieckiego fabrykanta w Krakowie – Oskara Schindlera. Prawie nic, prócz nazwiska nie wiemy o jej mężu Krystianie. Kim był, gdzie pracował i w jakich okolicznościach umarł. Jeszcze bardziej jest tajemnicza postać Polki – Danki Hübner, która prawdopodobnie uratowała jeszcze więcej Żydów. Być może także otrzymała tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, a może nadal pozostaje anonimowa. Dlatego też niniejszy artykuł, który ukaże się w wydawanych przez nas „Więściach Regionalnych” oraz w „Nadwiosłoczu” i umieszczony także w Internecie. Mamy obietnicę, że dotrze też do naszych bohaterów w Izraelu i Anglii, którzy być może odezwą się i rzucą więcej światła na tę wojenną historię. W przyszłości te i podobne losy zostaną spisane w jednym wydawnictwie także w wersji angielskiej, co być może przyczyni się do odkrycia kolejnych przykładów ratowania Żydów w Polsce przez Polaków, jednak z całym, nie zawsze przychylnym tłem tych wydarzeń.

Włodzimierz Gąsiewski



Miriam Bleiberg z d. Kwaśnicka wraz z mężem i dziećmi w Izraelu

„Z ludu i dla ludu - Ks. Feliks Podgórnianak (1901-1985) Proboszcz z Rzędzianowic – Jego parafia i parafianie”

Dzieje tworzą ludzie, a więc nie ma i nie może być autentycznej historiografii bez zainteresowania się konkretnymi ludźmi i ich działaniami, które konstytuują żywą tkankę dziejów zarówno w wymiarze powszechnym, jak i w wymiarze lokalnym. „Nie przypadek rządzi w świecie” – jak pisał Zygmunt Krasiński w *Psalmach przyszłości*. Wszystko w dziejach opiera się na człowieku, dlatego można powiedzieć, że historia zajmująca się opisem i utrwalaniem ludzkich dziejów jest jakby przedłużeniem ludzkiej pamięci, będącej podstawową władzą duchową człowieka, konstytuującą go jako osobę oraz wyrażającą jego specyfikę. Szczególne zainteresowanie człowieka zwraca się do historii lokalnej, a więc do dziejów, z których wyrasta, które współtworzy i które w sposób najbardziej osobisty przekazuje kolejnym pokoleniom. Dlatego każda publikacja dotycząca historii lokalnej spotyka się zawsze ze specjalnym zainteresowaniem środowiska, którego dotyczy. I chociaż wielkie bibliografie, odnotowujące kolejne publikacje historyczne, tylko sporadycznie uwzględniają „publikacje lokalne”, to jednak one mają specyficzne znaczenie, a zasięg zainteresowania nimi jest realnie o wiele większy niż publikacjami o charakterze powszechnym. Typowe tendencje naukowe i zwyczajne ludzkie odczucia nie zawsze pokrywają się ze sobą.

Te ogólne uwagi mają znaczenie, gdy bierzemy do ręki kolejną książkę Włodzimierza Gąsiewskiego, zasłużonego badacza dziejów na ziemi mieleckiej, poświęconą tym razem Rzędzianowicom i Woli Pławskiej, mieszkańcom tych miejscowości, a zwłaszcza ks. Feliksowi Podgórnianakowi, proboszczowi parafii w Rzędzianowicach. Konkretni ludzie, tworzący konkretne dzieje, stali się bohaterami tej książki. Wybija się na jej kartach postać wieloletniego Proboszcza, tworzącego lokalne dzieje kościelne, dzieje społeczne, a nawet dzieje polityczne. Warto zwrócić uwagę na ten ostatni aspekt zaangażowania ks. F. Podgórnianaka, aktywnie działającego „ludowca”, gdyż należy on już do minionych kart dziejów. Nowe prawodawstwo kościelne zabrania kapłanom przynależności do partii politycznych i bezpośredniego zaangażowania w działalność polityczną. Nie ogranicza

to w niczym usługi kapłańskiej, ale nadaje jej bardziej uniwersalne znaczenie, gdyż Kościół nie zamyka się ramami takiej czy innej partii, co nie oznacza, że kapłan nie może mieć jednoznacznych preferencji politycznych.

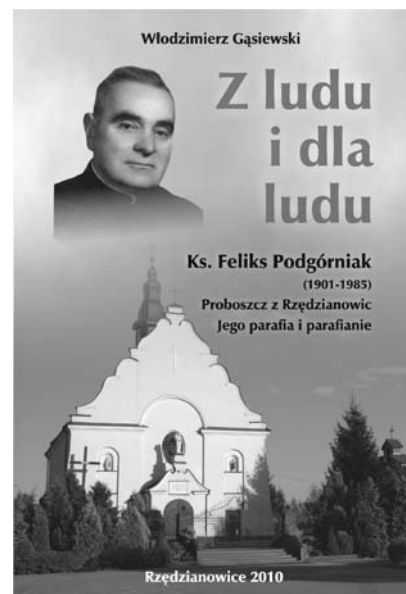
Wokół Proboszcza dzieje tworzą parafianie, którzy na gruncie swojej wiary nadają tworzonej historii określoną i specyficzną postać. Wielu z nich, z całą konkretnością ich wielorakiego zaangażowania i dorobku, przewijają się na kartach książki. Tworzyli oni dzieje Kościoła lokalnego i lokalnej społeczności, zarówno w bardziej przychylonych, jak i w dramatycznych okresach historycznych. Dobrze się stało, że w tak szerokim zakresie zostali oni utrwaleni ze swoim wielorakim dorobkiem dziejowym. Jak w każdej książce, także w tej nie ma mowy o wszystkich i o wszystkim – na pewno będą tacy, którzy nie znajdują się w indeksie nazwisk – ale jest to wyzwanie dla kolejnych badaczy, na których spoczywa zadanie rozwinięcia i pogłębienia zapoczątkowanego dzieła. Prezentowana książka jest do tego niewątpliwą, a nawet pasjonującą zachętą.

Kolejne karty lokalnej historiografii zostały więc napisane. Przyjmujemy je z uznaniem, biorąc pod uwagę, że to są właśnie autentyczne ludzkie dzieje, które tworzy każdy, na miarę swojego zaangażowania wyrastającego z wolności osobistej. W odniesieniu do aktualnych wydarzeń, na które bezpośrednio patrzymy, nie mogą w tym miejscu nie zwrócić uwagi, że szczególną rolę w tym tworzeniu dziejów odgrywa wiara przeżywana w Kościele, znacząca się znakiem Krzyża i zmierzająca do wiecznego celu, którym jest sam Bóg. Historia lokalna opisana na kartach prezentowanej książki, choć w najmniejszym stopniu nie stawia sobie celów apologetycznych, jest tego wyraźnym potwierdzeniem, czego dowiedzie uważna lektura.

ks. dr hab Janusz Królikowski

Ze wstępu do publikacji
Włodzimierza Gąsiewskiego
Z ludu i dla ludu.

*Ks. Feliks Podgórnianak (1901-1985)
Proboszcz Rzędzianowic
Jego parafia i parafianie*



Książka formatu B-5, zawiera 156 stron. Wydawca Agencja Wydawnicza „Promocja”. Druk: Zakład Poligraficzny Z. Gajka w Mielcu. Zawiera m.in.:

- Zarys dziejów wsi Rzędzianowice i Wola Pławska;
- Szkic historyczny parafii Rzędzianowice Powstanie i pierwsze lata parafii Rzędzianowice;
- Kościół parafialny;
- Dzwony kościelne i dzwonnica;
- Plebania i inne budynki parafialne
- Cmentarz parafialny;
- Kapliczki, figury i krzyże przydrożne: Rzędzianowice, Wola Pławska;
- Kapłani parafii Rzędzianowice;
- Kapłani wywodzący się z parafii Rzędzianowice;
- Siostry Służebniczki w Rzędzianowicach;
- Siostry zakonne pochodzące z parafii Rzędzianowice;
- Ks. Feliks Podgórnianak – proboszcz parafii Rzędzianowice w służbie Boga i ludu;
- Droga do kapłaństwa i wikariat w Kańczudze
- W Rzędzianowicach i na Ziemi Mieleckiej w II Rzeczypospolitej;
- Przyjaciel Wincentego Witosa;
- Pasterz w nocy okupacji;
- W trudnych czasach PRL-u;
- Ks. Feliks Podgórnianak we wspomnieniach i anegdocie;
- Krótką historią ruchu ludowego w Rzędzianowicach i Woli Pławskiej;
- Okres przedwojenny i czasy okupacji niemieckiej;
- PSL i ZSL w Rzędzianowicach w czasach PRL-u PSL w Rzędzianowicach w III Rzeczypospolitej Ruch ludowy w Woli Pławskiej;
- Niektóre osoby związane z miejscowościami Rzędzianowice i Wola Pławska;
- Indeks nazwisk, pseudonimów i imion świętych.

MATKA BOSKA SYBIRACKA

17 września br., w mieleckiej kaplicy na Cmentarzu Parafialnym odbyła się msza święta w intencji Sybiraków. Uczestniczyła w niej, jak co roku, także Maria Magdziak, która aby podziękować Matce Boskiej za szczęśliwy powrót z sybirackiego wygnania, wybudowała sporą kapliczkę we własnym ogródku.

Był majowy ranek 1941 roku. Dziewięcioletnia Maria (wówczas Łukaszewicz), razem ze swoją mamą, ciocią i babcią została wywieziona z bezpiecznego domu w Druskienikach (na Litwie) ku zalesionym, dzikim terenom Syberii. W czasie dwutygodniowej podróży wagonami, z powodu grypy umarła jej matka. Wcześniej straciła także ojca, oficera, który został rozstrzelany. Osierocona, musiała szybko przystosować się do niełatwych warunków panujących w Związku Radzieckim. Wszyscy zesłańcy zostali przetransportowani łódkami przez rzekę Abakan, potem zapakowani na ciężarówki i wysadzeni 15 km od mongolskiej granicy.

- Warunki były straszne – wspomina po latach – Wyszadzono nas na środku drogi, poprowadzono ścieżką do samotnego baraku. Wkoło dzicz, góry, chodzące po lesie niedźwiedzie. Tylko miesiąc ciepła. I praca, ciężka i ciężka praca.

Jedyny barak w tej leśnej dziczy, nie należał się bynajmniej zesłańcom. W jednym pokoju urzędowali enkawudziści, w drugim urządzono kuchnię. Kolejne baraki należało dopiero postawić – a w międzyczasie, pozostało tylko spanie pod gołym niebem. Jedzenie? Nędzne. W dodatku dawkowane, wystarczające tylko do podtrzymania życia. Trochę owsianki i pajda chleba.

- Zegarka nie było, światła nie było. Mieliśmy taką puszkę, jeszcze z jakiejś niemieckiej konserwy. Do tej puszki nasypany mieliśmy sól, wlewali ropę i wkładali kawałek szmaty.

I to się świeciło, zamiast lampy. – wzdycha pani Maria.

Piłowanie drzew, kopanie ziemi, spanie na deskach ze słomą. Potworny mróz, zamarzająca woda pitna, szron osadzający się nocą na włosach. I tak przez 15 lat zesłania. Raz na nogę młodej Marii spadło spilowane drzewo. Noga zraniona. Zwichnięta? Złamana? Nie było lekarza, żeby to zbadał, ocenił, wyleczył. Maria wiele dni przeleżała w baraku. Nie stawiała się codziennie w swojej grupie pracy, nie podpisywała list obecności każdego ranka i wieczora. Gdy w końcu poczuła się lepiej, zabrano ją do więzienia.

- Za tą bezczynność, spowodowaną przecież wypadkiem. – mówi ze złością – Więzienie było ogromne i okropne.

Z żelaznymi wrotami i echem płaczu niosącym się z górnych pięter. Nikt mnie nie osądził, po prostu przydzielono mi celę.

I tak przesiedziałam dwa lata.

Maria Magdziak jest osobą bardzo religijną. Taką postawę wyniosła jeszcze z rodzinnego domu. Pokazną figurę Matki Boskiej, którą jej mama dostała, gdy wychodziła za mąż - zabrały ze sobą na Syberię. Z babcią i ciocią, i rzeszą Polaków, którzy przychodzili na modlitwę – prosili o bezpieczny powrót z wygnania. W końcu, w listopadzie 1956, ich prośby zostały wysłuchane. A rzeźba z drzewa dębowego jest u niej do dziś.

- Mieliśmy kłopoty z powrotem – opowiada Maria – Wszyscy Polacy wyjechali, a nas nie chciano puścić z polskim obywatelstwem. Ale nie było siły, która zmusiłaby nas do zmiany narodowości! Wujek Zygmunt z Mielca interweniował w naszej sprawie. Pisał do ambasady polsko – radzieckiej, do Warszawy. I w końcu się udało! Właśnie dlatego tu zamieszkałam, chciałam być z rodziną.

Maria Magdziak jest przekonana, że również dzięki opiece Matki Boskiej wróciła po latach do ojczyzny. Marzenie o własnej kapliczce w ogródku, w której umieściłaby pamiątkową figurkę musiało jednak długo czekać na realizację. Najpierw za czasów komunistycznych w ogóle nie mogło być o tym mowy. Potem, gdy zmienił się system, Maria mieszkała w blokowisku. Dopiero w 2008 r., już we własnym domu, przy ul. Kazimierza Wielkiego wystawiła kapliczkę.

- Ale nie z pamiątkową rzeźbą – wzdycha – Kazałam zrobić nową, tamta była zbyt zniszczona. W końcu tyle przeszła. Jej odłamki noszę stale w portfelu. Chcę też zostać z nią pochowana. Całe życie byłam z Bogiem, z Bogiem jestem i będę.

Prócz rzeźby, trzeba było także wykonać gablotę, tabliczkę z napisem, potem wszystko odpowiednio udekorować, poprosić księdza o poświęcenie kapliczki – Maria Magdziak niechętnie mówi o kosztach. Spełniła przecież w końcu marzenie sprzed lat. Teraz wszyscy możemy podziwiać dzieło stojące w jej ogródku. Widać je zza ogrodzenia wśród powodzi różnokolorowych kwiatów.

Pani Maria co roku uczestniczy w mieleckich obchodach Dnia Sybiraka. Najpierw w kapliczce na Cmentarzu Parafialnym jest msza święta. Potem Sybiracy i różnorakie delegacje składają kwiaty przy Pomniku. W tym roku było jak zwykle odświętnie. I jak zwykle wzruszająco. Maria Magdziak nie może uwierzyć, że od wywózki na Sybir minęło już 69 lat. W zeszłym roku odwiedziła rodzinne strony. Wróciły wspomnienia. Ale nijak nie pokrywają się one z rzeczywistością – w miejscu rodzinnego domu, stoją teraz szeregiem bloki.



- Ale mam tę swoją kapliczkę – mówi zadowolona i uśmiecha się serdecznie.

Anna Jabłońska

Na zdjęciu u góry pan Maria Magdziak z wrzeźbionym w drewnie polskim herbem (fot. A. Jabłońska). Na zdjęciu po prawej (fot. W. Gąsiewski) kapliczka przed domem pani Marii z napisem: POD TWOJĄ OBRONĘ... W PODZIĘKOWANIU ZA SZCZĘŚLIWY POWRÓT Z DOŻYWOTNIEJ KATORGI W TAJDZE I KAMIENIOLOMACH. MARYJI MATCE BOŻEJ. MARIA SYBIR 1941-1956.

Józef Witek

Bazylika mniejsza św. Mateusza w Mielcu



Bazylika mniejsza w Mielcu, zdjęcie z 2007 r. (fot. J. Strzała)

Pierwsza świątynia na miejscu dzisiejszej bazyliki mniejszej św. Mateusza została zbudowana prawdopodobnie w 1429 r., ale mogło to stać się później. Jej fundatorami byli właściciele Mielca z rodu Gryfitów. Potwierdza to dokument lokacyjny miasta (1470), w którym ustalono termin jarmarku tygodniowego na święto św. Mateusza Ewangelisty. Nowy kościół przejął od kościoła św. Trójcy funkcje kościoła parafialnego. Przy nim też założono wkrótce szkołę parafialną. (Pierwsi jej uczniowie pojawili się na uniwersytecie w Krakowie w 1494 r.) W 1526 r. Stanisław Mielecki, kasztelan zawichojski, ufundował prepozyturę w Mielcu, co umożliwiło utrzymanie prepozyta, 6 wikariuszy i rektora szkoły. W 1539 r. odnotowano pracę organisty w Mielcu. Dokumenty z lat 1565-1595 potwierdzają, że kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i św. Mateusza Apostoła był wykonany niemal w całości z drewna i został konsekrowany. Około 1595 r. wybudowano murowaną kaplicę św. Anny jako mauzoleum rodziny Mieleckich. W podziemiach kościoła pochowano bowiem wcześniej niemal wszystkich wybitniejszych przedstawicieli rodu.

Kilkakrotnie zmieniano nazwę świątyni w jej pierwszej części (Błogosławionej Marii Dziewicy, Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny, Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny), ale drugi patron św. Mateusz pozostawał bez zmian. Dokument z 1598 r. informuje, że kościół posiadał siedem

ołtarzy oraz bogate wyposażenie w naczynia i szaty liturgiczne. Obok kościoła znajdował się cmentarz z kostnicą. W 1604 r. kościół spalił się i w latach 1608-1610 wybudowano nowy i większy, także z drewna. Miał sześć ołtarzy, w tym jeden umieszczony na środku. W jego pobliżu znajdowała się chrzcielnica. W nawach bocznych urządzono siedem kaplic i zakrystię. Na kościele znajdowała się sygnaturka. Kolatorami tej świątyni byli m.in. Jan Karol Chodkiewicz, Anna Mielecka, Joachim Ocieski i Marcin Mielecki – współwłaściciele miasta. Zadbali oni także o bogate wyposażenie oraz relikwie wielu świętych.

Przy kościele zbudowano drewnianą dzwonnice (połączoną z kostnicą) i umieszczono w niej dwa dzwony. W aktach wizytacyjnych z 1610 r., już po przejęciu części miasta przez Zbigniewa Ossolińskiego, wymienia się pięć ołtarzy, w tym dwa konsekrowane (ołtarz w kaplicy św. Anny obdarzył przywilejem papież Klemens VIII). W ołtarzu głównym znajdował się obraz Krzyża Świętego. Spis w 1618 r. wykazał m.in., że jeden z konsekrowanych ołtarzy został usunięty i w kościele pozostały cztery ołtarze, w tym jeden konsekrowany. Po „potopie szwedzkim” i najazdach wojsk księcia Rakoczego, kiedy Mielec został poważnie zniszczony, być może ucierpiał także kościół farny. W latach 1670-1721, z inspiracji prepozyta mieleckiego ks. Karola Waśniowskiego, zbudowany został nowy, murowany kościół w stylu barokowym, fundowany przez współwłaściciela miasta Jerzego Zbigniewa Ossolińskiego, kasztelana połanieckiego. Ta właśnie świątynia, wielokrotnie modernizowana, dotrwała do naszych czasów. Nie jest znany ówczesny wygląd zewnętrzny.

Wnętrze miało, jak opisywano, „oznaki wspaniałości”. W ołtarzu głównym umieszczono pozłacane cyborium, a nad nim wymieniony już obraz Krzyża Świętego. W górnej części ołtarza znajdowało się sześć złożonych kolumn, na których ustawiono dwie statuy: św. Mateusza i św. Jana Chrzciciela. Ponadto były trzy ołtarze: bł. Jana Kantego, św. Antoniego (z rzeźbami św. Stanisława męczennika i św. Mikołaja) i nieznanego patrona, także z rzeźbami. W środkowej części kościoła po obu stronach znajdowały się kaplice: od północy starsza – św. Anny i od południa – św. Róży. W kaplicy św. Anny umieszczono chrzcielnicę, a obok wejścia do kaplicy zamontowano nową ambonę. Zachodnią część kościoła zajął chór muzyczny z organami i miejscem dla zespołów śpiewaczych. Posadzkę wykonano z kamieni brukowych. Zachowało się wiele relikwii, a ponadto Ossolińscy pozyskiwali kolejne. Umieścili także swój herb – Topór – na barokowym portalu z czarnego marmuru, nad głównym wejściem do kościoła.

Nowa świątynia została konsekrowana przez biskupa H. Wielogłowskiego w 1762 r. Przez 2. połowę XVIII w. i w XIX w. wzbogacano wystrój wewnętrzny, który niemal w całości przetrwał do dziś. Ołtarz główny – z tabernakulum – ujęto dwiema parami kolumn, pomiędzy którymi umieszczono obraz Chrystusa na krzyżu z 1. połowy XVII wieku, nazywany też „Ukrzyżowaniem”. (Przypuszcza się, że jego autorem był malarz włoski, a nie brakuje stwierdzeń, że był to Tomasz Dolabella.) Po bokach obrazu, przed kolumnami, ustawiono rzeźby św. Piotra i św. Pawła, a później – ale już w XIX w. – Matki Bożej Bolesnej i św. Jana Ewangelisty. Nad obrazem umieszczono płaskorzeźbę Boga Ojca

w obłokach, a na szczycie płaskorzeźbę Ducha Świętego w postaci Gołębic, w glorii. Przy tęczy umieszczono dwa ołtarze, przeniesione z kościoła trynitarzy (po likwidacji zakonu): po lewej stronie z rzeźbami aniołów i obrazem Matki Bożej z Dzieciątkiem (z XVII w., przemalowanym w XIX w.) oraz w zwieńczeniu - obrazem Matki Bożej Niepokalanie Poczętej, a po prawej - z obrazem św. Mateusza piszącego Ewangelię, rzeźbami św. Andrzeja i św. Szymona oraz obrazem św. Józefa z Dzieciątkiem w zwieńczeniu i Okiem Opatrzności w glorii.

W kaplicy północnej, nad ołtarzem (z 1700 r.), ujętym parą kolumn i uchami w kształcie rzeźbionych festonów z 12 rzeźbami przedstawiającymi Tajemnice Różańca, na pocz. XIX w. umieszczono obraz św. Anny, która poucza małą Marię (późniejszą Matkę Bożą) w obecności św. Joachima. Dla zasłaniania obrazu wykonano zasuwę z wizerunkiem Serca Jezusowego w otoczeniu kilku osób i Wawelu w tle (aut. Saturnin Świerzyński, 1884 r.). W kaplicy południowej, nad ołtarzem (z pocz. XVIII w.) w polu głównym zawieszono pod koniec XIX w. obraz Matki Bożej Różańcowej ze św. Dominikiem i św. Różą oraz - w zwieńczeniu - glorię z Wniebowzięciem Matki Bożej i aniołkami. W kaplicy przy zakrystii zamontowano ołtarzyk z obrazem Matki Bożej Częstochowskiej (XVIII w.), przemalowanym w XIX w. Ponadto w XVIII w. przejęto obrazy „Św. Tekla” i „Prorok Daniel” z kościoła trynitarzy oraz rzeźby św. Jana Nepomucena, św. Piotra, św. Dominika i św. Rozalii. Systematycznie powiększono także zbiory naczyń i szat liturgicznych.

Na ścianach bocznych, nad balaskami, wmurowano w ściany epitafia inskrypcyjne niektórych właścicieli

i współwłaścicieli Mielca. Już pod zaborem austriackim, realizując dekret cesarza austriackiego Józefa II, w 1784 r. zakończono pochówki na terenie przykościelnego cmentarza. W latach 1792-1795, staraniem proboszcza ks. Tomasza Spychajewskiego, dobudowano od strony zachodniej wieżę z czterospadowym dachem i krzyżem. Ks. Spychajewski doprowadził też do zbudowania wokół kościoła i przykościelnego cmentarza - muru z wnękami na stacje „Drogi Krzyżowej” oraz prawdopodobnie zakupił nowe organy.

W latach 1877-1878 na obiekcie położono nowe tynki. W 1911 r. we wnętrzu kościoła wybuchł pożar, ale nie odnotowano większych strat. W latach 1922-1924 podwyższono wieżę i dodano jej okazały blaszany hełm z latarnią, a także wybudowano wieżyczkę na sygnaturkę i dobudowano przedsionek od strony południowej. Działania wojenne 1944-1945, a zwłaszcza niemiecki ostrzał artyleryjski zza Wisłoki, mocno uszkodziły obiekt i otaczający go mur. Po wojnie prowizorycznie naprawiono te szkody, a w latach 50. odnowiono wnętrze świątyni. Gruntowny remont przeprowadzono w latach 1978-1987, kiedy proboszczami byli: ks. Wojciech Madej (do 1980 r.) i ks. Stanisław Jurek (od 1980 roku). Dachy pokryto ocynkowaną blachą. Ściany na zewnątrz otynkowano, a wewnątrz pomalowano. Złożono nową instalację elektryczną, nagłośnienie i ogrzewanie, położono nową posadzkę, wykonano nowe ławki.

Nie zmieniono ustawienia ołtarzy, ale ich wystrój uzupełniono rzeźbami z XVII w. (św. Jana Nepomucena, św. Piotra, św. Katarzyny Sieneńskiej, św. Dominika) odrestaurowanymi przez mieleckiego rzeźbiarza Stanisława Szęszola i pozłożone przez miejscowego rzemieślnika. S. Szęszol



Widok kościoła z okresu przedwojennego (foto arch. J. Witka)



Widok na prezbiterium i ołtarz główny, zdjęcie współczesne (fot. Z Korpanty)

odrestaurował ponadto dwa XVII-wieczne krucyfiksy (pomalował je Jan Wozowicz) i figurkę Pana Jezusa Dobrego Pasterza oraz relikwiarze. Bez zmian pozostały na wieży trzy dzwony: „Św. Mateusz” (mały), „Królowa Polski” (duży, 1450 kg) i „Święty Józef” (średni, 561 kg). W 1986 r. założone zostały nowe dwuskrzydłowe drzwi wejściowe do kruchty, okute ozdobną blachą (wyk. Alfred Bielec z Mielca), a w 1987 r. wokół drzwi wykonano pseudobarokowy portal z piaskowca.

W kruchcie umieszczono dwa epitafia: Władysława Jasińskiego „Jędrusia” i ks. Jerzego Popiełuszki. W 1988 r. inż. Z. Górowski z Tarnowa zakończył konserwację obrazu ukrzyżowanego Chrystusa w ołtarzu głównym. Gruntownemu remontowi poddano także mur okalający teren przykościelny, zmieniając jego dotychczasowy barokowy charakter. Obmurowano wnęki i bramy nietynkowaną cegłą, a we wnękach wykonano rysunki tajemnic różańca (autor Jerzy Floren z Krakowa). W 1990 r. na wewnętrznej stronie muru – obok bramy od strony zachodniej – z tablic i tabliczek indywidualnych upamiętniających męczeństwo mieleckich „Katyńczyków” powstała „Ściana Katyńska”, a obok bramy od ul. T. Kościuszki w latach 1994-2000 zamontowano szereg tablic o treściach martyrologicznych. W 2000 r. świątynię mianowano Kościołem Roku Jubileuszowego 2000, jako jedną z 17 w diecezji tarnowskiej. 22 IX 2006 r. odbyła się uroczystość podniesienia kościoła św. Mateusza do rangi bazyliki mniejszej (szóstej w diecezji tarnowskiej), a przewodniczył jej nuncjusz papieski w Polsce abp Józef Kowalczyk.

Współczesne wnętrze

Centralnym obiektem wyposażenia bazyliki jest późnobarokowy ołtarz główny (wielki) z 2. połowy XVIII w. Nad nim umieszczono obraz ukrzyżowanego Chrystusa z XVII w. autorstwa Tomasza Dolabelli lub innego malarza szkoły włoskiej, a ponad obrazem – pośród obłoków i aniołków – płaskorzeźbę Boga Ojca wspartego na kuli ziemskiej, zaś jeszcze wyżej – rzeźbę Gołębicę (symbol Ducha Świętego) w glorii z promieniami. Po obu stronach obrazu znajdują się po dwie kolumny, zaś pomiędzy nimi z lewej – rzeźby św. Piotra i Matki Bożej Bolesnej, a po prawej – św. Jana Ewangelisty i św. Pawła. Na ścianie obok ołtarza – rzeźby dwóch biskupów – prawdopodobnie św. Wojciecha i św. Stanisława ze Szczepanowa z Piotrowinem (tę postać wyrzeźbiono w latach 80. XX w.). Nad balaskami – po lewej epitafium Michała z Tęczyna Ossolińskiego (zm. 1806), a po prawej – Józefa Małachowskiego (zm. 1795). Nad stallami po lewej stronie znajduje się niewielka rzeźba Pana Jezusa Dobrego Pasterza.

W lewym bocznym późnobarokowym ołtarzu centralne miejsce zajmuje malowany na desce obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem (XVII w., przemalowany w XIX w.) – kopia obrazu z jednego z kościołów w Rzymie. W górnej części ołtarza umieszczono owalny obraz Matki Bożej Niepokalanie Poczętej (XVII w.). W centrum prawego bocznego ołtarza późnobarokowego znajduje się obraz św. Mateusza piszącego Ewangelię i zasuwany obraz św. Józefa z Dzieciątkiem, po obu stronach ołtarza – rzeźby św. Andrzeja i św. Szymona z symbolami ich męczeńskiej śmierci. W górnej części ołtarza umieszczono owalny obraz św. Józefa z Dzieciątkiem, a nad nim – Oko Opatrzności w glorii z promieniami. Na tęczy znajduje się fresk „Ostatnia Wieczerza” autorstwa Marka Niedojadły z Tarnowa (koniec lat 90. XX w.). Tenże artysta jest także twórcą fresków w czterech półkolistych wnękach (niszach) nad stallami i wejściami do obu kaplic; po lewej – od ołtarza wielkiego – „Objawienie się uczniom w Emaus”, „Niewierny Tomasz” i „Rozmnożenie chleba”, a po prawej – „Ofiara Melchizedecha”.

Bazylika posiada nadal dwie boczne kaplice. Po lewej (od strony północnej) jest to kaplica św. Anny, pełniąca od powstania funkcję mauzoleum Mieleckich, a w naszych czasach – kaplicy adoracyjnej Najświętszego Sakramentu. W ołtarzu (z końca XVII w.) znajduje się obraz Serca Jezusowego adorowanego przez grupę osób; tłem jest krakowski Wawel (1884, autor - S. Świerzyński). Za tym obrazem znajduje się obraz św. Moniki. Górną część ołtarza stanowi gloria z monogramem Chrystusa i rzeźbami aniołków. Po obu stronach ołtarza umieszczono rzeźby – św. Jana Nepomucena (św. Kazimierza?) i św. Piotra. Na prawej ścianie kaplicy zawieszono obraz zdjęcia Chrystusa z krzyża – kopia z XIX w. obrazu Daniela Ricciarellego da Volterra z kościoła S. Trinita dei Monti w Rzymie. Pod kaplicą i zakrystią, w zamurowanej części podziemi kościoła, spoczywają właściciele Mielca: Mieleccy, Ossolińscy, Małachowscy i być może inni, o których źródła pisane milczą. W prawej (południowej) kaplicy nazywanej Różańcową znajduje się ołtarz z 1714 r., a w nim obraz Matki Bożej Różańcowej i Dzieciątka z św. Dominikiem i św. Różą (koniec XIX w.). Widoczny na obrazie pies to symbol Zakonu Dominikanów. W górnej części ołtarza – promienista gloria z Wniebowzięciem i aniołkami, a poniżej - obraz św. Anny i św. Joachima z córką Marią (późniejszą Matką Bożą), przeniesiony w ostatnich latach z kaplicy północnej. Przy wejściu do kaplicy po lewej stronie widoczny jest współczesny obraz bł. ks. Romana Sitki (au-

tor - Jan Wozowicz z Mielca). W środkowej części nawy na ścianie północnej zawieszona ambona w stylu rokokowym (II poł. XVIII w.) z lambrekinowym baldachimem i rzeźbą Chrystusa. W pobliżu ambony stoi barokowa chrzcielnica w kształcie kielicha z czarnego marmuru (XVIII w.)

Na ścianie zachodniej usytuowano chór muzyczny, a na nim - rokokowy prospekt organowy (II poł. XVIII w.). Po jego obu stronach umieszczono rzeźby św. Katarzyny (Róży?) i św. Dominika. Pod chórem, po obu stronach wejścia głównego ustawiono konfesjonały, a nad nimi zawieszono dwa relikwiarze (poł. XVIII w.). Na ścianie północnej i południowej umieszczono 14 obrazów Drogi Krzyżowej, ale nie ustalono dotąd czasu ich powstania i pochodzenia. (Wiadomo natomiast, że nabożeństwo to upowszechniło się w Polsce w XVIII w.) Pod koniec lat 90. XX w. mistrz stolarski z Tuchowa wykonał w całym kościele drewnianą boazerię w kolorze ciemnobrązowym ze złoceniami. W kruchcie pod wieżą dominantą jest portal barokowy z czarnego marmuru (ostatnia ćwierć XVII w.) z herbem Topór Ossolińskich - budowniczych świątyni. Po prawej stronie portalu wisi krucyfiks (XVII w.), a pod nim znajduje się marmurowa kropielnica (XVIII w.). Obok - dwa epitafia: ks. Jerzego Popiełuszki i Władysława Jasińskiego „Jędrusia”. W przedsionku południowym zawieszony jest krucyfiks (XVII w.).

W przedsionku północnym - obok zakrystii - urządzono kaplicę z niewielkim ołtarzem i kopią obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z 2 poł. XVIII w. Zarówno ołtarz jak i obraz poddano renowacji w XIX w. Na ścianie z prawej strony ołtarza wisi krucyfiks, a po jego obu stronach wykonano w ostatnich latach freski z Matką Bożą i św. Janem. Na

przeciwległej ścianie wisi współczesny portret Ojca Św. Jana Pawła II. 29 VI 2008 r. nad wejściem wewnętrznym umieszczono drewnianą płaskorzeźbę św. Barbary autorstwa mieleckiej rzeźbiarki Wiesławy Weroniki Górak. Pod płaskorzeźbą widać wmurowane fragmenty ornamentyki z XVIII w.

Źródła: *Katalog zabytków sztuki. Województwo rzeszowskie*, t. III, z. 3 pod red. Ewy Śnieżyńskiej-Stolotowej i Franciszka Stolota, Warszawa 1991; Kiryk Feliks, *Miasta regionu mieleckiego do połowy XVII wieku*, w: *Mielec. Dzieje miasta i regionu*, t. 1 pod red. Feliksa Kiryka, Mielec 1984; Kryczyński Stanisław, *Z przeszłości miasta Mielca*, w: *Mieleczanin*, Lwów 1933; Maciąga Mirosław, *Zabytki sztuki regionu mieleckiego*, w: *Mielec. Dzieje miasta i regionu*, t. 1 pod red. F. Kiryka, Mielec 1984; Sadowska Anna, *Architektura i zabytki kościoła p.w. św. Mateusza w Mielcu*, w: *Mielec. Studia i materiały z dziejów miasta i regionu*, t. 3 pod red. F. Kiryka, Mielec 1994; Werner Wojciech (ks.), *Kościół i duchowieństwo mieleckie w świetle wizytacji biskupich z lat 1596-1721*, w: *Mielec. Studia i materiały z dziejów miasta i regionu*, t. 3 pod red. F. Kiryka, Mielec 1994; Witek Józef, *Encyklopedia miasta Mielca*, t. 1, Mielec 2004, t. 2, Mielec 2008, t. 3, Mielec 2009; Ponadto wykorzystano informacje, które podali: ks. prał. Stanisław Jurek - proboszcz parafii św. Mateusza w Mielcu w latach 1980-2008, rzeźbiarz Stanisław Szczęsoł z Mielca.

P.S.

Powyższy tekst ukaże się również w tegorocznym wydaniu *Mieleckich Zapisków nr 12 - Rocznik Ziemi Mieleckiej 2009*, wzbogacony licznymi zdjęciami (Redakcja).



Wnętrze kościoła z okresu przedwojennego (foto arch. J. Witka)

Książka o Sokołowskiej Madonnie

Istniejące od XVIII wieku sanktuarium maryjne w Sokołowie Małopolskim oczekuje na ukoronowanie Najświętszej Maryi Panny czczonej w obecnym tu łaskami słynącym wizerunku. Wśród licznych działań zmierzających do tego celu podjęte zostały również badania naukowe, pogłębiające wiedzę na temat obrazu i kultu Maryi, zwanej w okolicznych miejscowościach Panią Sokołowską. W ostatnim czasie ukazała się książka poświęcona Matce Bożej i Jej sanktuarium – „Pod płaszczem Maryi”. Wydała ją miejscowa Miejska i Gminna Biblioteka Publiczna. Autorami zamieszczonych w niej tekstów są pracownicy naukowcy uczelni wyższych oraz regionaliści. Publikacja stanowi pokłosie ubiegłorocznego sympozjum poświęconego kultowi Opiekunki Ludzkich Dróg w parafii sokołowskiej. Promocja książki odbyła się w sobotę 26 czerwca.

Wydany pod redakcją dr. Bartosza Walickiego 132-stronicowy tom otwiera słowo wstępne kustosa sokołowskiego sanktuarium ks. Jana Prucnała. Zauważył on, że „Każde pokolenie, które przeszło przez ziemię sokołowską starało się we właściwy sobie sposób okazywać miłość i wdzięczność Matce Bożej czczonej w łaskami słynącym wizerunku Królowej Świata. W ten nurt miłości do Matki Najświętszej włącza się również współczesne pokolenie, prosząc Ją, aby nadal była nam Przewodniczką na drogach życia. Kierując się zmysłem wiary pragnie ono wyrazić swoją miłość także w akcie koronacji wizerunku Tej, która jest Królową Świata”.

O samym sympozjum i powiązanej z nim wystawie bibliotecznej informuje sprawozdanie Ewy Kleczek-Walickiej. Stanowi ono skrót tekstu opublikowanego na łamach półrocznika naukowego KUL „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne”. Następnie doktorant na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim ks. Grzegorz Wójcik nakreślił obraz Maryi w literaturze apokryficznej na przykładzie „Protoewangelii Jakuba”. Kierownik sokołowskiej księżnicy, niżej podpisany, omówił z kolei kwestię kultu Maryi obecnej w świętych wizerunkach na przykładzie diecezji przemyskiej i rzeszowskiej. Pracownik naukowy Instytutu Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL dr Sławomir Zych zgłębił temat sanktuarium Matki Bożej Sokołowskiej w kontekście wybranych ośrodków kultu Najświętszej Maryi Panny z południowej części dawnej Puszczy Sandomierskiej. Kolejny artykuł dotyczy drukowanych świadectw kultu Pani Sokołowskiej z przełomu wieków XIX i XX. Naświetlony również został problem konserwacji obrazu Matki Bożej Sokołowskiej. Tom zamyka analiza pieśni do Matki Bożej Sokołowskiej pod kątem ludowej twórczości maryjnej dokonana przez prof. Kazimierza Ożoga z Uniwersytetu Rzeszowskiego. Aneksem do tego tekstu jest wybór tekstów kilku utworów muzycznych. Publikację ubogaca 16-stronicowa kolorowa wkładka poświęcona wspomnianemu sympozjum oraz wizerunkom Sokołowskiej Madonny.

Promocja książki skupiła grono miejscowych regionalistów i czcicieli Matki Bożej. Obecni byli podczas niej samorządowcy, kapłani, nauczyciele. Władze samorządowe reprezentowali radni miejscy: Andrzej Pasierb z Sokołowa oraz Jerzy Jedynak z Nienadówki, a także przewodniczący Zarządu Rady Samorządowej Sokołowa Stanisław Kula. Nie brakło też członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokołowskiej, bibliotekarzy, pracowników Urzędu Gminy



Prof. Kazimierz Ożóg podczas promocji

i Miasta oraz jednostek podległych samorządowi. Skromny poczęstunek przygotowali pracownicy sokołowskiej księżnicy. W rozwiniętej dyskusji uczestnicy spotkania podjęli m.in. temat rozwoju kultu Opiekunki Ludzkich Dróg oraz przygotowali do koronacji łaskami słynącego wizerunku.

Jak zaznaczył prof. Kazimierz Ożóg: „Takie sympozja i powstające po nich publikacje są bardzo ważne. Zachowują one, petryfikują pamięć i świadomość wspólnoty o pewnych wydarzeniach. W tym przypadku dokumentują również elementy kultu maryjnego. To jest bardzo ważne, gdyż dzisiaj poruszając się w sferze fizycznej, wchodzimy w sferę medialną, sferę znaków i symboli. Ta książka należy do kultury symbolicznej, jest jednym wielkim znakiem naszej miłości i przywiązania do Matki Bożej Opiekunki Ludzkich Dróg. Jest świadectwem trwającego od stuleci kultu maryjnego i współczesnych starań, aby ten kult udokumentować i zachować dla przyszłych pokoleń. To zarazem kolejny krok ku koronacji obrazu Pani Sokołowskiej. Bez tego nie sposób określić specyfiki kultu, propagowanego rysu duchowości, umiejscowienia sanktuarium sokołowskiego wśród rozmaitych ośrodków religijnych w regionie i w Polsce”.

Bartosz Walicki

Ks. Józef Mandziuk

Postacie z dziejów Kościoła śląskiego w czasach nowożytnych (cz. IX)

KRÓL KAROL XII SZWEDZKI
I KONWENCJA
ALTRANSZTADZKA
Z 1707 ROKU

Sytuacja śląskich protestantów po zakończeniu wojny 30-letniej była bardzo trudna. Po śmierci cesarza Leopolda I w 705 r. spodziewali się oni poprawy losu, gdyż następcy cesarza Józef I w sprawach religijnych przejawiał pewne umiarkowanie. Tymczasem nowy władca nie myślał nawet o zmianie polityki wobec innowierców. Pomoc dla ewangelików śląskich nadeszła niespodziewanie ze strony Szwecji zaangażowanej w wojnę północną. W 1706 r. król szwedzki Karol XII, z dynastii Wittelsbachów, fanatyczny luteranin, przemaszerował ze swoją armią przez Śląsk do Saksonii celem ostatecznego pokonania króla Augusta II Mocnego. Cesarz nie stawiał żadnych przeszkód w czasie przemarszu Szwedów, był bowiem zajęty udziałem w wojnie sukcesyjnej hiszpańskiej i zwalczaniem powstania węgierskiego. Protestanci z entuzjazmem witali króla bohatera, swojego wybawcę, wielkiego wodza protestanckiego. W niektórych śląskich miejscowościach słano do niego skargi na prześladowania wraz z prośbą o wstawiennictwo u cesarza. Milczący król-wojownik dawał luteranom pewne obietnice i pomaszerował do Saksonii, gdzie zmusił do abdykacji króla polskiego Augusta II na rzecz rywala Stanisława Leszczyńskiego.

W Saksonii doszło jednak do rozmów przedstawicieli cesarza z Karolem XII i jego ministrami. W wyniku rokowań zawarto 2 IX 1707 r. konwencję w Altranstadt, którą cesarz Józef I wkrótce ratyfikował. Habsburg musiał połknąć gorzką pigułkę podaną przez króla szwedzkiego, mieszającego się w wewnętrzne sprawy monarchii habsburskiej. Na mocy zawartej konwencji protestanci mieli otrzymać w ciągu pół roku kościoły w księstwach: legnickim, brzeskim, wołowskim, oleśnickim i ziebickim, zabrane im po pokoju westfalskim. Na tych terytoriach luteranie (kalwini nie byli brani pod uwagę) mieli otrzymać pełną swobodę wyznania i kultu. Nikogo nie wolno było



Karol XII król Szwecji (źródło: <http://www.tarnowskiogory.pl>)

zmuszać do przejścia na katolicyzm, z powodu wyznania usuwać z urzędów i stanowisk, utrudniać nabywanie własności ziemskiej. Tam, gdzie nie było zborów protestanckich, innowiercy mogli zbierać się na nabożeństwa we własnych domach, a gdzie nie było szkół ewangelickich, mogli wysyłać swoje dzieci do innych miejscowości lub kształcić je pod kierunkiem nauczyciela domowego.

Po wejściu konwencji w życie we wspomnianych księstwach oddano protestantom 122 świątynie. Ku zaskoczeniu cesarza Józef I zgodził się na wzniesienie sześciu tzw. „kościółów łaski” w następujących miejscowościach: Cieszynie, Jeleniej Górze, Kamiennej Górze, Koźuchowie, Miliczu i Żaganie. Zostały one wzniesione poza murami tych miast. Największy zbor powstał w Jeleniej Górze, wzniesiony na planie krzyża greckiego z kopułą w centrum, otoczoną czterema wieżyczkami. Wnętrze wypełniały dwupiętrowe empyry drewniane, a sklepienia wypełniały malowidła pędzla Franciszka Hoffmanna. Pozostałe „kościółki łaski” były skromniejsze w architekturze i wyposażeniu wnętrza. Należy je jednak zaliczyć do zabytków wysokiej klasy zabytków.

Ustępstwa cesarza Józefa I na rzecz protestantów, od których otrzymał 700.000 guldenów, wywołały niezadowolone katolików. Papież Klemens

XI pisał w liście do Habsburga, aby nie pozwalał na pomniejszenie stanu posiadania Kościoła katolickiego. Stąd Józef I polecił wybudować 15 nowych świątyń katolickich na tych terenach, gdzie kościoły zostały zamienione na zbory protestanckie. W ten sposób powstały tzw. kuracje józefińskie: 10 w księstwie brzeskim, 3 w legnickim i 2 w wołowskim.

Król szwedzki wycofał się ze Śląska i po klęsce w bitwie pod Połtawą w 1709 r. zniknął z horyzontu ówczesnej polityki. Zginął podczas walk w Norwegii w 1718 r., być może w wyniku zamachu. Habsburgowie nie wypowiedzieli konwencji, lecz akceptowali różne trudności w korzystaniu z jej uprawnień. W 1738 r. cesarz Karol VI zakazał przechodzenia z katolicyzmu na wiarę ewangelicką, a opornym polecał wytaczać procesy, kończące się wygnaniem z kraju. Cóż, ugoda altransztadzka z 1707 r. poprawiła dolę protestantów śląskich, ale nie w takiej mierze, jak się spodziewali. Stąd w czasie najazdu króla pruskiego Fryderyka II wielu protestantów śląskich stanęło po stronie luteranickich Prusaków, spodziewając się uzyskania pełnych swobód religijnych. I nie pomylili się.

DŁUGI PONTYFIKAT BISKUPA FRANCISZKA LUDWIKA NEUBURGA (1683-1732)

W okresie dominacji Kościoła katolickiego na Śląsku rządy w diecezji nadodrzańskiej sprawował biskup Franciszek Ludwik. Był to najdłuższy pontyfikat w dotychczasowych dziejach Kościoła śląskiego. Przyszedł on na świat 24 VII 1664 r. w Neuburgu, jako syn palatynata reńskiego Filipa Wilhelma z rodu Wittelsbachów. Jego siostra Eleonora była żoną cesarza Leopolda I, a druga – Jadwiga Elżbieta Emalia - poślubiła królewicza polskiego Jakuba Sobieskiego. Dwaj bracia byli biskupami, a trzeci – Wolfgang Jerzy – był kandydatem na biskupstwo wrocławskie, lecz zmarł w 23 roku życia. Franciszek Ludwik nauki pobierał w rodzinnym zamku i u jezuitów. Mając 13 lat otrzymał święcenia niższe i rozpoczął gromadzenie beneficjów kościelnych. W 1687 r. przyjął w Kolonii święcenia subdiakonatu i został kanonikiem tamtejszej kapituły. Do święceń prezbyteratu nigdy nie przystąpił. W 1694 r. po śmierci brata Ludwika Antoniego został biskupem wormackim i wielkim mistrzem zakonu niemieckiego. W 1729 r. objął

arcybiskupstwo w Moguncji, zrzekając się godności elektora trewirskiego. Ponadto posiadał godność arcykanclerza Rzeszy niemieckiej. Był więc wielkim łowcą godności kościelnych, wbrew przepisom Soboru Trydenckiego o zakazie kumulacji beneficjów. Dla utrzymania przychylności dynastii habsburskiej Stolica Apostolska była bowiem wprost zmuszona do udzielenia różnych dyspens w tym zakresie.

Po śmierci kardynała Fryderyka Hessena biskupstwo wrocławskie było przez rok osierocone. Starający się o nie biskup ołomuniecki Karol hrabia Lichtenstein ustąpił na prośbę papieża Innocentego XI, by nie kumulować biskupstw. Kandydat cesarski palatyn Wolfgang Jerzy zmarł 4 VI 1683 r. i na jego miejsce pojawił się 19-letni Franciszek Ludwik, którego protegował cesarz Leopold I. Młody palatyn w tym czasie przebywał na dworze cesarskim i był świadkiem oblężenia Wiednia przez Turków oraz zwycięstwa wojsk sprzymierzonych pod dowództwem króla polskiego Jana III Sobieskiego. Wybrany jednomyślnie w dniu 30 VI 1683 r. przez kanoników wrocławskich, otrzymał pod koniec sierpnia prekonizację papieską. Papież Innocenty XI zatwierdził go najpierw na administratora w „sprawach doczesnych”, aż do osiągnięcia kanonicznego wieku 30 lat, wymaganego dla biskupa. W imieniu nowego ordynariusza biskupstwo śląskie objął 24 września biskup Karol Franciszek Meander, sufragan wrocławski, który został zarazem administratorem diecezji. Cesarz Leopold I wystosował list do kapituły katedralnej, prosząc o udzielenie pomocy swojemu szwagrowi w wykonywaniu obowiązków biskupich.

Na początku 1685 r. nowy rządca biskupstwa śląskiego przybył po raz pierwszy na Śląsk i odwiedził Nysę oraz Wrocław. W tym czasie objął oficjalnie urząd generalnego starosty Śląska, który sprawował do 1719 r. Z powodu licznych stanowisk kościelnych i państwowych, biskup Franciszek Ludwik rzadko przebywał w swoich śląskich stolicach. Najczęściej rezydował na zamku w Ehrenbreitenstein. W rządach diecezją potrafił dobierać odpowiednich ludzi, którym przekazywał dokładne instrukcje, zastrzegając dla siebie ostatnie decydujące słowo. Do grona zaufanych osób należeli przede wszystkim kolejni sufragani wrocławscy, którzy zastępowali go z całą odpowiedzialnością we

wszystkich czynnościach pontyfikalnych i zarządzie biskupstwem.

Z zarządzeń biskupa-palatyna zasługuje na uwagę tzw. Sankcja pragmatyczna z 1699 r., w której rozdzielił urząd oficjała od wikariusza generalnego, mianując nań dwóch duchownych, mających ściśle określone kompetencje. Podczas 50-letniego pontyfikatu przeprowadzono kilka generalnych wizytacji biskupstwa, a do Rzymu została przekazana tylko jedna relacja ad limina. Biskup popierał działalność zakonów, zwłaszcza jezuitów i wyraził zgodę na nowe fundacje bonifratrów i urszulanek. Był wielkim mecenasem sztuki barokowej, popierając budowę powstałe zwłaszcza w Nysie. Tam został wzniesiony główny budynek dworu biskupiego, z urządzonym ogrodem w stylu francuskim. W „śląskim Rzymie” zbudował ogromny szpital generalny pw. Trójcy Świętej. Natomiast we Wrocławiu zorganizował sierotniece dla dzieci z rodzin szlacheckich, wznosząc istniejący do dzisiaj gmach tzw. Orphanotropheum. Był też wielkim miłośnikiem barokowej muzyki włoskiej, zatrudniając w swojej kilkuosobowej kapeli instrumentalistów z Rzymu. Odnośnie konwencji altranszadzkiej z 1707 r. w ówczesnej sytuacji Śląska nie miał wiele do powiedzenia, aczkolwiek stanowczo odrzucał jej postanowienia.

Pod koniec życia biskup Franciszek Ludwik częściej przebywał na Śląsku. W wieku 68 lat zmarł we Wrocławiu na apopleksję. Został pochowany najpierw w północnym portalu katedry świętojańskiej, a 6 VIII 1733 r. jego szczątki przeniesiono do ukończonej kaplicy elektorskiej, której zmarły biskup-elektor był fundatorem. Kaplica wzniesiona na planie prostokąta z wydzieloną częścią ołtarzową, została nakryta wielką kopułą spoczywającą na wysokich pendentywach. Rzeźbiarsko-złotnicza kompozycja ołtarza ukazuje Arkę Przymierza w otoczeniu białych marmurowych figur Mojżesza i Aarona, dłuta znakomitego F. M. Brokoffa. Po przeciwnej stronie został usytuowany pomnik nagrobny fundatora ze skromną inskrypcją. Wielkie pola ścian wnętrza zajmują dwa obrazy olejne pędzla Franciszka de Backera, które przedstawiają Ofiarę Melchizedeka i Ostatnią Wieczerzę. Stąd kaplica nosi też nazwę Bożego Ciała.

FILIP LUDWIK SINZENDORF – DRUGI KARDYNAŁ WROCLAWSKI

Drugim kardynałem wrocławskim był Filip Ludwik Sinzendorf, znany z poglądów oświeceniowych. Można o nim powiedzieć, iż jego postawa życiowa kreowała go na typowego księcia świeckiego, a nie arcybiskupa ogromnej diecezji.

Po śmierci biskupa Franciszka Ludwika kapituła wrocławska lansowała jako elekta biskupa sufragana Sommerfelda, ale kandydatem cesarskim był Sinzendorf, mający już godność kardynalską. Zabiegi wyznaczonych przez dwór wiedeński komisarzy: Jana Antoniego Schaffgotscha, urzędnika cesarskiego we Wrocławiu i Rudolfa Józefa Korzeńskiego, radcę dworu królewskiego w Pradze, okazały się skuteczne i w dniu elekcji na 24 elektorów 13 oddało swoje głosy na faworyta cesarza Karola VI. Papież Klemens XII zatwierdził elekcję Sinzendorfa na ordynariusza wrocławskiego i zwołał go z obowiązków biskupstwa Jaurinum. Wybór spotkał się z dezaprobatą duchowieństwa i wiernych. Spodziewano się bowiem objęcia rządów przez powszechnie szanowanego, pracowitego i pobożnego biskupa Sommerfelda, którego wybrany ordynariusz od początku uważał za swojego głównego adwersarza.

Kim był nowy rządca diecezji nadodrzańskiej? Przyszedł na świat 14 VII 1699 r. w Paryżu jako drugi syn cesarskiego ambasadora i późniejszego ministra Filipa Ludwika grafa von Sinzendorf i Katarzyny Rosiny z d. Waldstein. Wychowywany w atmosferze dworskiej od dzieciństwa był przeznaczony do stanu duchownego. Studia humanistyczne i filozoficzne odbył na Uniwersytecie Wiedeńskim, odznaczając się zdolnościami do nauki i przejawami pobożności. Często bowiem przystępował do spowiedzi i Komunii św. Tonsurę otrzymał 22 III 1711 r. w pałacu arcybiskupim z rąk biskupa Breitenbüchera w Wiedniu. Na dalsze studia powędrował do Rzymu, gdzie w Uniwersytecie Sapienza, prowadzonym przez jezuitów, uzyskał doktorat z teologii i obojga praw. W wieku 14 lat otrzymał kanonię w Kolonii, a w późniejszym okresie wszedł do kapituły w Salzburgu i Ołomuńcu. W 1722 r. przyjął święcenia kapłańskie, a po trzech latach został biskupem Raab na Węgrzech. Na życzenie cesarza Karola VI otrzy-

mał w 1727 r. od papieża Benedykta XIII kapelusze kardynalski. Po zwolnieniu kanonikatu w kapitule wrocławskiej po śmierci kanonika Jana Dobschütza 15 II 1732 r. wszedł z prowizji papieskiej w skład kapituły świętojańskiej. Prebendę i miejsce w jego imieniu objął Maksymilian Fragstein. Z chwilą wyboru na biskupa wrocławskiego jego miejsce w kapitule objął w 1734 r. Leopold Maksymilian Thürheim.

Smutne były rządy kardynała Filipa Ludwika w diecezji wrocławskiej, który z powodu podagry nie udzielał się w duszpasterstwie. W jego otoczeniu pierwsze skrzypce grali duchowni spoza Śląska. On sam usiłował wprowadzić do grona kapituły katedralnej zwłaszcza Austriaków, m. in. barona Karola Henela, którego kandydatura nie odpowiadała wymogom statutowym. Z tego powodu rosło napięcie między ordynariuszem a kapitułą, która – acz bezskutecznie – podjęła zabiegi w Rzymie, by wybór Sinzendorfa uznać za nieważny. Szczytem niefrasobliwości kardynała w zakresie życia kościelnego było wprowadzenie w 1735 r. do grona kapituły katedralnej hrabiego Filipa Gotharda Schaffgotscha. Ten faworyt Sinzendorfa był publicznym gorszycielem ze względu na członkostwo we wrocławskiej loży masońskiej. Kapituła zażądała od biskupa potępienia duchownego wolnomularza i zabronienia mu wstępu do katedry, ponieważ ipso facto popadł on w ekskomunikę, nałożoną przez papieża Klemensa XII za przynależność do masonerii. Kardynał jednak udzielił Schaffgotschowi absencji, a po kilku latach obrał go na swojego koadiutora z prawem następstwa.

Po przejściu Śląska pod panowanie pruskie kardynał Sinzendorf był powolnym narzędziem w ręku króla pruskiego Fryderyka II i jego rządy w ostatnich latach życia należały już do nowego okresu w dziejach Kościoła katolickiego na Śląsku.

POSŁUGA BISKUPIA JANA BRUNETTI'EGO, SUFRAGANA WROCŁAWSKIEGO

Wobec niedociągnięć ze strony narzuconych przez Habsburgów ordynariuszy cały ciężar pracy duszpasterskiej w ogromnej diecezji wrocławskiej spoczywał na barkach biskupów pomocniczych. Działalność ich dotyczyła nie tylko sfery czynności pontyfikalnych, ale również zarządu biskupstwem.

W 1693 r. po śmierci wielce zasłużonego biskupa Karola Franciszka Meandra diecezja śląska przez rok była pozbawiona biskupa pomocniczego, a ordynariusz nie miał konsekracji biskupiej. Czynił więc usilne starania, aby jego kandydat w osobie kanonika Jana Brunetti'ego został zatwierdzony przez papieża Innocentego XII.

Nowy sufragana wrocławski pochodził z włoskiej rodziny Łazarza i Clei z d. Guerra. Przyszedł na świat w miejscowości Massa k. Carrary. Wcześniej przybył na ziemię śląską, sprowadzony przez swojego starszego brata Jana Jakuba, będącego kanonikiem wrocławskim, nyskim i opolskim, który odgrywał ważną rolę w życiu Kościoła śląskiego. Młody Jan nauki gimnazjalne pobierał u jezuitów we Wrocławiu, a następnie studiował przez dwa lata prawo na Uniwersytecie Sapienzy w Rzymie. W 1668 r. ze względów zdrowotnych musiał opuścić Wieczne Miasto i dalsze studia kontynuował w Wiedniu i w Krakowie, gdzie w 1669 r. uzyskał stopień doktora z prawa. W Wiedniu otrzymał tonsurę z rąk nuncjusza apostolskiego Pignatelliego, późniejszego papieża Innocentego XII. W 1669 r. na podstawie prowizji papieskiej wszedł do grona wrocławskiej kapituły katedralnej, lecz rezydującym kanonikiem został dopiero dziesięć lat później. W 1673 r. przyjął święcenia kapłańskie w katedrze wrocławskiej z rąk biskupa Neandra i pracował jako radca duchowny. W latach 1676-1694 był rektorem seminarium duchownego we Wrocławiu. Przez szereg lat pełnił obowiązki wiceoficjała, przewodnicząc - ze względu na pobyt oficjała biskupa Neandra w Nysie - wszystkim posiedzeniom konsystorza we Wrocławiu. Kolejno otrzymywał godności kościelne: w 1677 r. uzyskał kanonikat w kolegiacie głogowskiej, z którego zrzekł się jego starszy brat, w 1680 r. otrzymał godność protonotariusza apostolskiego, a w 1684 r. objął kanonikat przy wrocławskiej kapitule świętokrzyskiej. Dysponując odpowiednimi środkami materialnymi, wznosił w 1692 r. okazałą rezydencję z pięknymi ogrodami w północno-wschodniej części dawnego zamku, przy obecnej ul. św. Marcina 16.

Po śmierci biskupa Neandra kanonik Brunetti otrzymał 5 X 1693 r. prekonizację papieską na biskupa tytularnego Lacedemonu z przeznaczeniem do pomocy biskupowi wrocławskiemu. W końcu stycznia 1694 r.

przyjął konsekrację biskupią w katedrze wrocławskiej. Podobnie, jak jego poprzednik, wiele czasu i sił poświęcił sprawie procedencji biskupa pomocniczego w kapitule katedralnej. Mimo konfliktu z kapitułą w 1698 r. otrzymał godność prałata-kustosza, a w 1700 r. po śmierci kanonika Karola Bukschky objął urząd namiestnika w księstwie biskupim i rezydował w Nysie.

10-letni pontyfikat biskupa Brunetti'ego wypełniony był licznymi czynnościami płynącymi z przyjęcia sakry biskupiej. I tak instalował on 5 opatów, wyświęcił 593 minorystów, 603 subdiakonów, 539 diakonów i 495 prezbiterów, dokonał obłóczyn 32 zakonnic, udzielił sakramentu bierzowania 54 025 osobom, konsekrował 9 kościołów, 27 ołtarzy, 372 portatyli i 211 kielichów mszalnych, poświęcił 140 dzwonów. Z polecenia ordynariusza brał udział w rozmowach z cesarzem na temat przekazania parafii katolickiej w Legnicy świątyni pw. św. Jana Chrzciciela, będącej dotychczas w rękach tamtejszej gminy protestanckiej. Dzięki jego zabiegom kościół szpitalny w Środzie Śląskiej został odbudowany i w 1700 r. poświęcony.

Pracowity sufragana ciężko zachorował w Nysie i po przyjęciu ostatniego namaszczenia zmarł 28 III 1703 r. Ciało jego przewieziono do Wrocławia i pochowano w katedralnej kaplicy Najświętszego Sakramentu, którą ufundował jego brat, a którą biskup przyozdobił srebrnymi lampami. Spadkobiercy wystawili mu nagrobne epitafium.

Po nagłym zgonie biskupa Brunetti'ego sufragana wrocławskim został Franciszek Engelbert Barbo von Waxenstein, pochodzący ze starego rodu weneckiego, który wydał papieża Pawła II. Po jego 2-letnim pontyfikacie, diecezja wrocławska pozbawiona była biskupa pomocniczego. Dopiero w 1708 r. sakrę biskupia otrzymał kanonik Antoni Ignacy Müntzer, pochodzący z Głogówka. Można sobie wyobrazić sytuację ogromnej diecezji śląskiej, której rządca nie posiadał sakry biskupiej, a biskupi pomocniczy musieli dźwigać cały ciężar czynności pontyfikalnych. Podczas wakansów z pomocą przychodzili biskupi z Polski: Stefan Antoni Medzewski, sufragana gnieźnieński oraz biskup przemyski Jan Kazimierz de Alten Bokum, który aż dwukrotnie udzielił święceń we Wrocławiu.

(Cdn.)

TURNIEJ POETYCKI ROZSTRZYGNIĘTY

Protokół z posiedzenia Jury VI Ogólnopolskiego i Polonijnego Turnieju Poetyckiego o „Srebrne Pióro” Prezydenta Miasta Mielca oraz Laury Kwartalnika „Nadwisłocze” i „Więści Regionalnych” i „Poetycki Exlibris” Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie – Filia w Mielcu pod patronatem w kategorii POLONIA Senatora Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Ortyła

Na Turniej Poetycki w terminie do 30 marca 2010 r. do Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie - Filia w Mielcu wpłynęło 95 wierszy w trzech kategoriach:

- Młodzieżowej - 48 wierszy
- Dorosłych - 34 wiersze
- Polonii - 13 wierszy

W dniu 12. 05. 2010 r. Jury w składzie:

1. mgr **Ewa Aleksiej** – przewodnicząca Stowarzyszenia Nauczycieli Polonistów O/Mielec;
2. mgr **Małgorzata Boraczyńska** – wiceprzewodnicząca SNaP/O Mielec, nauczyciel polonista;
3. **Aneta Dyka-Urbańska** – dr nauk humanistycznych – krytyk literacki, dziennikarz;
4. **Włodzimierz Gąsiewski** – dr nauk humanistycznych w zakresie historii, literat, nauczyciel, dziennikarz;
5. mgr **Józefa Krasoń** – kierownik PBW Filia w Mielcu;
6. mgr **Gerta Matuszkiewicz** – nauczyciel bibliotekarz;
7. mgr **Elżbieta Minorczyk** – nauczyciel bibliotekarz;
8. mgr **Elżbieta Witek** – nauczyciel polonista;
9. **Jolanta Witek** – dr nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, nauczyciel;
10. mgr **Józef Witek** – animator kultury, historyk regionalista, dyrektor Biura Promocji Urzędu Miasta Mielca

przyznało następujące miejsca:

w kategorii młodzieżowej:

1. **Iwona Zych**, II LO Mielec – wiersz „18 chwila”, godło „N.N.1991” (30 punktów);
2. **Adrianna Kiełb**, I LO Rzeszów

- wiersz „*** Zamyślona nie licząc”, godło „adjana” (19 punktów);
- 3. **Izabela Piechota**, II LO Mielec – wiersz „Z zazdrości Miłoszowi”, godło „Izkra” (17 punktów);
- 4. **Teresa Czarna**, Zespół Szkół Elektronicznych Rzeszów – wiersz „A na początku był chaos”, godło „Tesa” (15 punktów);
- 5. **Justyna Czuchra**, LO przy Zespole Szkół w Radomyślu Wielkim – wiersz „Na lekcji”, godło nadane „Niebieski krzyż” (12 punktów);
- 6. **Natalia Warzecha**, LO przy Zespole Szkół w Radomyślu Wielkim – wiersz „*** Miłość jest wtedy”, godło nadane „Znak zakaz postoju” (11 punktów);
- 6. **Karina Wojdag**, II LO Ostrów Wlkp. – wiersz „Warkocz”, godło „Abdank” (11 punktów);
- 6. **Kacper Plusa**, LO w Pabianicach – wiersz „mpk”, godło „Kontra?-tak” (11 punktów);

w kategorii dorosłych:

1. **Cecylia Suszka**, Koniaków – wiersz „Prośba”, godło „Lea” (38 punktów);
2. **Jan Kończyński**, Ostrów Wlkp. – wiersz „Kobiecie polskiej”, godło „Wielkopolanin” (24 punkty);
3. **Anna Przeździecka**, Jasienica Dolna (opolskie) – wiersz „O pelargonii i nietoperzach”, godło „Gacek” (22 punkty);
4. **Karol Graczyk**, Deszczno (lubuskie) – wiersz „Jane Cooney Baker”, godło „Klamerka” (15 punktów);
5. **Dorota Kwoka**, Rzeszów – wiersz „Panie”, godło „Stokrotka” (11 punktów);
5. **Adam Końca**, Siedlce – wiersz „*** Wyciągam dłoń”, godło Koniec (11 punktów);
6. **Jadwiga Grabarz**, Kobyle – Nowy Wiśnicz – wiersz „Kto ma rację?”, godło „Cień topoli” (10 punktów);
6. **Mieczysław Działowski**, Mielec – wiersz „Wenus”, godło „Smrek” (10 punktów);

w kategorii Polonia:

1. **Marek Kozoń**, Dania – wiersz „Spotkanie po latach”, godło „Emko” (51 punktów);
2. **Marta Różańska**, Republika Czeska – wiersz „Misterium”, godło „Wombat” (24 punkty);
3. **Małgorzata Chaładus**, Szwecja

- wiersz „*** Nurt rzeki czasu”, godło „Bellis” (23 punkty);
- 4. **Roksana Fiedziuszko**, Grecja – wiersz „Reversed”, godło nadane „Baletnica” (22 punkty);
- 5. **Antonina Mickiewicz Leonidowna**, Rosja – wiersz „*** Słowo zdrada”, bez godła (19 punktów);
- 5. **Anna Nejman**, USA – wiersz „Za oceanem”, godło „Pogoda” (19 punktów);
- 6. **Janka Łajkou**, Białoruś – wiersz „Polowanie”, godło „Litwin” (16 punktów);

Jury uznało, że nagrody główne – „Srebrne Pióro” Prezydenta Miasta Mielca otrzymują: **Iwona Zych** w kategorii młodzieżowej i **Cecylia Suszka** w kategorii dorosłych. Nagrodę „Senackiego Orła” w kategorii Polonia otrzymuje **Marek Kozoń**. Pozostałe osoby (miejsca 2 do 6) z każdej kategorii otrzymują pamiątkowe dyplomy i nagrody książkowe.

Związek Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie przyznał następujące miejsca:

w kategorii młodzieżowej:

1. **Karina Wojdag**, LO Ostrów Wlkp. za wiersz „Warkocz”;
2. **Dominika Gil**, Zespół Szkół w Jeżowem za wiersz „Wyczekiwanie”;
3. **Iwona Zych**, II LO Mielec za wiersz „18 chwila”;

w kategorii dorosłych:

1. **Zofia Marduła**, Ruda Śląska za wiersz „Zmierzch nad Korculą”;
2. **Hanna Dikta**, Piekary Śląskie za wiersz „Przemiana”;
3. **Mirosław Brozio**, Mońki za wiersz „W załomie ceglanego muru”;

Najwyższą punktację w kategorii polonijnej zdobył **Marek Kozoń** z Danii za wiersz „Spotkanie po latach”.

Nagrody książkowe ufundowane przez ZLP Oddział Rzeszów otrzymują laureaci pierwszych miejsc.

Pozostałe nagrody otrzymali:

- Laury „Nadwisłocza” – **Kacper Plusa** z Pabianic za wiersz „mpk” w kategorii młodzieżowej, **Wojciech Roszkowski** z Tykocina za wiersz „Nokia connec-

NAGRODY ROZDANE

ting people” w kategorii dorosłych i **Antonina Mickiewicz** z Rosji za wiersz „***Słowo zdrada” w kategorii Polonia.

- Laury „Wieści Regionalnych” – **Grzegorz Lisowski** z Warszawy za wiersz „Ballada na cztery konie” w kategorii młodzieżowej, **Mirosław Brozio** z Moniek za wiersz „W załomie ceglanego muru” w kategorii dorosłych i **Marta Różańska** z Republiki Czeskiej za wiersz „Misterium” w kategorii Polonia.
- „Poetycki Exlibris” Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie – Filia w Mielcu – **Justyna Czuchra** za wiersz „Na lekcji” w kategorii młodzieżowej, **Jan Kończyński** za wiersz „Kobiecie polskiej” w kategorii dorosłych i **Małgorzata Chaładus** za wiersz „***Nurt rzeki czasu” w kategorii Polonia.
- Nagrodę Dyrektora Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie – **Izabela Piechota** za wiersz „Z zazdrości Miłoszowi” w kategorii młodzieżowej i **Anna Przędziecka** za wiersz „O pelargoniach i nietoperzach” w kategorii dorosłych. Nagrodami są dyplomy i książki.

W trakcie finału zostanie przyznana Nagroda Publiczności – w każdej kategorii.

Fundatorami nagród w turnieju byli:

- Senator RP pan Władysław Ortyl
- Prezydent Miasta Mielca pan Janusz Chodorowski
- Muzeum Regionalne w Mielcu – nagrody książkowe
- Redakcja „Nadwisłocza” i „Wieści Regionalnych”
- Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Rzeszowie.

Organizatorzy



Prezydent Mielca Janusz Chodorowski wręcza pierwszą nagrodę „Srebrne Pióro” w kategorii Młodzież dla Iwony Zych z II LO w Mielcu. Nagrodę wręczają także Józefa Krasoń i Włodzimierz Gąsiewski (fot. D. Gąsiewski)

W dniu 11.06.2010 r. Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Rzeszowie - Filia w Mielcu wraz ze Stowarzyszeniem Na Rzecz Promocji i Rozwoju Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie oraz Redakcją „Nadwisłocza” i „Wieści Regionalnych” zorganizowała uroczysty finał VI Ogólnopolskiego i Polonijnego Turnieju Poetyckiego.

Wręczenie nagród i dyplomów odbyło się w czytelni Biblioteki Pedagogicznej w Mielcu. Spotkanie rozpoczęła Józefa Krasoń, kierownik biblioteki, która serdecznie powitała przybyłych gości: Janusza Chodorowskiego - Prezydenta Miasta Mielca, Józefa Witka - Dyrektora Biura Promocji i Informacji Urzędu Miejskiego, Edwarda Guziakiewicza - członka Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie, Jerzego Kazanę - Prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej, dyrek-

torów placówek oświatowych i kulturalnych, członków jury turnieju, laureatów, nauczycieli, młodzież oraz media.

Następnie głos zabrał Włodzimierz Gąsiewski, redaktor naczelny „Nadwisłocza” i „Wieści Regionalnych”, który przedstawił założenia i regulamin turnieju. Minutą ciszy uczczono pamięć honorowego gościa ubiegłorocznego finału turnieju - Posła na Sejm RP Leszka Deptuły, który zginął tragicznie w katastrofie pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r.

Kolejnym punktem uroczystości była prezentacja nagrodzonych wierszy, wydanych w okolicznościowej publikacji. Wiersze prezentowali sami autorzy a także członek jury turnieju - Elżbieta Witek i członek ZLP Oddział w Rzeszowie - Ryszard Mścisz. Następnie odbyło się głosowanie uczestników finału i wybrano „Nagrodę Publiczności”, którą zdobyła Cecylia Suszka w kate-

gorii dorośli; Izabela Piechota w kategorii młodzież i Marek Kozoń w kategorii Polonia. Oprawę muzyczną przygotowali uczniowie z Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Mielcu pod kierownictwem Zdzisława Szymczyka.

Nagrody rzeczowe, książkowe oraz pamiątkowe dyplomy wręczali: Janusz Chodorowski - Prezydent Mielca, przedstawiciel Senatora RP Władysława Ortyła - Robert Wójcik, Edward Guziakiewicz - nagrody ZLP O/Rzeszów, Włodzimierz Gąsiewski - redaktor naczelny „Nadwisłocza” i „Wieści Regionalnych”, Józefa Krasoń - kierownik Filii w Mielcu.

Nagrody główne otrzymali: „Srebrne Pióro” Prezydenta Mielca i pamiątkowy grawerowany dyplom w kategorii dorośli otrzymała Cecylia Suszka z Koniakowa.

„Srebrne Pióro” Prezydenta Mielca i pamiątkowy grawerowany dyplom w kategorii młodzież otrzymała Iwona Zych z II LO w Mielcu.

„Senackiego Orła” RP z wygrawerowaną imienną dedykacją, pióro oraz album „Drużyna Rzeczpospolita wobec Polonii” otrzymał Marek Kozoń z Danii.

„Senackiego Orła” RP z wygrawerowaną imienną dedykacją, zestaw długopisów oraz album „Drużyna Rzeczpospolita wobec Polonii” otrzymała Marta Różańska z Republiki Czeskiej.

„Senackiego Orła” RP z wygrawerowaną imienną dedykacją oraz album „Drużyna Rzeczpospolita wobec Polonii” otrzymała Małgorzata Chaładus ze Szwecji.

Inf. PBW Mielec



„Rodzinne” zdjęcie uczestników finału (fot. D. Gąsiewski)

**VII OGÓLNOPOLSKI I POLONIJNY
TURNIEJ POETYCKI
o „SREBRNE PIÓRO
PREZYDENTA MIASTA MIELCA”**

oraz o LAURY KWARTALNIKA „Nadwisłocze”, „Wieści Regionalnych”
i „POETYCKI EXLIBRIS” Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej
w Rzeszowie Filia w Mielcu
Pod patronatem w kategorii POLONIA
Senatora Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Ortyła

REGULAMIN

1. Turniej poetycki organizowany jest przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Rzeszowie – Filię w Mielcu, Stowarzyszenie na Rzecz Promocji i Rozwoju Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie oraz Redakcję „Nadwisłocza” i „Wieści Regionalnych”. Honorowy patronat: Prezydent Miasta Mielca.
2. Turniej organizowany jest w trzech kategoriach:
 - I. MŁODZIEŻOWEJ (uczniów szkół gimnazjalnych i średnich),
 - II. DOROSŁYCH
 - III. POLONII zagranicznej oraz cudzoziemców piszących po polsku (do wiersza napisanego w innym języku należy dołączyć jego tłumaczenie na język polski)
3. W Turnieju nie mogą brać udziału laureaci nagrody głównej sześciu poprzednich edycji Turnieju, poza tymi, którzy przeszli z kategorii „MŁODZIEŻOWEJ” do kategorii „DOROSŁYCH”.
4. Zainteresowani udziałem w konkursie przygotowują indywidualnie jeden wiersz o objętości nie większej niż 1 strona znormalizowanego maszynopisu (30 linijek), napisany w 7 egzemplarzach + tekst wiersza na płycie CD z zapisem w programie Word, podpisane godłem z dopiskiem MŁODZIEŻ, DOROŚLI lub POLONIA.
5. Uczestnicy przekazują do Biblioteki Pedagogicznej 39-300 Mielec, ul. Wyspiańskiego 6 dwie zaklejone koperty opatrzone godłem: pierwsza zawiera tekst jednego utworu poetyckiego, w 7 egzemplarzach + płyta CD z tekstem wiersza; w drugiej kopercie znajdują się dane osobowe uczestnika turnieju – imię, nazwisko, wiek, adres, nazwa szkoły, nr telefonu, adres e-mail itp. w terminie do 25 marca 2011 roku (utwory poetyckie odbiegając od w/w wymagań, tj. np. kilka wierszy, za długie lub bez godła, nie będą kwalifikowane do oceny).
6. Utwory ocenia powołane przez organizatorów Jury. W jego skład wchodzić będą przedstawiciele organizatorów i patronów konkursu, poeci - członkowie Związku Literatów Polskich, poloniści oraz animatorzy kultury. O nagrodach głównych i wyróżnieniach decyduje suma punktów uzyskanych od poszczególnych członków Jury przyznawanych w skali od 1 do 6. Oceniane wiersze są anonimowe i dopiero po zliczeniu punktów otwierane są koperty z danymi uczestników konkursu.
7. Autorzy zostaną powiadomieni o zakwalifikowaniu utworu do finału turnieju, który planowany jest na przełomie maja i czerwca 2011 roku. Podczas Finału odbędzie się prezentacja nominowanych utworów, ogłoszenie wyników, wręczenie nagród głównych oraz dodatkowych.
8. Uczestnicy turnieju wyrażają zgodę na bezpłatną publikację książkową oraz w mediach, zgłoszonego do konkursu wiersza. Autorzy, nadsyłając prace na konkurs, zgadzają się na przetwarzanie danych osobowych.
9. Nauczyciele – opiekunowie uczniów otrzymają zaświadczenia o współpracy z Pedagogiczną Biblioteką Wojewódzką w Rzeszowie – Filią w Mielcu. Informacji udziela Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Mielcu, tel. 017 5862178 oraz e-mail: mielec@pbw.org.pl a także przez stronę internetową: www.rzeszow.pbw.org.pl lub www.promocja.mielec.pl

Krajobrazy Mieczysława Łypa

Rzeszowski poeta i artysta fotografik, Mieczysław Arkadiusz Łyp, znów zaskoczył nas pięknie wydany tomikiem poetyckim zatytułowanym „Orbis pictus”. Jak się okazuje, można spełniać się twórczo nie tylko we wczesnej młodości, ale również w wieku dojrzałym. Jego tomik jest skomponowany podobnie jak wydane poprzednio („Ars longa, vita brevis”, „Genius loci”). Orbis pictus posiada też obok wersji oryginalnej tłumaczenia na inne języki obce, m.in. angielski, francuski, włoski, rosyjski czy ukraiński, a nawet turkmeński, a także „Glossarium”, w którym znajdują się wybrane szkice i recenzje poświęcone jego twórczości oraz fotogramy zatytułowane „Zatrzymane w kadrze”.

W tomiku dominują 2 cykle wierszy: pierwszy - to „Impresje z Futomy”, a drugi – „Wiersze z Toskanii”. Zbiorek został poprzedzony recenzją pióra Anny Niewolak, znanego naukowca Uniwersytetu Rzeszowskiego. Pisze ona m.in. Tytułem, ale też treścią i kompozycją tego zbioru Mieczysław A. Łyp nawiązuje do szeroko pojętej tradycji europejskiej humanistyki i sztuki słowa. „Orbis pictus” to po łacinie znaczy mniej więcej tyle, co „świat w obrazach”. W ten sposób Łyp świadomie nawiązuje do dzieła Jana Amosa Komeńskiego, wybitnego pedagoga czeskiego z XVII w., „ojca” – jak to ładnie nazwała autorka szkicu – nowożytnej pedagogiki. Autor tomiku – pisze Anna Niewolak – swój „świat w obrazach” dopełnia fotogramami własnego autorstwa, starannie dobranymi według klucza treściowego.

Łyp – jak można się przekonać z jego książki - jest piewą przede wszystkim Podkarpacia, jego krajobrazów, przyrody, folkloru i ludzi kultury:

Z Kąkolówki przybiega dorodny dziurawiec
w kolorze płonących kasztanów
w kolorze wiewiórek z Łazienek

Za Piątkową słychać już nuty ludowej kapeli

zaciekawione kapliczki zbiegają do dróg

Chłopy jak dęby kołyszą lipcową muzyką

wzgórza Futomy

(Z pól malowanych)

Na Podkarpaciu, które przecież dobrze zna od lat, bo mieszka tu od czasu swoich polonistycznych studiów, podobnie czuje się jak w swoim rodzinnym Radomsku położonym na Wyżynie Łódzkiej, nad rzeką Pilicą:

Podwórko długie jak warszawski tramwaj
Z bezlitosnym słońcem wiosny
i my na dziecięcej fotografii
w pierwszym kwartale 1949

drzewa sadzone przez ojca
jeszcze czarne po zimie
rzędem wzdłuż płotu
(W obiektywie czasu)

Nieobca jest mu również jako nauczycielowi akademickiemu kultura renesansowych Włoch, do których odbywa częste podróże, by nasycić się pięknem tamtejszej architektury, rzymskimi pamiątkami, dziełami sztuki, włoskimi widokami i starożytną kulturą. Potwierdza to cykl „Wiersze z Toskanii”:

Sam muszę odnaleźć
lato dzikich kaczek
wpisanych w laguny Wenecji
Sam muszę odnaleźć
czerwone dachy Sieny z Piazza del Campo
wpisane w Il Paglio
Sam muszę odnaleźć
święty błękit Sycylii
wpisany w cyprys i gaj oliwny

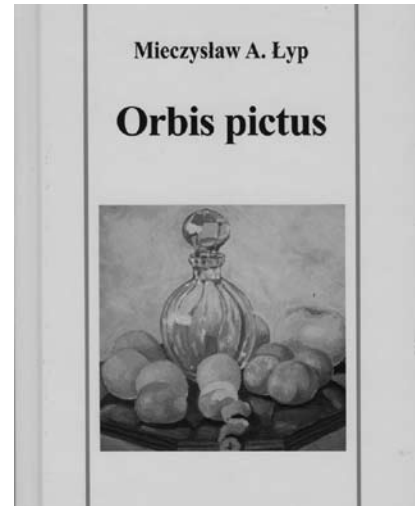
a cisza mnie odnajdzie
(Z tokańskiego diariusza)

Tytułowy zaś wiersz Orbis pictus poświęcony jest twórczości Czesława Rzepińskiego. Odkrywa w niej Łyp to, co jest mu tak programowo bliskie:

U Rzepińskiego
z jasnego kosza wysypuje się rumiana jesień
W Rzeszowie – nieokiełznana zieleń kwietnia.

Krańce czerwone jabłka
kuszą barwą i lekko układają się
w kolorowej wieczności obrazu
opowiadają swoje złote sny
swoją rajska czas kwitnienia
(Orbis pictus)

Łyp swoim kolejnym tomikiem daje nam do zrozumienia, że jest wielbicielem i poszukiwaczem piękna. W urokach rzeczy, krajobrazów, przyrody czy dzieł sztuki widzi przedmiot swej fascynacji, artystycznego olśnienia. Należy bowiem jako twórca do przedstawicieli „kultury wysokiej”. Obce jest mu turpistyczne podejście do świata czy modne tendencje postmodernistyczne. Pragnie on przede wszystkim w swoich utworach i na fotografiach przedstawić, i zawrzeć to, co jest przemijające i piękne oraz utrwalić na kliszy, i w słowie. Świat przedstawiony przez Łypa w wierszach i na fotogramach jest zawsze pełen uro-



ku i godny podziwu, stąd – być może - płynie jego nieustający optymizm i zadziwienie, znane z parafrazy słów wypowiedzianych w „Fauście” Goethego, i często cytowanych: „trwaj chwilo, jesteś piękna!” Większość jego utworów posiada pogodny nastrój, głosi też pochwałę życia i piękna, które wзира zewsząd, z każdego opisu, wspomnienia, także tego z dzieciństwa, spędzonego w Radomsku nad Pilicą. Dlatego powrót do lat dzieciennych jest tak częstym motywem jego wierszy: i w tym, i poprzednich tomikach:

W lipcu pachnącym dziewanną i miętą
wionolczela sączy kryształowy dźwięk
w starą tęsknotę za matką za Brzeziną
(Słuchając Chopina)

Za wyjątkowy zatem można określić wiersz „In memoriam”, poświęcony zbrodni katyńskiej i odbiegający atmosferą od poprzednich, gdzie pokazany jest, podobnie jak u Baczyńskiego i Trzebińskiego los pokolenia, o którym pisał przed laty w swej pracy magisterskiej na WSP. W wierszu tym pochyla się nad tragizmem naszych dziejów, oddaje hołd tym, którzy przelali swoją krew w walce o niepodległość ojczyzny: W smoleńskim lesie zastygła cisza
Płyną tylko białe kartki z imionami
I dogasają biało-czerwone nadzieje.
(In memoriam)

Moje rozważania zakończę słowami cytowanej już recenzentki, Anny Niewolak: Subiektywny, liryczny „obraz świata” Mieczysława Arkadiusza Łypa jest przyjazny, kolorowy, prywatny. Mimo tego, że autor koncentruje uwagę czytelnika na szczegółach, jego wiersze zakreślają znacznie szersze kręgi poznania i obrazowania: kulturowy, folklorystyczny i artystyczny.

Mirosław Osowski

Mieczysław Arkadiusz Łyp – „Orbis pictus”, Rzeszów 2010

„Strumienie poezji”

Ryszard Mściż wydał kolejny, piąty już tomik poetycki zatytułowany „Strumienie poezji”, zawierający 59 wierszy. Warto przy tej okazji przypomnieć jego wcześniejszy dorobek poetycki, na który składają się zbiorki: „Życie to tylko impresje”, „Wibracje”, „Na strunach lat” i „Roześnienie”. Nowy tomik rozpoczynają utwory, których przewodnim tematem jest poezja. Stąd – jak można się domyślać – wywodzi się tytuł zbioru „Strumienie poezji”. Mściż stara się odpowiedzieć na pytania: czym jest dla niego poezja i jaka jest jej rola, i miejsce w życiu twórcy? Jego odpowiedź brzmi co prawda szczerze, ale i mało patetycznie: poezja nikogo nie nobilituje, nie przysparza blasku, jak czasami pisali o niej poeci w czasach renesansu, romantycy, czy moderniści, którzy uważali się za „kapłanów sztuki”, ale co gorsza przysparza wielu trosk i różnych życiowych kłopotów. Świadczą o tym takie utwory jak choćby „Zwątpienie”, „Ulotność” czy „Natchnienie”. Rodzi się więc pytanie: po co pisać? I na to też znajduje Mściż właściwą odpowiedź: bo taka jest w każdym uprawiającym poezję wewnętrzna potrzeba. Wiersze zamieszczone w tomiku „Strumienie poezji” zawierają kwintesencję dotychczasowego dorobku, autorski punkt widzenia na własną twórczość. W „Chwili bez słów” próbuje Mściż określić to, co powszechnie nazywa się natchnieniem: „słowa ratują wiedzę prowadzą a/ przecież tylko/bez nich rodzi się to coś”. Podobnie wypowiada się w „Mowie ciszy”: „cisza na ten moment/na zranionych palcach wchodzi muzy”.

Skromność i prostota to według Mściża, nie tylko poety, ale i w pewnym sensie moralisty, najważniejsze wartości. W wierszu „Gdzieś poza zachwytem” pisze: „tonuję nadmiar koloru prawdziwe podchody/ do mety nie kolorowe proporce niosą ale coraz/ bardziej utyflane nogi”. „Utyflane” to nie tylko kolkokwializm, ale i dialektyzm. Pokora niekiedy przybiera postawę autoironiczną: „wielki filozof ocalał myślą którą błądzą miliony/ musi być wielka bo przecież wielkim był” („Cień wielkiej myśli”) – mówi trawestując słowa Gombrowicza z „Ferdydurke”. Mściż daje też wyraz swojemu sceptycyzmowi pisząc: „świat w którym żyję z którym stykam się na co/ dzień jakże niepoznany wiąż niezbadany do końca” („Między wiem a nie wiem”). Filozoficznemu sceptycyzmowi towarzyszy również przekonanie o ulotności

i przemijalności wszystkiego – rzeczy, zjawisk i życia: „promień na jej twarz ten którego nie zdołałem/ zatrzymać ukryć na dnie oka („Ulotność”). Pisaniu wierszy czy uprawianiu poezji towarzyszą również – jak się dowiadujemy z tomiku Mściża - inne uczucia: „zwątpienie mój wierszy towarzyszy” („Zwątpienie”).

Znakomita większość utworów zamieszczonych w „Strumieniu poezji” to przede wszystkim liryka osobista osnuta na tle codziennych zdarzeń z wyeksponowanym ego jako podmiotem lirycznym. Mściż daje w nich wyraz swemu sceptycznemu podejściu do świata, który proponuje rzeczy chwytliwe, lecz bardzo płytkie i wielce przereklamowane. Swój stosunek, a raczej dystans wobec świata, wyraża w takich utworach jak np. „Lato”, „Łaska”, „Święta” czy właśnie „Gazeta”, będąca symbolem współczesności, medialnego, krzykliwego i reklamarskiego wpływu mediów na kształt naszego życia: „na którejś stronie wykwitło zdarzenie/ zgodnie z dziennikarską miarą rzeczy/ by obraz był jasny zastosowano szereg/ wywabiaczy plam...”. Mściż zauważa, że prawdziwy obraz świata bywa mocno zniekształcony przez medialny „belkot i współczesną nowomowę”.

„W strumieniach poezji” Mściż kontynuuje tę sama poetykę, którą odnajdujemy w poprzednich zbiorach i utworach. Autor jedynie ją udoskonalił. Język „Strumienia poezji” nie stroni od celowo użytych, czego mieliśmy już przykład, kolokwializmów czy słownictwa żargonu publicystycznego i środowiskowego, poszerzając w ten sposób gamę języka poetyckiego. Jego cechą są też liczne metafory, które pojawiają się na zasadzie asocjacji, kojarzenia związków frazeologicznych na zasadzie bliskości znaczeniowej. Służą temu również liczne przerzutnie, przerywające nagle tok zdania i zmieniające jego sens czy znaczenie. W wierszach nie brakuje też ulubionych przez autora figur poetyckich takich jak kalambur czy oksymoron. Temu sposobowi pisania wierszy Mściż jest wierny prawie od początku, od swego debiutu. Można więc mówić o własnym stylu, nad którym ciągle jeszcze pracuje, pogłębia i wzbogaca. Liryka Mściża nie stawia sobie wielkich zadań, nie podejmuje też ważkich tematów społecznych czy sporów ideowych, którymi żyje nasza epoka. Skupia się głównie na własnych przeżyciach, na poszukiwaniu własnej tożsamości, poszukując odpowiedzi na sens ludzkiej egzystencji czy twórczości



poetyckiej w mocno stechnicyzowanym współczesnym świecie, niewolnym od przekłamań i wszelakich fobii.

„Strumienie poezji” są więc kolejnym etapem rozwoju poetyckiego i kontynuacją rozpoczętej przed laty drogi. Mściż jak dojrzały twórca widzi swoją poezję w „krzywym zwierciadle”, ironizując i wypowiadając się o niej z dystansem i lekceważeniem. Jest to niewątpliwie rzadkość, która jednak pozytywnie świadczy o autorze.

Mirosław Osowski

Ryszard Mściż „Strumienie poezji”,
Stalowa Wola 2010

Zamieszkałem w jej oczach

zamieszkałem w jej oczach
poranionych
odłamkami pamięci

karmiłem się okruchami
bezsennej nocy
tulilem serce do
ściany przede mną

dotykałem ciepła
było ukryte w mojej
wyobraźni
spoczywało w kraterze
wspomnień

chwyciłem jej dłoń
w każdym miejscu
gdzie byliśmy niegdyś
było nią znane drzewo
wiewiórka i kamień

otrzymałem tak wiele
tyle pozostało
z każdą obietnicą
dwojga smutnych oczu

O poezji Zdzisława Pękalskiego słów kilka

Swoje rozmyślenia nad poezją Zdzisława Pękalskiego chciałbym rozpocząć od wiersza „Modlitwa”, który ujmuje prostotą i szczerością. Z tych wersów emanuje wrażliwość, ale również i skromność artysty, uważającego siebie tylko za wykonawcę myśli Najwyższego:

że iskrą swoją zapalasz
w mym rękę
dziękuję Ci Panie

Dla poety największym bogactwem jest to, co go otacza. Dlatego nie przechodzi obojętnie obok piękna przyrody, różnorodności stworzeń czy wielkiego bogactwa kolorów i zjawisk, które zadziwiają go każdego dnia. W „Widzę Cię” literat przedstawia świat jako arcydzieło sztuki stworzone przez Boga – artystę, a równocześnie nauczyciela, u którego twórca znajduje swoje miejsce jako pokorny uczeń, starający się podpatrzeć każdy ruch mistrza.

Wydawałoby się, że skoro przed człowiekiem jest tak wiele do odkrycia, to czeka go jedynie rozczarowanie i rozgoryczenie z powodu niemożności osiągnięcia kresu doskonałości w określonej sztuce. Jest to tylko złudzenie, gdyż przemawiający w tych poetyckich wypowiedziach optymizm, przekonuje, iż potrafimy przeniknąć i zrozumieć piękno i tajemnicę natury, lecz musimy się skupić i dobrze przyjrzeć się temu, co ona chce nam przekazać:

dzieciół wystukuje
abecadło dłuta

.....
w sekretach nici
pająk wysnuwa tajemnicę kreski

.....
motyl uczy kolorów
na palecie skrzydeł

W twórczości mieszkańca Hoczwi pojawia się także jabłoń, która gałązkami puka do okien. Spotykamy też kota w każdej chwili gotowego do pieszczot. Czasem wiatr zagra niecodzienną melodię, którą lubi zagłuszać kogut. Bohaterem staje się także potok przepływający obok domu. Otaczające nas ze wszystkich stron podwórko próbuje wciągnąć nas w rytm swojego sielskiego życia, które, gdzieś tam w miejskim zgiełku, nieodwracalnie ginie. Czasem jednak i tutaj pojawiają się troski, ale i na nie znajdzie się rada:

Mam też dłuta
i pędzle z farbami
na lekarstwo
gdy życie uwiera

Odnajdujemy tutaj taki spokojny kątek, który nie tylko działa kojąco, ale ma wielki wpływ na wnętrza duchowe każdej

osoby. W tym miejscu stajemy się bardziej otwarci dla innych i spokojniejsi, lecz nie znajdziemy tu lenistwa, ponieważ dla autora, omawianego przez nas zbioru, właśnie praca staje się elementem szczęścia. Najlepszym tego przykładem są właśnie wszystkie obrazy, które wiszą w pracowni i galerii bieszczadzkiego artysty, namalowane na przeróżnych deskach, mających swoją własną, często bardzo intrygującą przeszłość. Ten stary, zniszczony materiał, niczym oswojony pies, wciąż oczekuje nowej zabawy ze swoim ukochanym panem:

Deski łaszą się
codziennie
do moich rąk
Oczami sęków
wypatrują
w mojej dłoni
pędzla

Tajemnica śmierci zawsze intrygowała ludzi i za wszelką cenę starali się ją zgłębić, czego najlepszym przykładem tomy dzieł uwieczniających ciągłe zmagania z tą niewiadomą. Również Pękalski nie daje gotowej recepty, a jedynie napomina, że na tym świecie nie ma nic trwałego i dlatego każdy z nas nim stanie przed Bogiem, powinien się zastanowić nad swoim dotychczasowym życiem i uczynić go lepszym. Począwszy od biblijnego Abla śmierć stała się niezmiennym faktem, tym bardziej poruszającym nasze umysły i serca, gdy odchodzą najbliżsi, których tak bardzo kochamy. Także i tutaj poeta nie pozostał obojętnym, gdy odeszła jego teściowa:

A Ty już nie pochylił
ręki po niepielone chwasty

.....
bo snopek życia
zawiązałaś

powróślem ostatnim
i treść:

taki mróz
a Tyś odszedł

Zdzisław Pękalski próbuje swoich sił w różnych dziedzinach sztuki, co przybliżyło go do twórców renesansu. Trudno przewidzieć, czy tak samo się stanie jak w przypadku Michała Anioła, gdzie dzieła malarskie odsunęły w cień zapomnienia jego poezję, czy też w wypadku oryginalnego twórcy z Hoczwi stanie się inaczej. Co do jednego możemy być pewni, że dobra poezja ma w sobie ten niezwykły blask, który z biegiem lat nie traci na swoim pięknie i tego życzyć autorowi niniejszej publikacji.

Robert Czop

Pamięci Mieczysława!

Wędrujesz nowymi ścieżkami
Ku Najwyższemu!
Zostawiłeś wszystko, co kochałeś
Rodzinę, szkołę, rzekę, las...
Wychowawco wielu pokoleń!
Poeto, grzybiarzu, wędkarzu!
Człowieku renesansu – Optymisto!

Cieszyłeś się każdą chwilą dnia,
Dziękując Bogu za dar życia
Kochałeś je, czerpiąc haustami
Podjąłeś walkę ze śmiertelną chorobą!
Nie udało się stanąć na podium...

Taka była wola Boga...
Zdmuchnąłeś płomyk nadziei,
Ostatnią iskierkę w cierpiącym cielem...
Wspomnienia rodziny, przyjaciół
Nagrobne epitafium
– nie pozwolą zapomnieć
Odpoczywaj w pokoju!

Alicja Gorczyńska

Pamięci ukochanego Taty z okazji Jubileuszu 80 – lecia

W blasku słońca

Dziś są Twoje Urodziny
upragniony Jubileusz,
który miał być najpiękniejszy,
wymarzony,
tu na Ziemi...
wśród najbliższych,
Twojej rzeki,
dobrych wierszy,
burz, korzeni...

Wiem, że Pan
urządził Ci przyjęcie
najwspanialsze w całym Niebie,
z ciepłą łąką
w sukni z chabrów
i wieloma aniołami
wokół Ciebie...

Nie zdmuchnąłeś
wprawdzie świeczek
z tortu życia,
lecz Twój prezent
to coś więcej
Miłość wieczna
już bez końca...
więc pozdrawiasz nas
szczęśliwy z fal błękitu,
posyłając jasny uśmiech
w blasku słońca...

Maria Szczepankowska

Warszawa, 14 czerwca 2010

Wiersze poświęcone Mieczysławowi
Gąsiewskiemu - ojcu Włodzimierza,
redaktora naczelnego „Nadwisłocza”
– w pierwszą rocznicę śmierci.

Monique Surdyka

Malarka, rzeźbiarka, projektantka. Pisze poezję od lat swojej młodości. Projektuje plakaty reklamowe, dekoruje wnętrza. Prowadziła lekcje plastyki w Szkole Języka Polskiego w Worcester, Massachusetts.

Monique była jednym z założycieli Polish Heritage Foundation w Worcester, przez rok pełniła funkcję Dyrektora Artystycznego. Od roku 2006 jest w Radzie Dyrektorów w Worcester County Poetry Association.

Artystka wystawia swoje obrazy w galeriach USA. Wiele jej prac można znaleźć w prywatnych kolekcjach w USA, Polsce, Kanadzie, Niemczech.

Brała udział w dwóch programach Telewizji Kablowej: WCCA TV13 „Art Attack”, Worcester, MA. oraz w Chelsea Community Cable TV. Także udział w audycji radiowej z Hank Stolz, WCRN Radio Station, Worcester, MA.

Wiersze były już publikowane w Stanach Zjednoczonych: Sahara A Journal of New England Poetry, Ballard Street, Poetry Journal, Polonia i Poezja; w Kanadzie i w Polsce, a także w polsko-amerykańskich gazetach: Biały Orzeł, Nowy Dziennik, oraz w kanadyjskiej Gazeta Gazeta. Wiersze dostały wyróżnienie w polsko-amerykańskim Konkursie, Złote Pióro. Pisze poezje w języku polskim oraz angielskim.

www.monique-surdyka.com

Poblask

Inspiracja wierszem Ewy Brzozy Birk „Zmiana adresu”

Czy wierzysz w legend of the dreamcatcher?
W pajęczynie uwieszone złe sny
w blasku wschodzącego słońca, osłabiającego moc.

W szufladzie chowasz zaśnieżone cucuszka
i nawet czyjeś zdjęcie znad brzegu morza,
gdy się zagubił wśród wielu biografii.

Mówiłaś długo, bardzo długo można wracać
do domu, pustych ścian i stołu, na którym
stoi szklanka z wystygłą herbatą.
Spójrz, jak przewraca się na drugi bok,
nie mogąc uwierzyć.

w sieci

mucha uwięziona w pajęczynie podobna do niej;
porusza się, szuka wydrążonego jak wąż korytarza.
pod nią ziemia, fałdy kurzu albo spleśniałe korzenie.
powiedz, gdzie myśli niosą twoje ciało, czy możesz wygrać
z Bogiem w brydża?

bez ustanku dyndasz parą nóg w zamkniętym



Fot. Szymon Tolak

pokoju - śnieg już pokrył ulice, a ty nie masz znajomości
elementów rachunku prawdopodobieństwa. radio dudni,
że jesteś obłąkana?

przyjadą, nałożą nowe ubranie, po zębach będą sprawdzać
tożsamość. wyplotą cię z sieci, wtedy pofruniesz nieomal
do nieba. odzyskasz imię.

jesienne

strugi deszczu
pachną. gry przywołują
wspomnienia, a gwiazdy,
wśród których myśliwy tropił
spadające szyszki, skleiły się.

pod sufitem turkotały skrzydła
chmur. błękitne prześcieradło
wilgotniało.

zwoje starych manuskryptów

tam nie ma latarni, księżyc pokazuje drogę
do jaskiń Qumran. w grotach odkryto
Dead Sea Scrolls - wtedy ogrzewali się ogniem,
pach na pośladkach był świadkiem miłości,
którą uprawiali na cześć Stwórcy: on z nią, on i on.
dzisiaj czytamy w nich apocalyptic visions

- w miastach migoczą kolorowe neony.

zagubieni

I
widzę go często, przychodzi do przytułku:
ogrzać się, napić kawy, zjeść ciepłą zupę.

śpiewające ptaki codziennie szukają drogi do domu.

butelka i pod ławką kałuża. ale to nie jest scenariusz filmu, tylko kilka słów o bezdomnym, który bezszelestnie zawija w papierki sny, przepęnlione powietrzem i okruchami kamieni.

II
w oknach wieżowców świecą dodatkowe gwiazdy, a na dole, burczenie żołądka przed zaśnieciem zimno. w szybach kawiarenek uśmiechnięte twarze - ktoś popija czerwone jak krew Cabernet Sauvignon.

nie pytaj czy im się śniło wygodne łóżko, może łąka. wielu z nich odejdzie w niepamięć; ludzie przyjaźnie machną ręką, przywykli do tragedii niewidzialnych, przezroczy-
stych.

Horyzont

Spotkałam zgarbionego staruszka
o twarzy guru
w zmarszczkach tak głębokich
jak rzeki, które przeszedł.

Spytałam czy słyszał o Shangri La?
Pokiwał głową, widziałam czułość
w jego oczach, jakby błogosławił
moje niespokojne pragnienia-

wenę w ewolucji.
Może wiedział, że rysuję prostą
w przestrzeni mojego serca.

sto procent wilgoci

pod sufitem cichutko turkocze wiatrak, spoceni przytulają się do siebie, pod błękitnym jak niebo prześcieradłem. wszystko się klei. tu nie ma komarów. wieczorami muskał gładkie ciało, zlizując z warg pot. najciekawsze były gry, kiedy ona

dopytywała się, kim jest ów myśliwy. pożerał ją jak pierwotną zdobycz, nienasycony, ale delikatny. dzisiaj, wycieraczki rozganiają strugi deszczu, w domu jeszcze pachną ciepło, pieczone ciasteczka, jesień zawsze przywołuje wspomnienia, tylko

spadające szyszki przypominają, że teraz jest teraz. i nie da się oprawić tego w ramki, nikogo to i tak nie obchodzi. popołudnia przy kominku są tak samo relaksujące jak lampka wina i trzask drewna w jasności iskier z wyciszoną muzyką klasyczną.

Włodzimierz Gąsiewski

**On the first day of the autumn
(Na pierwszy dzień jesieni)**

My wife
on the first day of autumn
changes colors
like her palette

From the colors of autumn
her tunic changes colors like
beginning of the fall
and the end of the summer

She is so
ripe
like aged wine
green-crimson
as July that has passed
changing from the green
to the lively foxiness
as friendship sometimes
changes to love
She is still so elegant
even when wind tears
clothes from her body
and blushes with shame

Se is still so hot
even mornings are cool already
but she has flames
of the world's best mistress

She is like crimson
then the color khaki
as the uniform of the soldier
that lay down among heathers
in the rumble of old battles
and sounds of war

Or dark green
as the ghost
as the phantom
the beginning of autumn
and with the withered grass

or golden
as the ring
thrown into the water
and smells of the forest
from cut trees
Resinous
and fragrant
as the young coppice
you can't guess
that she is the secret of the nature

In the first day of autumn
days of Indian summer
my wife
is in autumnal flowers
and heathers
we will dance together
until white snow comes
and winter becomes severe

Tłumaczenie:
Monique Surdyka

Spojrzenia zza progę

W dniu 16. 06. 2010 r. w Osiedlowym Dom Kultury „KARTON” Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Rzeszowie odbyła się promocja mojej książki poetyckiej *Za progiem*. Ze względu na dużą ilość przybyłych gości, tym razem pozwolę sobie podziękować zbiorowo wszystkim, którzy uczestniczyli w tym spotkaniu i jedynie wymienię nazwiska kilku osób bez podawania funkcji, czy zajmowanych stanowisk. Organizatorem tej imprezy był ODK „KARTON” z Kierownikiem Józefem Tadłą na czele. Na tę okoliczność przybyli m. innymi: Maria Kuźniar, Józef Uryniak, Mieczysław Kaniuczak, Leszek Stolarz, Ryszard Zatorski, Jerzy Maślanka, Zbigniew Domino, Bogusław Kotula, Roman Małek, Jerzy Stefan Nawrocki, Nina Ataman-Gąsiewicz, Edward Guziakiewicz, Czesław Drąg, Ryszard Kulman, Józef Kawalek, Zbigniew Michalski, Andrzej Talarek, Kazimierz Linda, Stanisław Kornasiewicz oraz wiele innych osób bliskich memu sercu.

Zanim przywołam szerzej jeszcze jedną postać, pragnę podziękować wszystkim, którzy pomogli mi przy realizacji tej książki poetyckiej oraz podczas imprezy promującej tę pozycję książkową.

Są to Firmy: SZIK, DMD, BIEDRONKA, PSS SPOŁEM-RZESZÓW, Wydawnictwo i Drukarnia Diecezji Rzeszowskiej BONUS LIBER Sp. z o.o.

Pozwólcie, że opowiem o najważniejszej postaci, dzięki której moja książka jest pełniejsza, gdyż dopełnieniem słowa jest fotografia.

Wędrując drogą wypiętrzoną garbami kalendarza ścieramy buty. Czasem są to buty smutku, czasem radości i marzymy aby droga była prosta, równa. Nie widzimy niekiedy, że obok są ludzie, którzy by przejść, ranią swe stopy. Zatrzymujemy się niekiedy, aby komuś powiedzieć zwyczajne dzień dobry, wymieniamy uśmiechy, lub spoglądamy na mijających anonimowych ludzi. Zazwyczaj brak nam czasu by przytulić się do drzewa i posłuchać, co mówi.

W najnowszej mojej książce poetyckiej *Za progiem* jest taka droga wijąca się w pyle upalnego lata, pośród pachnących ogródków przy chałupkach tak pięknych w swej prostocie, jak ludzie, którzy je budowali, w nich spędzili swe życie, potem z czoła zraszali grudy ziemi. Ludzie, którzy odcisnęli swoje bosa stopy na tyłu progach. Jakże czasem łatwo przebyć kilometry, bez kropli potu na czole i bez świadomości, że dla niektórych każdy krok jest bólem, strumieniem potu i jednocześnie nadzieją na kolejny krok.

Stach Ożóg – Absolwent Filologii Polskiej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie (1983), Studiów Podyplomowych w WSP w Krakowie (1985), Studium Pedagogicznego w WSP w Rzeszowie, Studium Reżyserii Małych Form Teatralnych (1985 – tytuł instruktora teatralnego I kategorii).

Obecnie starszy wykładowca w Instytucie Filologii Polskiej w Uniwersytecie Rzeszowskim. Animator kultury, poeta, rzeźbiarz, reżyser małych form teatralnych. Laureat ogólnopolskich konkursów teatralnych i recytatorskich.

Jest posiadaczem Brązowej, Srebrnej i Złotej Odznaki Recytatora przyznanej przez Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Teatralnej w Warszawie (1985). Za działalność pedagogiczną i artystyczną otrzymał Nagrody Rektora II (1987) i III stopnia (1989). Otrzymał również wiele nagród i odznaczeń resortowych w świecie sztuki, a to o nim jest mowa za pośrednictwem aparatu fotograficznego Adama Jańca, pokazuje nam w tym zbiorze poetyckim człowieka, człowieka zamyślonego nad sensem życia, przemijaniem, człowieka słuchającego każdego szmeru liści i słuchającego drzewa, którego mądrością balsamuje linie życia.

Przygotowując materiał do tej książki, bez wahania wybrałam zdjęcia, by wpatrując się w gest dłoni, spojrzenie, a nade wszystko wpatrując się w Stacha, stworzyć słowo, które będzie dopełnieniem tamtego spaceru, podczas którego szukaliśmy życia w oknie błękitu, wypatrywaliśmy naszych matek, których już nie ma, sprawdzaliśmy, czy dojrzało zboże, tak jak kiedyś nasi dziadkowie. Składaliśmy z szacunkiem dłonie przed starymi kapliczkami, gdzie mieszka nadzieja na lżejszą drogę. Choć napotykanne wiatraki nie poruszają swych ramion, a w stodółkach, chałupach były już tylko rekwizyty, to warto było przysiąść na pniaku wpatrując się w przeszłość.

W tej książce Stach Ożóg jest takim, jakiego znają tylko nieliczni. Najczęściej Ożóg postrzegany jest jako aktor, recytator, zdominowany poetycką obsesją clowna. W jednym z wywiadów mówił: iż odgrywa najśmieszniejszą sceny na cyrkowej arenie, a przecież za chwilę będzie musiał zmyć szminkę śmiechomości. W zaparowanym lustrze codzienności zobaczy ... co? – zasuszone w zaskorupionych okrucach talku łzy i prawdę zmarszczek smutku.

Stach wędrując swymi ścieżkami patrzy pod stopy. Nie musi patrzeć na ludzi, bo ich dostrzega swoją nadwrażliwością bardziej niż każdy z nas. Jego występów scenicznych, chyba by nikt nie zdołał policzyć. Jego napisanych artykułów czy recenzji o świecie sztuki zapewne też nie. Policzyć można, stojąc w jego mieszkaniu, niezliczone ilości dyplomów, odznaczeń. A zdobył wszystkie możliwe nagrody w konkursach recytatorskich. Nadto policzyć można 400 płyt CD nagranych przez niego z poezją najwybitniejszych twórców europejskich, a także poetów Podkarpacia. Stach to także rzeźbiarz, który ryłcem zapisuje radość, smutek, by dzień utrwalony w drewnie został z nim na dłużej. Jego rzeźby są jak jego dzieci,



Na zdjęciu Dorota Kwoka i Stach Ożóg

z którymi trudno jest mu się rozstawać. A jego wiersze w książce *Imię z wczoraj* są jak życie, tyle tylko, że dla niektórych, jak mogę sądzić zbyt trudne.

Dobrze, że na naszej drodze spotykamy ludzi, którzy mają twarz, bez zmaszczek nienawiści, czyniących dobro nie licząc na zapłatę, poszukujących wiary w próchniejącej kapliczce i wsłuchujących się w najcichszy świst oddechu. Ostatnio Stach powiedział, że jest dużo Stanisławów Ożogów, a ja dodam, że Stach tylko jeden.

Mam nadzieję, że starte buty zaprowadzą go w niejedno jeszcze magiczne miejsce, lub pozwolą jeszcze raz wędrować wśród chałup Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej. Jego dłonie uronią jeszcze wiele potu na sękach przebaczeń.

Jego głos pozostanie z nami na wieczność.

Dorota Kwoka



Spotkanie miało uroczystą artystyczną oprawę (foto arch. D. Kwoka)



Za progiem

Pusta sień
zydelek
wykrzywiony przemijaniem
szarość

I gdzieś w oddali
nadzieja na zardzewiały skobel

Może ktoś usłyszy moje pukanie

Dziś przed progiem
pozostawiam milczenie
i krople soli z wczoraj
na resztkach rdzy

Kłosa

Nie było twoich śladów
Nie było w jęczmieniu
owsie
nawet w powalonym życie
nie było cię

Pszenica wołaniem
dojrzałych ziaren
prosiła abyś
odmuchał je z plew
ale nie było cię

Tylko kulawa rosa
z kłosa ściekając
pokazała niebiańskie twe łany

Wiatrak

Dziwię się wiatraku
że jeszcze
chce ci się skomleć o ruch

Jedynie kryją się w tobie
jąkające wiatry

A ty
powoli zapominasz
zapach tamtej mąki
bo na deskach
trzeszczącej podłogi
nie ma już nawet
zwięzrzałego jej pyłu

Teraz jesteś tylko wiatrakiem
bez ziaren życia

Rekwizytem w skansenie pamięci

Pustka

Puste wiadro
cembrowina
z pustką bez dna

Pusta trawa
bez soków zieleni
i pusty pniak
z którego wysypało się
próchno pustki

I dom też pusty
choć zapiecek
jeszcze ciepły

W tej pustce
już nawet nie ma
tamtej pustki

Poszukiwanie

Poszukuję cię
w zmarszczce na skroni
wykopanej bólem

Wypatruję cię
we włosach
kołysanych miłością
Wysłuchuję się w ciebie
w najcichszym świcie oddechu

Czuję cię
w drózkach dłoni
po których wędrowała
nasza bliskość

Robert Czop

Takie sobie pogaduchy

z innym literatem o współczesnej doli i niedoli miłośnika pióra i wszelkich innych sztuk

Kiedy po raz pierwszy wziąłem do ręki „Status poety. Eseje i szkice” wydane przez Instytut Wydawniczy Świadek w Bydgoszczy i przeczytałem pierwsze strony, to od razu wiedziałem, że ta publikacja sprowokuje mnie do dłuższej wypowiedzi. Wynika to z tego, że podejmuje zbyt dużo wątków, które jednocześnie są mi na tyle bliskie, iż nie mógłbym przejść obok nich obojętnie i zamknąć swoją pracę nad tymi przemyśleniami literata z Dobrodzienia w kilku słowach. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, iż być może Janusz miał całkowicie co innego na myśli, niż to, co ja teraz próbuję udowodnić i zapewne doszłoby między nami do polemiki, choć wydaje mi się, iż jednak w wielu sprawach zgodzilibyśmy się ze sobą, dochodząc do przekonania, że nasze teksty się uzupełniają, ukazując i poszerzając myśl wyrażoną przez Jana Kochanowskiego w elegii „Muza”. Ta nasza luźna rozmowa, która w postaci wielu znakomych dzieł, toczy się już od wieków, nie jest takim sobie narzekaniem na los, ale próbą uświadomienia przyczyn, które sprawiają, że właśnie jest tak, a szkoda, iż nie dzieje się inaczej. Przede wszystkim powinniśmy dostrzec, postarać się zrozumieć, ale przede wszystkim przestać się bać, pewnej inności człowieka, który zostaje opętany przez Muzy. Ale czy zdrowy może zrozumieć chorego? No właśnie. Czy te stany psychiczne, co oddzielają, często bardzo grubym murem od normalności innych, są chlubą czy przekleństwem, boskim darem czy też psychiczną chorobą lub jakimś dziwaczny i niewytłumaczalnym w sposób racjonalny nałogiem, który wydaje się być mniej szkodliwym dla otoczenia niż powiedzmy alkoholizm i dlatego utrzymuje się jeszcze w granicach tolerancji. Jak widzimy, ta nasza prośba o zaakceptowanie odmienności, staje się propozycją z ogromnym ładunkiem uniwersalności, dzięki czemu może zostać z powodzeniem wykorzystana w wielu dziedzinach życia.

Czytając tę wypowiedź, myślę tu o „Kulturze w świecie ciszy”, widzę siebie, jak często przeglądam różne czasopisma w salonie prasowym i dochodzę do tych samych wniosków, co osoba opowiadająca w tym rozdziale. Otóż kiedyś przez ciekawość policzyłem liczbę tytułów poświęconych motoryzacji i doszedłem do dziewiętnastu. Jeżeli porównamy to z literackimi propozycjami, to wypadamy bardzo, ale to bardzo skromnie. Orlikowski próbuje określić przyczyny takiej sytuacji i chciałbym się nad nimi przez moment zatrzymać. Zaczniemy może od ceny, bo faktycznie można już kupić gazetę za dwa złote, która przyciągnie naszą uwagę kolorowymi zdjęciami i wielkim gwarem wydarzeń. Nie mówię już o czterech czy siedmiu złotych, kiedy faktycznie aż przyjemnie wziąć do ręki i poczytać. Przy tego typu zjawiskach pisma literackie, które kosztują dużo więcej (ostatnio proponowano mi kupienie takiej publikacji za dwadzieścia złotych) wyglądają bardzo skromnie niczym Kopciuszek. Dlatego tutaj rozpoczyna się nasza baśń, gdy dobra wróżka przemienia naszą niedocenianą sierotkę i daje jej szansę, aby zabłysnęła na balu. Oczywiście nie jest istotne to, co widzimy na zewnątrz, lecz nasze wnętrze, ale i obraz ładniej wygląda, kiedy umieścimy go we właściwych ramach, dlatego odrobina blasku (kolorowe ilustracje, lepsza jakość papieru itp.) z pewnością nie zaszkodzi. Oczywiście pozostaje pytanie, kto miałby zostać tą dobrą wróżką? Niewątpliwie pierwszą osobą, która przyczynia się do tworzenia

kultury na danym terenie jest sam literat-społecznik, który własnym kosztem, rezygnując z wielu innych, dużo bardziej dochodowych poczynąń, przesyła do redakcji, oczywiście na własny koszt, swój tekst, aby usłyszeć w podzięce: „Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji”. Mało tego, gdyż po pewnym czasie otrzymuje wprost błaganie o nawet najdrobniejszy datek, by dany tytuł, w którym umieszcza swoje artykuły, zdołał się utrzymać. W taki oto sposób błędne koło się zamyka i chudy literat, który często sam nie ma co do garnka włożyć, oddaje ten wdowi grosz, by móc wydać swoją pracę, za którą nie otrzyma nawet najmniejszej zapłaty. Dlatego nie oszukujmy się, że nasze czasopisma są tak skromne, skoro utrzymują się dzięki dobrym sercom tych, którzy powinni na nich zarabiać, biorąc należne im honoraria.

Kolejną rzeczą, na którą należy zwrócić uwagę, czyli teraz przejdźmy do tego, co wewnątrz, gdyż jak sam Sokrates uważał, iż nasze piękno wewnętrzne tak zabłyśnie, iż nie tylko olśni tych, co nas otaczają, ale przede wszystkim zatuszuje naszą brzydotę. Jakoś to, co udało się temu filozofowi, gdyż wielu go podziwiała i nadal podziwia, nie patrząc na jego aparycję, nie może się udać wielu periodykom, zajmującym się twórczością bardziej i mniej znanych. I tutaj kolejna wskazówka: „Ludzie zaczynają czytać literaturę z ufnością. Pisma, z natury literackie, nie straszą grzechotką i nie prowokują złych emocji”. Właśnie, określone wypowiedzi powinny przyciągać i zaciekawiać, a nie odstraszać tych, co po raz pierwszy wezmą daną nowość, pojawiającą się na rynku czytelnictwa. Oczywiście nie będziemy się tu rozpisywać o kłótniach, złośliwych polemikach i przeróżnych atakach przesyconych wrogością, a nawet nienawiścią, które męczą i niewątpliwie odstrasza. Współczesny człowiek, po obejrzeniu świata politycznego, jest już tak znużony tymi ciągłymi walkami, podjazdami i aferami, iż w głębi serca zaczyna marzyć o innym świecie. Dlatego kiedy sięga po poezję lub prozę, które mu się kojarzą z odprężeniem i odskocznią, od szarej codzienności tak bardzo przygnębiającej i frustrującej, to bardzo często doznaje rozczarowania i zderza się z brutalną rzeczywistością i to tam, gdzie się najmniej tego spodziewał. A przecież są środowiska, gdzie obok siebie w jednej publikacji pojawiają się twórcy z różnych stowarzyszeń i tworzą coś pięknego. I nie jest to baśń poety z Dobrodzienia, ale prawda i faktycznie taką propozycję warto przeczytać, bo człowiek ma okazję smakować i degustować to najwspanialsze wino współczesnej literatury, nie mówiąc już o uczciwej krytyce, która skupia się na zaletach i wadach danego utworu, a nie na przynależności autora. Aby nie być gołosłownym, podam tu jako przykład takiej koegzystencji „Horyzonty” z Raciborza. Jeśli się czyta takie miesięczniki czy kwartalniki, które niestety są tylko regionalnymi osiągnięciami, wciąż pozostającymi w ukryciu bez szansy silniejszego oddziaływania na innych ludzi swoim przykładem, to rodzi się nadzieja, że jeszcze nie jest tak źle, choć najlepiej też nie jest. Dlatego mam nadzieję, iż te słowa spełnią się kiedyś, nie stając się głosem wołającego na pustyni: „Nagle ceny książek i czasopism z tzw. „podziemia”, albo może lepiej – regionalnych inicjatyw ujawniane, powodują uśmiech. I są nagle wszechobecne. Tak, za dobrą cenę i uśmiech ich nabywców, których ilość stale wzrasta. Zapełniają się puste półki, które Franek zastał. Arkadia literatury?”

Skoro powiedzieliśmy już sobie czego nie powinno być, to teraz zastanówmy się nad tym, co należy promować. I tutaj pojawia się kolejna granica, w rozdziale „Kilka słów o grafomanii”, której nie powinniśmy przekraczać. Otóż autor robi ciekawy podział i chciałbym na chwileczkę zatrzymać się nad tym zagadnieniem. Przede wszystkim musimy sobie uświado-

mieć to, czego tak naprawdę pragniemy, jeśli chodzi o poezję. Bo jeśli faktycznie chcemy się jedynie ograniczyć do rymowanek czy zabawy słowem, która ma być tylko dla nas przyjemną rozrywką, ograniczającą się tylko do nas i do ewentualnego grona bliskich nam osób zainteresowanych tego rodzaju radosną twórczością, to wówczas nikt nie powinien mieć do nas najmniejszych pretensji. Z tego powodu słusznie zostają usprawiedliwieni ci emeryci: „dla których pisanie, bez pretensji, jest swego rodzaju zabawką, formą spędzania wolnego czasu.” Traktujemy wówczas naszą twórczość jako ukojenie, próbę tworzenia poetyckiego pamiętnika, który pozwala nam odreagować smutki czy inne doznania negatywnie działające na naszą psychikę.

Takie terapeutyczne działanie jest więc dla nas potrzebne i wskazane i tutaj nikt nie powinien nam tego zabraniać. Jednak wszystko musi mieć swoje miejsce i swój czas, gdyż w innym wypadku nasze pragnienie wypromowania czegoś, co już się dawno przejadło i w chwili obecnej „błyszczą” tylko wielką banalnością, może wprowadzić zamieszanie i konflikty. I teraz popatrzymy na początkujących twórców. Oczywiście za wyjątkiem tych wielkich geniuszy, każdy z nas musi przejść, i to często bardzo krętą drogę, aby sobie uświadomić pewne rzeczy. Ja nie ukrywam, iż będąc młodym człowiekiem pisałem kiedyś takie wierszyki jak ten: gdzieś odeszły ręce twoje/ nie jesteśmy już we dwoje/ myśl za myślą goni biegiem/ jak cię znaleźć/ sam już nie wiem. I nie zaprzeczam, iż wówczas wydawało mi się, że jestem równie wielki jak Adam Mickiewicz czy Juliusz Słowacki. Wydaje mi się, że potrzeba wiele czasu, aby nauczyć się pokory, bo tylko wtedy uświadomimy sobie dwie rzeczy. Po pierwsze należy pamiętać o tym, że bez tych grafomańskich wierszy, nie pojawiłyby się te lepsze, które mogły się rozwinąć i dojrzeć na glebie tych pierwszych. Z tego też powodu pamiętajmy o tym, że gdyby nie one, nie byłoby tych drugich i nie gardzimy nimi. Dlatego nie wstydzę się ich jak robiła to większość poetów, czego najlepszym przykładem Julian Przyboś, który w późniejszym okresie odrzucił dwa pierwsze tomy, ale z drugiej strony mam świadomość tego, iż moje najnowsze wypowiedzi poetyckie są o niebo lepsze od tych, co już pozostały za mną, więc w tym wypadku nie widzę sensu powrotu do tego poziomu, który już dawno za sobą zostawiłem. Wydaje mi się, że właśnie niezależnie od wieku, każdy grafoman, ale nie tylko on, bo wpadki zdarzają się nawet najlepszym poetom, powinien przeczekać ten największy entuzjazm, kiedy jesteśmy zauroczeni naszym dziełem, bo patrząc po pewnym czasie z dystansu, uświadomimy sobie, ile jeszcze musimy włożyć wysiłku, by daną pracę podnieść wyżej o kolejny szczebel doskonalenia naszego warsztatu poetyckiego.

Aby jednak go poprawić powinniśmy mieć jakiś wzorzec i teraz mogę sobie wyobrazić taką sytuację, gdzie początkujący poeci, wydając swoje pismo, zapraszają do publikacji wybitnego twórcę. Przyjmijmy, że on zgadza się na coś takiego. Oni otrzymują wzorzec i uświadamiają sobie, jak wielka dzieli ich przepaść, jednak postanawiają pracować, aby dogonić lub chociaż zbliżyć się do poziomu mistrza. W ten sposób wyciągają siebie z grafomanii, wzbudzając uznanie u swojego nauczyciela, natomiast on zyskuje u nich podziw i wdzięczność za to, iż schodząc ze swojego piedestału, zniżył się do nich, dając im szansę. W taki sposób obie strony na tym skorzystały. Czy to jest bajka? Jeśli wśród wielkich twórców nikt się nie czuje na siłach, by uczynić coś takiego, to będzie to jedynie niespełnione marzenie tych, którzy wcześniej czy później odczuwają na sobie ostry cień rozczarowania. Dlatego nie odsuwajmy od siebie młodych, którzy pragną coś osiągnąć, byśmy później sami sobie nie żarżucali, iż mieliśmy okazję zrobić coś dobrego, a nie uczyniliśmy, a jedynym powodem były nasze

uprzedzenia. Znam takie przypadki, kiedy ci, co wysmiewali określone kwartalniki, później sami prosili o możliwość w nich publikacji, kiedy przez wielki nakład pracy, osiągnęły właściwy poziom. Wynika z tego, że nic nie należy przekreślać. Podobnie stało się ze mną, gdy wielu literatów z cierpliwością pochylało się nad moimi wątpliwej jakości dziełami, by oddzielić ziarno od plew. Dzisiaj czasem spotyka moją twórczość nagroda w postaci ciepłych słów innych twórców. I jeśli przyjmiemy, iż nie robią tego z grzeczności, to jest to dowód, że warto pochylić się nad grafomanem, gdyż później, jeśli go inni pochwalą za wciąż postępującą poprawę, to jednocześnie pochwalą i jego przewodnika.

Nie zamykając wyżej wspomnianych tematów, chciałbym teraz skupić się na „Statusie poety”. Autor „Martwej natury z pętelką” podkreśla błogosławieństwo i równocześnie przekleństwo tworzenia. Najsmutniejsze jest to, iż najczęściej pojawia się ten czarny scenariusz, choć i między jego wersami często przemyka coś miłego, kiedy dotknie go subtelne musnięcie szczęścia. Najczęściej jednak to zespolenie tych, wydawałoby się, że odpychających się sił, zazwyczaj towarzyszy twórcy przez całe jego życie. I tutaj mamy jakby przedłużenie, gdyż los pisma literackiego podlega takim samym prawom i przemianom, jakimi podlega dany literat. Na pierwszych stronach bardzo często możemy odnaleźć podziękowanie dla, rozdzielającej na danym terenie pieniądze, władzy samorządowej, która wspiera określone środowisko artystyczne. Jeżeli przyjmiemy, iż pięknie wydane czasopismo, gdzie znajdzie się oryginalna i na wysokim poziomie twórczość, która zaczyna stawać się wizytówką danej miejscowości, dając szansę promowania jej na całą Polskę, a być może nawet na cały świat, to wydaje mi się, że tutaj zaczyna pojawiać się zależność, która umożliwia realizowanie swoich pragnień i planów obu stronom. W taki sposób literat jest zadowolony, ponieważ tworzy to, o czym zawsze marzył. Jest szczęśliwy, gdyż jego praca przynosi radość nie tylko jemu, ale także i innym ludziom. Natomiast władze są także zadowolone, ponieważ dana działalność przyciąga innych do tego, by odwiedzili te strony.

W taki sposób wydawany periodyk staje się reklamą, która ma szansę przyciągnąć klienta, który znów, zwabiony chlebem duchowym, równocześnie kupi i ten doczesny oraz inne produkty, co sprawi, że i inni na tym skorzystają. Czy jest to możliwe? Historia ukazuje nam przykłady, iż mądrzy władcy, doceniając siłę literatury, nie żalowali pieniędzy ze swojej szkatuły, by wykorzystać moc sztuki do własnych celów politycznych, jakże często bardzo szlachetnych. Równocześnie starali się także zbyt mocno nie naciskać na artystów, szanując ich niezależność. Naturalnie nie rozważamy tutaj przykładu jakiegoś utopijnego społeczeństwa, ponieważ Oktawian August, Gajusz Mecenaz, Azyniusz Pollion, Waleriusz Messala Koewinus czy Korneliusz Galusz są najlepszymi przykładami, że biorąc pod opiekę dzieci Muz, można zachęcić ich do wspólnego działania, mającego na celu poprawę ustroju, mentalności obywateli czy też wprowadzania pokoju i miłości na świecie. Trzeba tu zaznaczyć, że akurat w tym czasie okrutnych wojen domowych myśli mecenasów jak i tej miary twórców co Wergiliusz, Horacy czy Propercjusz, były takie same, co zachęcało obie grupy społeczne do wspólnych działań. Nie idąc daleko, możemy to także prześledzić w czasach ostatniego króla Polski, kiedy to Stanisław August Poniatowski zaopiekował się tej miary twórcami, co Ignacy Krasicki czy Adam Naruszewicz, którzy bez takiego wsparcia duchowego i finansowego, być może nigdy by nie osiągnęli takiej pozycji w historii naszej literatury, jaką mają do dziś.

Cdn.

GRAWERSTWO
MIELEC, ul. Hetmańska 6
 tel. 17 585 35 13
 właściciel Józef Kardys

WYRÓB PIECZĄTEK

SZYBKO, SOLIDNIE I TANIO!
 Zapraszamy od 7.00 do 17.00

LESTA
LOMBARD

Niskie oprocentowanie!
 Pożyczki pieniężne pod zastaw

MIELEC, ul. Lwowska 4
 tel. 17 583 09 18
 tel. kom. 601 887 251

UBEZPIECZENIA
INTERRISK
PZU ★ HDI

Mateusz Rydzowski
 tel. 608-237-878
 Al. Niepodległości 5

SPRZEDAM
MIESZKANIE

54,3 m², os. Lotników, 3 pokoje, kuchnia, łazienka z wc, 3 balkony. II piętro, nowe budownictwo. W pobliżu sklepy, kościół, szkoła, przedszkola i złobek. Pierwszy właściciel. Mieszkanie kompleksowo wykonane w 2007 r. Na podłogach panele i płytki, szafa wnękowa, kuchnia na wymiar. Wysoki standard wykonania.

tel. 602 739 362

USŁUGI REMONTOWO-BUDOWLANE

"JAMAKO"

39-300 Mielec
 ul. Baczyńskiego 8
 tel. 17 773 09 37
 tel. kom. 608 713 606

- remonty - wykończenia
 - przeróbki - meble

KOMPUTEROWE
PRZEPISYWANIE

PRAC MAGISTERSKICH, TEKSTÓW ITP.
 WYDRUKI kolorowe i czarno-białe, SKANOWANIE

tel. kom. 606 389 218

KREDYTY

PROSTA HIPOTEKA DLA FIRM I SPÓŁEK NA OŚWIADCZENIE BEZ DOKUMENTOWANIA DOCHODU NAWET DLA NOWO POWSTAŁYCH FIRM DO 1 MLN ZŁ, KREDYT POD ZASTAW SAMOCHODU NA OŚWIADCZENIE DLA FIRM ROLNIKÓW I PRACUJĄCYCH BEZ DOKUMENTOWANIA DOCHODU I ZAŚWIADCZEŃ Z US/ZUS. HIPOTEKI NA OŚWIADCZENIE DLA

tel. 14 6813667, 501730095 CZYNNE OD 9-21

Mielecka STREFA KALENDARZE 2011

REKLAMA *Więści Regionalne* **POLIGRAFIA**

MIELECKA STREFA - WIĘŚCI REGIONALNE - NADWISŁOCZE
 ULOTKI - NOTESY - TECZKI - PAPIERY - PLAKATY - DRUKI ITP.

PRASOWA *kwartalnik MIELECO-POKARBUCKI* **GADŻETY**

WIZYTÓWKI *REKLAMOWE - KLASYCZNE - SKŁADANE*
 CERAMIKA - TEKSTYLIA - DŁUGOPISY - KOMPLETY PIŚMIENNE
 UPOMINKI METALOWE - ELEKTRONIKA

Agencja Wydawnicza **Promocja AP**

39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7
 tel./fax 17 5831498 , tel. kom. 602 739 362

UBEZPIECZENIA
ERGO
HESTIA

R
 A 17-583-04-28
 J Al. Niepodległości 5

KOREPETYCJE
Z MATEMATYKI

na poziomie szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum.

Przygotowanie do matury
 rozwiązywanie zestawów maturalnych.

Telefon: 606 389 218

NIE WYRZUCAJ KSIĄŻEK !!!
SKUP MAKULATURY
KSIĄŻKOWEJ !!!!!

Także starych czasopism, map, dokumentów, listów, kopert, druków, dyplomów, znaczków, pocztówek, umów, klisz, zdjęć itp - prowadzimy skup makulatury książkowej

Kupimy lub przyjmemy w komis obrazu olejne, akwarele, ikony, rzeźby i inne dzieła sztuki, Poszukujemy różnych antyków i staroci. Kupimy stare narzędzia, militaria, zegary, srebro, platery, porcelanę, starą biżuterię i art. gosp. domowego. Kupimy także płyty, kasety magnetofonowe i płyty kompaktowe

Także patefony, gramofony, radia i stare TV.

NIE SKUPUJEMY PODRĘCZNIKÓW DO SZKÓŁ PODSTAWOWYCH, GIMNAZJALNYCH I ŚREDNICH !

art. | studio **Mielec Starówka**
galeria **ul. Mickiewicza 7**
antykwariat **tel. 17 5831498; 602 776197, 602 739362**

www.drukarniaautograf.pl/sklep

tel. 17 788 61 04
 kom. 500 267 502

WYKONUJEMY:
 ULOTKI
 PLAKATY
 FOLDERY
 KALENDARZE
 ITP.

ul. Gajowa 13
 39-300 Mielec

drukarnia_autograf1@gazeta.pl

ul. P. Skargi 9 (parter)
tel. 017 583-18-40

BOSSMEN

STUDIO FRYZUR
BOSSMEN fryzjer dla ludzi z klasą

ERGO HESTIA® UBEZPIECZENIA

ODDZIAŁ GRUPY
Jerzy Wąs

MAJĄTKOWE, KOMUNIKACYJNE I ŻYCIOWE
UBEZPIECZENIA FIRM

FILIA ODDZIAŁU

Mielec, ul. 3-go Maja 9
tel./fax 17 780 07 80
Czynne: pn.-pt. 9-18

ODDZIAŁ GRUPY

Mielec, ul. Wolności 27B
tel./fax 17 788 54 77
Czynne: pn.-pt. 8-18, sob. 8-12

FILIA ODDZIAŁU

Mielec, ul. Piotra Skargi 9
tel./fax 17 788 54 54
Czynne: pn.-pt. 9-17

tel. kom. 608 317 231 e-mail: jerzy.was@ag.hestia.pl

CHŁODNICE KLIMATYZACJA

- CZYSZCZENIE TAPICEREK SAMOCHODOWYCH
- MECHANIKA POJAZDOWA
- FILTRY, OLEJE, SMARY, PŁYNY CHŁODZĄCE
- CZĘŚCI SAMOCHODOWE

REGENC - PIĄTKOWIEC 14A k/Mielca, tel. 17 585 31 19
kom. 602 756 640, 606 383 823, 694 737 718
www.regenc.com.pl

DROZDOWSKI

Zakład Metalowy

Rok zał. 1949

Pławo 118, 39-305 Borowa, woj. podkarpackie Poland

Zakład Pławo: tel./fax: +48 17 58 155 95, 58 153 30

Zakład Borowa: tel./fax: +48 17 58 153 73

zaklad@drozdowski.com.pl www.drozdowski.com.pl



OSTRZARKA
DO PIŁ TARCZOWYCH
Z WĘGLIKIEM - HM
OSW-5AX



PILARKA TAŚMOWA POZIOMA
DO KLÓD TTM-1100



PRZECINARKA
AUTOMATYCZNA
PA-240